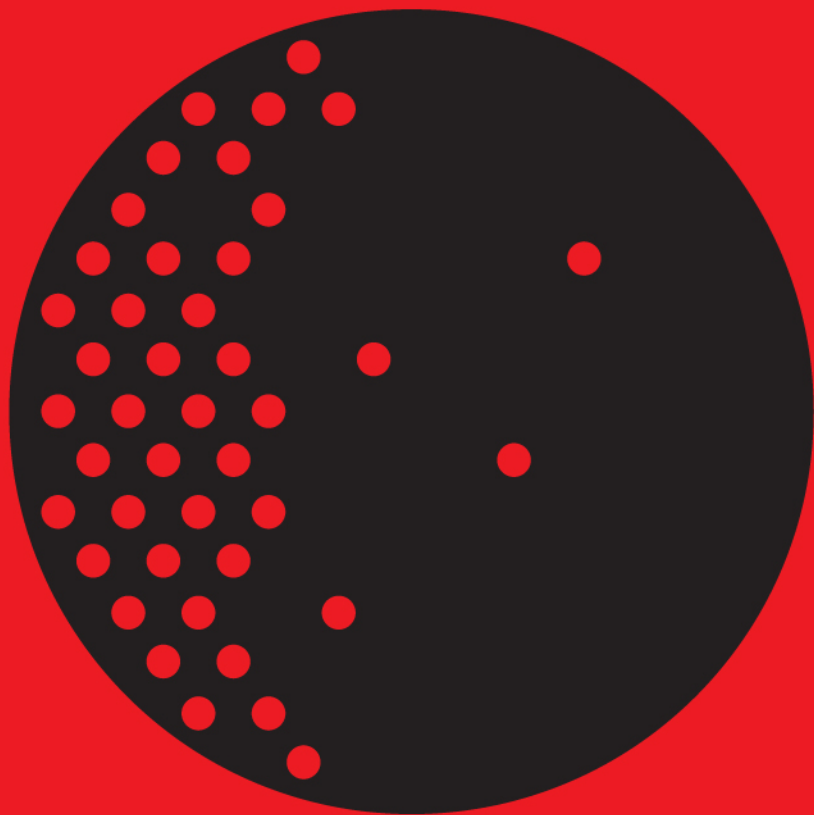


**KULTURA
LIBERALNA**

Podminowana demokracja



Kultura Liberalna

PODMINOWANA DEMOKRACJA

2

Podminowana demokracja

Biblioteka Kultury Liberalnej

© Kultura Liberalna, 2015

ISBN 978-83-940356-1-7

Projekt graficzny: Edgar Bąk
Skład i łamanie: Ewa Masalska
Korekta: Ewa Serzysko

Kultura Liberalna
ul. Chmielna 15/9
00-021 Warszawa

e-mail: redakcja@kulturaliberalna.pl
www.kulturaliberalna.pl

Supported by a grant from the Open Society Foundations
Książka ukazuje się przy wsparciu Open Society Foundations



SPIS TREŚCI

Wstęp. Ostrożnie z imitacyjną wielokulturowością. Jarosław Kuisz	7
CZĘŚĆ I Multi-kulti to kompletne nieporozumienie?	
Wprowadzenie. Lekcje płynące z Zachodu. Łukasz Pawłowski	13
Rozmowa z Marthą Nussbaum Liberalizm potrzebuje miłości	17
Rozmowa z Alainem Finkielkrautem Do diabła z bezpieczeństwem!	27
Rozmowa z Charlesem Taylorem Przepis na społeczną katastrofę	37
Rozmowa z Olivierem Roy Burka jako forma ekshibicjonizmu	45
Iwan Krastew Nie bójmy się politycznych emocji	51
Rozmowa z Timothyem Gartonem Ashem Szkodliwość ochrony uczuć religijnych	55
Rozmowa z Bassamem Tibim Multi-kulti to kompletne nieporozumienie	65
Debata z udziałem Timothy'ego Gartona Asha, Moniki Płatek i Wiktora Osiatyńskiego Nie ufaj obcym! Twarze inności we współczesnej Europie	73
CZĘŚĆ II Wolność słowa w obliczu terroryzmu	
Przypadek „Charlie Hebdo” Wprowadzenie. Jak zabija się gazetę? Jarosław Kuisz	85
Rozmowa z Benjaminem Barberem Wolność słowa ma chronić słabszych	91
Rozmowa z Pierre'em Buhlerem Cena za nasze bezpieczeństwo	101

Tomasz Sawczuk	
Co to znaczy Je suis Charlie?	111
Hubert Czyżewski	
Ile wolności dla wrogów wolności?	119
Helena Jędrzejczak	
Być czy nie być Charlie? Oto jest pytanie	125
Adam Puchejda	
Nie chować głowy w piasek	131
Paul Gradvohl	
Bierność nie jest już rozwiązaniem	135
DODATEK	
Pejzaż europejskiej debaty	
Debaty z cyklu „Kryzys zaufania w Europie”	
współorganizowane z siecią <i>Time To Talk</i>	
Nienawidzę polityki	139
Będzie Wam gorzej	151
I po co nam to państwo?	169
O Kulturze Liberalnej	183
Nota edytorska	185

Wstęp

JAROSŁAW KUISZ

Ostrożnie z imitacyjną wielokulturowością

W kwietniu 2013 r. z urzędu marszałkowskiego w Kielcach została zwolniona nagle urzędniczka. Po kilkunastu miesiącach miejscowy sąd nakazał przywrócenie kobiety do pracy na poprzednich warunkach. Wydawałoby się – sprawa, jakich tysiące. A jednak – kobieta wskazywała na nietypowy w polskich warunkach powód zwolnienia. Otóż, po przejściu z katolicyzmu na islam, urzędniczka zaczęła codziennie nosić chustę zakrywającą włosy, a także charakterystyczne długie, ciemne spodnice. To właśnie manifestowanie ubiorem zmiany wiary miało, zdaniem kobiety, zdecydowanie nie spodobać się przełożonym w departamencie organizacyjno-administracyjnym. Zwolnienie z pracy byłoby zatem aktem nietolerancji. Czy tak rzeczywiście było? Wobec braku „znamion przestępstwa” dochodzenie w sprawie dyskryminacji na tle religijnym prokuratura umorzyła¹. Ciąg dalszy kieleckiej sprawy rozpuścił się w codziennym chaosie.

To pojedyncze wydarzenie przykuło jednak uwagę mass mediów. Czy dlatego, że po naszym kraju powoli rozchodzi się

¹ Janusz Kędracki, „Zwolniona urzędniczka wygrała w sądzie. Wróci do pracy u marszałka?”, „Gazeta Wyborcza” z dn. 23.07.2014.

wysoka fala niechęci do muzułmanów? Utworzony na polskim Facebooku profil „Stop Islamizacji Europy” polubiły już ponad 24 tys. osób (dane z początku marca 2015 r.). Co więcej, podczas Marszu Niepodległości wśród haseł skrajnej prawicy wykrzykiwanych przy Stadionie Narodowym niespodziewanie pojawiły się przykłady werbalnej islamofobii.

Trochę chciałoby się zlekceważyć przejawy niechęci jako marginalne i nieistotne. Niestety, na łamach ogólnopolskiego dziennika szef działu opinii określa pomysł deportacji muzułmanów z Europy jako „śmiały i kuszący”, który „w praktyce jednak byłby niesłychanie skomplikowany w realizacji” (sic!). Ostatecznie *in concreto* rzecz sprowadza się do zamanifestowania niechęci do... polskich Tatarów, którzy od stuleci spokojnie zamieszkują na polskich ziemiach².

W naszych warunkach to jednak typowy przykład ciągu dalszego procesów imitacyjnych, niesionych przez media ponad granicami państw Unii. Zjawisko masowej migracji muzułmanów nad Wisłę w przyrodzie nie występuje. Meczetów w całej Polsce jest bodaj pięć. Wspomniany profil „Stop Islamizacji Europy” może mieć niebawem więcej fanów niżli mieszka muzułmanów w Polsce (ok. 15–30 tysięcy).

Trudno jednak nie zauważyć, że na dobrą sprawę nie istnieje strategia wytwarzania polskich przeciwników wobec negatywnych wzorów importowanych z Zachodu. Bezkrzytyczny stosunek do wszystkiego, co pochodzi zza dawnej żelaznej kurtyny, sięga czasów schyłku komunizmu. Dziś jednak warto dokonywać rozsądnej selekcji importowanych pomysłów. Albowiem w imię podążania za popularną w kręgach eurosceptyków na Zachodzie Europy islamofobią, część naszych rodaków gotowa jest

² Dominik Zdort, „Dokąd deportować Tatarów”, „Rzeczpospolita” z dn. 06.02.2015.

zignorować nawet własne wzorce polskiej tolerancji wobec mniejszości muzułmańskiej. To kuriozum, którego z zupełnie zasadniczych powodów nie powinniśmy lekceważyć.

Polacy w zasadzie nie uczą się na błędach państw Europy Zachodniej. Zupełnie jakby sentencja Seneki: *Errare humanum est*, nie obejmowała całej ludzkości. Tymczasem następstwa polityki „multi-kulti” oraz masowej imigracji nie należą do sukcesów państw starej Unii. Nie można ich również potraktować w czarno-białych kategoriach pravicowo-lewicowej publicystyki.

Przypomnijmy, że – z jednej strony – jakiś czas temu David Cameron, Angela Merkel i Nicolas Sarkozy niemal *unisono* ogłosili klęskę dotychczasowej polityki multikulturalizmu. Oznaczało to, że odpowiednio w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Francji nie znaleziono żadnej konstruktywnej propozycji włączenia przybyszów i ich potomków do wspólnoty.

Z drugiej zaś strony, jak pokazało życie, niepodobna na takich stwierdzeniach zakończyć debaty. Miliony imigrantów na stałe zamieszkały na Starym Kontynencie. Pewna część pokolenia ich dzieci, jakby na przekór rodzicom, wcale nie czuje się pełnoprawnymi obywatelami. Tubylcy zaś odczuwają dyskomfort wobec zmian społecznych, które związane są z masowym napływem „obcych”.

Wnikliwe książki Iana Burumy o Holandii po zamachu na Theo Van Gogha czy Paula Scheffera o kłopotach tego państwa z asymilacją przekonują o skali trudności w wypracowaniu prostego stanowiska politycznego. Z kolei wydarzenia takie, jak pojawienie się na gruzach Iraku i Syrii sunnickiego państwa islamskiego (ISIS) czy zamachy z 7 stycznia 2015 r. w Paryżu i później w Kopenhadze, rodzą żądania natychmiastowych rozwiązań. W serwisie YouTube bez trudno można znaleźć sceny z egzekucji obywateli Zachodu, a publicystyka wprost roi się

od metafor obrazujących Stary Kontynent jako przysłowiową beczkę prochu.

Czasem aż trudno uwierzyć, że europejska wielość kultur może być też postrzegana jako zjawisko pozytywne i godne eksportowania na cały świat. Tymczasem dosłownie kilka lat temu długowieczny niemiecki filozof Hans-Georg Gadamer twierdził, że „wielojęzyczność Europy, owo sąsiedztwo innego na niewielkiej przestrzeni i równouprawnienie innego w tej przestrzeni, jest prawdziwą szkołą”. W tej wizji budowanie wspólnoty przez pojedynczych ludzi, narody i państwa „z zadanych ran” okazywało się europejskim zadaniem i „przyszłością całej ludzkości”³.

Na pierwszy rzut oka problem masowej imigracji to dla polskich obywateli nadal zupełna egzotyka. Czy aby na pewno? Otóż – jakby na przekór zadeklarowanemu w traktatach ustanawiających Wspólnoty Europejskie „swobodnemu przepływowi osób” – wielu Polaków spotkały w Wielkiej Brytanii, Holandii czy Niemczech mniejsze lub większe nieprzyjemności. Zostali bowiem potraktowani przez miejscowych nie jako nowi obywatele UE, ale po prostu jako kolejna – po muzułmanach – fala imigrantów. To powinno stanowić dla nas dobry punkt wyjścia dla większej empatii dla przybyszów. I wezwanie do zastanowienia.

Sami jesteśmy beneficjentami szerokiego otwarcia granic państw narodowych wewnątrz UE. Zaś wzrost poziomu zamożności w Polsce prawdopodobnie sprawi, że coraz więcej przybyszów zacznie się u nas osiedlać. Czy jesteśmy na to przygotowani? Zamiast rozprawiania o tradycyjnej polskiej tolerancji i bajania o akcie konfederacji warszawskiej z XVI w. warto zapytać, jak się rzeczy mają z polskim społeczeństwem tu i teraz. Czy naprawdę jesteśmy gotowi na masową imigrację – tylko dlatego, że trapi

³ Hans-Georg Gadamer, „Dziedzictwo Europy”, Warszawa 1992, s. 22.

nas niż demograficzny i zmieniają się nasze aspiracje co do wykonywanych zawodów?

Śmiem wątpić. Z Zachodu docierają do nas rozmaite recepty na przyszłość. W naszej książce ostro zderzają się na przykład stanowiska Marthy Nussbaum oraz Alaina Finkelkrauta. Amerykańska filozofka proponuje politykę wzajemnego dostosowania gospodarzy i gości – rodzaj obustronnego wysiłku, który w zmieniającym się świecie społecznym, przekłada się na obniżenie ciśnienia związanego z różnicami kulturowymi. Francuski myśliciel z kolei uważa, że tolerancja zrodzona jest z wnętrza naszych kultur – i to goście powinni się dostosować do kultury gospodarzy. Po czym wskazuje na samego siebie jako na żywy przykład udanej polityki asymilacji.

Dla nas bardziej wskazany byłby wymagający pracy model amerykański, ale zapewne, siłą ciężenia Starego Kontynentu, podryfujemy w stronę konfliktogennych rozwiązań francuskich. Jak pokazał epizod ze zwolnioną urzędniczką, polski zegar zaczął cicho tykać. A może wypracujemy własne rozwiązanie? I może zainspirują nas mniej lub bardziej odległe momenty tolerancji z polskiej przeszłości?

Wszystko w naszych rękach.

DR JAROSŁAW KUISZ

historyk prawa i analityk polityki, redaktor naczelny
„Kultury Liberalnej”.

Część I

ŁUKASZ PAWŁOWSKI

Lekcje płynące z Zachodu

Dekady doświadczeń z masową imigracją nie przybliżyły państw Europy Zachodniej do odkrycia uniwersalnego sposobu na asymilację Obcego. Polska musi z tych niepowodzeń wyciągnąć także wnioski dla siebie.

Internet miał zmienić wszystko. Miał się stać narzędziem odrodzenia demokracji, przede wszystkim dzięki pobudzeniu obywatelskiej aktywności. Jeszcze kilkanaście lat temu panowało niemal powszechne przekonanie, że nowe technologie komunikacyjne zrewolucjonizują logikę społecznego zaangażowania. Zamiast wyciągać ludzi na spotkania, dyskusje i wybory, wystarczyło usadzić ich przed ekranami komputerów, by tam toczyli debaty o losach swojej społeczności.

Zniknąć miały również dotychczasowe granice tychże społeczności. Jeśli z pomocą jednego kliknięcia każdy z nas mógł się połączyć z kimś o odmiennym kolorze skóry i wyznaniu, kto może mieszkać zarówno w sąsiedniej dzielnicy, jak i tysiące kilometrów dalej, a wszystko po to, by omawiać kwestie z natury swej nieuznające granic – jak terroryzm, zmiany klimatyczne,

globalizacja – wydawało się, że kategorie etniczności, klasowości, a nawet narodowości nieubłaganie odchodzą do lamusa.

Rozwój narzędzi komunikacji miał też sprawić, że jednostkowa identyfikacja polityczna lub tożsamościowa coraz mniej będzie miała wspólnego z miejscem zamieszkania. W takich aglomeracjach, jak Nowy Jork, Paryż i Londyn, obok siebie żyją ludzie o zupełnie innym pochodzeniu, majątku, kapitale społecznym i kulturowym, rasie czy religii. Ponadto, wspomniane już zagęszczenie zależności na poziomie globalnym sprawia, że coraz więcej łączy nas z ludźmi odległymi od nas nie tylko w sensie fizycznym, ale i politycznym czy kulturowym.

A jednak, wbrew nadziejom entuzjastów nowej, postnarodowej demokracji, dawne podziały trzymają się mocno. Obcy żyjący obok nas pozostali obcy. Nie tylko nie zintegrowali się z resztą zachodnich społeczeństw, ale wraz z nasilającą się falą migracji, stali się głównym tematem politycznych sporów.

Przez całe dekady zachodnie rządy odpowiadały na potrzeby dynamicznie rozwijających się gospodarek, otwierając granice dla gasterbeiterów. W kalkulacjach ekonomicznych nie brano jednak pod uwagę skutków społecznych i kulturowych masowych migracji – uparcie wierzone, że pewnego dnia przybysze wrócą po prostu do swoich krajów, a wraz z nimi zniknie i problem. Nadzieje okazały się płonne. Dziś państwa starej Unii Europejskiej nie wiedzą, jak wybrnąć z imigracyjnego pata. Imigranci przybywają, lecz nie integrują się tak, jak oczekiwaliby tego tubylcy. Skutek? Zamieszki na przedmieściach wielkich miast, coraz poważniejsze terrorystyczne groźby – nie tak dawno spełnione w zamachach w Tuluzie, Paryżu i Kopenhadze – oraz dojmujące poczucie bezradności.

Naprzeciw potrzebom zirytowanych Europejczyków wychodzą populistyczne partie prawicowe domagające się natychmiastowego

„uszczelnienia granic” i deportacji imigrantów naruszających istniejące normy. Te populistyczne hasła, odwołujące się – w zależności od potrzeb – do zasady świeckości państwa, chrześcijańskich korzeni Europy czy solidarności mitycznych wspólnot narodowych, w żaden sposób nie przybliżają nas jednak do osiągnięcia celu, jaki stoi przed Europą.

Ten cel to wyzwanie integracji i asymilacji Obcego – którego nie da się przepędzić, zastraszyć ani przekupić. Jego obecność i inność musimy zaakceptować. Wbrew pozorom to zadanie dotyczy także Polski. Liczba osób migrujących do naszego kraju – zwłaszcza po wybuchu konfliktu na wschodzie Ukrainy – rośnie dramatycznie. Tylko w roku 2014 Ukraińcom wydano ponad 700 tys. polskich wiz, a skok w liczbie wniosków o przyznanie statusu uchodźcy jest imponujący – z 46 w roku 2013, do niemal 2 tys. kilkanaście miesięcy później! Polska przestaje być również traktowana jako kraj tranzytowy – przybysze z zagranicy przyjeżdżają tu na stałe, a nie po to, by przedostać się dalej na Zachód.

Jak uczynić tych ludzi częścią polskiego społeczeństwa? Czy należy dokonać tego drogą polityczną, poprzez wymianę kulturową, a może przez transfery socjalne? Jak reformować naszą rzeczywistość bez jednoczesnego antagonizowania obywateli, którzy dziś wyrażają swoją złość, oddając głosy na ugrupowania radykalne? Oto zadanie stojące zarówno przed Polską, jak i przed większością krajów Europy Zachodniej. My jednak – jako państwo u progu tej drogi – wciąż mamy jeszcze trochę czasu, by wyciągnąć wnioski z błędów innych.

DR ŁUKASZ PAWŁOWSKI

z wykształcenia socjolog i psycholog, sekretarz redakcji „Kultury Liberalnej”.

Liberalizm potrzebuje miłości

O tym, dlaczego zakaz noszenia burki jest dowodem islamofobii, w jaki sposób przeciwdziałać przemocy wobec kobiet i czy człowiek ma wrodzoną skłonność do zła, mówi amerykańska filozof polityki.

Jarosław Kuisz: Pani książki niosą intelektualne ostrzeżenie dla społeczeństw zachodnich. Wciąż jednak nawet uznani intelektualiści wydają się błędnie rozumieć ich przekaz. Na przykład Alain Finkielkraut, zapytany o pani opinię dotyczącą rozwoju islamofobii we Francji, odpowiedział, że nie uwzględnia pani problemu przemocy wobec kobiet, a poza tym „zachowuje się tak, jak gdyby kwestia islamu w Europie była jakimś nowym rozdziałem europejskiej ksenofobii”. Jego zdaniem „nie można wyzbywać się pamięci, ale by w sposób systematyczny odnosić obecną sytuację do lat 30. – to ideologia”. Jak mogłaby to pani skomentować?

Martha Nussbaum: Nie odnosi się on wprost do argumentów zawartych w mojej książce, więc trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Przedstawiłam pięć popularnych argumentów na

rzecz wprowadzenia zakazu noszenia burek przez muzułmanki, a następnie udowodniłam, że gdyby każdy z nich został wprowadzony konsekwentnie i bez żadnych kompromisów, prowadziłby do objęcia zakazem wielu zwyczajów charakteryzujących także kulturę dominującą. Chciałabym zatem usłyszeć wypowiedź pana Finkielkrauta uwzględniającą użyte przeze mnie argumenty. Twierdzenie, że ignoruję problem przemocy wobec kobiet, jest absurdalne, ponieważ większą część mojej działalności publicznej poświęciłam właśnie jej potępianiu. Wiele razy wyraźnie podkreślałam, że wszelkie użycie siły fizycznej lub groźenie użyciem siły w celu zmuszenia kobiety do noszenia ubioru zgodnego z wymogami religijnymi powinno być zabronione. Także prawa przeciw przemocy domowej i przemocy wobec dzieci powinny być egzekwowane znacznie bardziej konsekwentnie i gorliwiej niż obecnie.

Czy przemoc wobec kobiet jest problemem obecnym szczególnie w kulturze muzułmańskiej?

W żadnym wypadku. Istnieje wiele danych, które dowodzą, że większość społeczeństw kultury euroamerykańskiej jest pełna przemocy wobec kobiet.

A co w przypadku, gdy kobieta twierdzi, że surowych zasad religijnych przestrzega z własnego wyboru, a nie z przymusu?

To zupełnie inna sprawa. Nie możemy oczywiście wykluczyć presji otoczenia, ale z tym samym zjawiskiem mamy do czynienia w przypadku presji na noszenie krótkich spódnic, poddawanie się operacji powiększenia piersi i wszelkich innych praktyk, które w kulturze zachodniej stawiają kobietę w pozycji towaru do męskiej konsumpcji. Czy praktyki te powinny być nielegalne?

A co z presją emocjonalną?

Być może niektóre młode kobiety noszą się zgodnie z nakazami religijnymi z powodu emocjonalnej presji wywieranej przez ich rodziny, ale jest ona obecna także w naszej kulturze. Mój ojciec, na przykład, powiedział mi, że nie zapłaci za moje studia, jeśli zobaczy mnie publicznie w obecności Afroamerykanów. Z pewnością była to emocjonalna presja z gatunku tych najbardziej nieprzyjemnych, ale nie sądzę, że tego rodzaju praktyki powinny być nielegalne. Rodzice wywierają presję na swoje dzieci przez cały czas, także w sposób nieprzyjemny i niemoralny, ale walka z tego rodzaju praktykami na poziomie państwowym wymagałaby zbyt daleko posuniętej interwencji władz w życie prywatne.

W odpowiedzi na kryzys z 2008 r., wielu intelektualistów zaczęło poważnie rozważać ideę rewolucji totalnej, która zmieni cały system. Inspiracji poszukiwali nie tylko wśród młodzieży i w różnego rodzaju ruchach „oburzonych”, ale także w odkrytych na nowo pracach Marksa i jego zwolenników. Pani świadomie sprzeciwia się tej intelektualnej modzie i woli skupić się na dokładnej analizie pism Johna Rawlsa – i to nie w celu obalenia politycznych zasad czy instytucji, ale uczynienia ich... stabilniejszymi. Jak wytłumaczyć tę różnicę w pani podejściu?

Zawsze uważałam myśl Rawlsa za inspirującą. Dla mnie jest on najważniejszym politycznym myślicielem XX w. Może to dlatego, że zawsze byłam liberalną socjaldemokratką, a nie marksistką. Podczas gdy wszyscy moi przyjaciele przyłączali się do grup marksistowskich w latach 70., ja angażowałam się w kampanię Eugene’a McCarthy’ego, liberalnego senatora z Minnesoty oraz kandydata na prezydenta, który krytykował wojnę w Wietnamie. Niezmiennie opowiadałam się za publiczną debatą i stopniowymi

zmianami. W swojej książce chciałam zmierzyć się z pytaniem, jak polityczną kulturę emocji pogodzić ze zdecydowaną ochroną wolności słowa i debaty publicznej.

Obecnie jednak to wielu radykalnych przeciwników politycznej poprawności przedstawia siebie jako obrońców wolności słowa. Jaki poziom negatywnych emocji jest akceptowalny w liberalnej demokracji? A być może nie jest to pytanie o emocje, ale o akceptowalne i nieakceptowane sposoby okazywania negatywnych uczuć?

Wiele głosów w tej dyskusji uważam za niedojrzałe, ponieważ nie dostrzegają różnicy między normami społecznymi a prawem. Uważam, że żadna wypowiedź nie powinna być nielegalna, z wyjątkiem oczywistych przypadków, takich jak przekupstwo, krzywoprzysięstwo czy wprowadzająca w błąd reklama. Jednakże to co legalne, nie zawsze jest także stosowne. Każda społeczność ma własne wewnętrzne normy. „The New York Times” nie wydrukuje rasistowskich bredni, na uniwersytetach stosujemy formy grzecznościowe itp. To, co nazywamy „polityczną poprawnością”, to zwykła grzeczność (*civility*). Nie da się stworzyć środowiska przyjaznego zdobywaniu wiedzy, jeżeli poszczególne grupy będą miały prawo wzajemnie się obrażać. Ludzie często nie zauważają, że to, co mają w zwyczaju mówić, jest obraźliwe dla innych i dlatego, gdy zwróci się im na to uwagę, złością się, że ogranicza się ich swobodę wyrażania opinii. Polityczna poprawność jest zatem tylko wymogiem empatycznego zrozumienia dla innych punktów widzenia, co z pewnością nie jest niczym złym – czy to w sali lekcyjnej, czy w politycznej debacie.

W wielu krajach liberalna opinia publiczna niechętnie używa słownictwa, które może być odebrane jako szowinistyczne.

Nawet patriotyczne święta są traktowane ostrożnie, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo, że zamienią się w manifestacje nacjonalizmu. Tak jest choćby w przypadku polskiego święta niepodległości. Czym według pani jest współczesny patriotyzm i czy w ogóle w dzisiejszych czasach jest on możliwy?

Jeżeli liberałowie oddają silne emocje związane z patriotyzmem w ręce swoich przeciwników, to popełniają duży błąd. Nie uważam, że patriotyzm – który definiuję jako silną emocję, formę miłości, której obiektem jest naród – musi być w jakikolwiek sposób powiązany z despotycznym nacjonalizmem. Moja książka jest pełna przykładów, w których liberalny patriotyzm skłaniał ludzi do myślenia w kategoriach globalnych. Lincoln, Franklin Delano Roosevelt, Gandhi – wszyscy ci ludzie byli zwolennikami miłości w jej formie uniwersalistycznej. Uważali jednak, że miłość ta musi mieć swój początek w czymś znajomym i zauważalnym. Wierzyli, że narody mają do odegrania kluczową rolę w budowie sprawiedliwego świata. Nie widzę powodów, dla których ten rodzaj liberalnego patriotyzmu byłby dziś niemożliwy.

A jednak wszyscy wymienieni przez panią liberalni patrioci to wielkie postacie z przeszłości...

Nie przytaczam zbyt wielu współczesnych przykładów, ponieważ mam wrażenie, że nie nabraliśmy do naszych czasów wystarczającego dystansu, aby je poprawnie przeanalizować. Dlatego zatrzymuję się mniej więcej na okresie odzyskania niepodległości przez Indie. Jednak w dyskusjach dotyczących miast i sztuki w przestrzeni publicznej odwołuję się do współczesnego Chicago, pokazując jak rzeźba, muzyka i architektura przyczyniają się do wspierania pożądanych wartości. We współczesnym świecie nie ma nic takiego, co uniemożliwiałoby realizację postulowanego

przeze mnie projektu. Nie zmienia to faktu, że dominująca rola telewizji i internetu kreuje nowe wyzwania.

Jak powinna wyglądać nauka krytycznego patriotyzmu – szczególnie w świecie, w którym nauki humanistyczne są ciągle marginalizowane w szkołach i na uniwersytetach? Kto powinien być za nią odpowiedzialny – prywatne uniwersytety, organizacje pozarządowe czy środowiska intelektualne?

To w dużym stopniu zależy od kraju, o którym mówimy. Są miejsca, gdzie ideały krytycznego myślenia i wyobraźni humanistycznej są wciąż dość silne. Tak jest chociażby w Szkocji, Korei Południowej, Irlandii, do pewnego stopnia w Niemczech i Holandii, a także w Stanach Zjednoczonych, przynajmniej na poziomie uniwersyteckim. Oczywiście, utrzymanie tych tradycji wymaga wysiłku, ale my wciąż walczymy! Myślę, że obowiązkiem wydziałów humanistycznych jest podkreślanie wagi ich misji, a to niestety nie zawsze jest robione dobrze. Fundusze prywatne mogą czasem pomóc i rzeczywiście pomogły w Niemczech i Wielkiej Brytanii, ale sponsorzy nie mogą dyktować programu nauczania. Muszą istnieć jasne normy określające autonomię wydziału oraz jego kontrolę nad treścią nauczania i zatrudnianiem.

Opowiada się pani za ideą, zgodnie z którą miłość jest potrzebna nie tylko w idealnym społeczeństwie, ale jeszcze bardziej konieczna jest teraz w prawdziwych, niedoskonałych społeczeństwach aspirujących do realizacji zasad sprawiedliwości. Jaka jest rola miłości w prawie i polityce? Czy nie grozi ona osunięciem się w polityczny kicz?

Oczywiście istnieje nieskończenie wiele rodzajów miłości. Niektóre z nich są dobre, niektóre złe. Bardzo wyraźnie podkreślam, że określony zestaw norm politycznych – w tym wsparcie dla

zdrowia, edukacji i opieki społecznej, jak również szacunek do różnych grup – jest punktem wyjścia. Normy te nie mogą być stabilne bez szczególnego rodzaju miłości, która obejmuje współczucie, ale jest odeń silniejsza. Tylko miłość może skłonić ludzi do poświęcania własnego interesu w trosce o dobre samopoczucie innych, tak jak wymagają tego moje normy. Oczywiście, ta miłość musi ograniczać inne rodzaje miłości. Miłość rodzinna jest zasadniczo dobra, ale może sprawić, że ludzie będą chcieli, by ich własne dzieci miały lepiej niż dzieci innych ludzi. To dlatego sprawiedliwe społeczeństwo, głównie poprzez system podatkowy, ogranicza to, jak wiele ludzie mogą przekazać własnym dzieciom. Jeżeli miłość przedstawiona jest w sposób kiczowaty, nie będzie działać, dlatego mówię o wielkich artystach.

Czy naprawdę myśli pani, że to może pomóc? Obecnie idea europejskiego *Sozialstaat*, państwa opiekuńczego, przekształca się w ideę państwa narodowego, które zamyka swoje granice dla imigrantów. Sądzę, że jeśli mielibyśmy wybór między otwartym, ale biedniejszym społeczeństwem a zamkniętym, bogatszym społeczeństwem, bez wahania wybralibyśmy to drugie. Jaka jest pani opinia na temat tego paradoksalnego rozwoju państwa opiekuńczego, którego Europejczycy tak bardzo nie chcą utracić?

Myślę, że społeczeństwa mają prawo do ograniczenia liczby imigrantów, których przyjmują. W pewnym sensie mają też obowiązek, aby tak postępować z następującego powodu: utrzymanie dobrych norm wymaga powolnego napływu ludzi, którzy ich jeszcze nie znają. Pewne kraje popadły w skrajności – Finlandia, państwo o bardzo wysokim standardzie życia, mogłaby i powinna przyjmować więcej imigrantów, jednak obawia się utraty jednorodności. W większości krajów europejskich dostrzegamy

objawy poważnej hipokryzji: liczba obywateli spada, więc imigranci są potrzebni do uzupełnienia siły roboczej. Przyjmuje się ich, a następnie traktuje podle, dając do zrozumienia, że nigdy nie staną się częścią społeczeństwa. To jakby zaprosić gości na kolację, a następnie podać im nadpsute jedzenie.

W swojej książce twierdzi pani, że „tendencja do piętnowania i wykluczania innych tkwi w samej naturze ludzkiej i nie jest artefaktem wadliwej historii”. W jakim stopniu ta wiara kształtuje pani wizję liberalizmu?

Jest dość ważna. Kiedyś myślałam, że nie ma czegoś takiego jak „grzech pierworodny”, ale teraz uważam, że istnieje coś, co Kant poprawnie nazwał „radykałnym złem”. To skłonność do zachowywania się samolubnie i traktowania innych z góry, która nie jest wytworem kulturowym. Najnowsze badania psychologiczne to potwierdzają. Spędziłam wiele czasu, analizując uczucie wstrętu, i sądzę, że zmieniło to moje poglądy. Rasizm, chociaż irracjonalny, najprawdopodobniej jest obecny we wszystkich społeczeństwach i musimy stale z nim walczyć.

Jest pani nie tylko wielką zwolenniczką praw mniejszości, ale również popiera pani ruch feministyczny. Jakie pomysły z „Political Emotions” mogłyby sprawdzić się we współczesnym feminizmie?

Nie wiem nawet, co pan ma na myśli, mówiąc „współczesny feminizm”. Nurty feministyczne różnią się bardzo w zależności od kraju. We Włoszech najpopularniejszy jest tzw. feminizm różnicy – w innych krajach dominuje feminizm postmodernistyczny. Ja mam swój własny model feminizmu, który jest zarówno liberalny – oddany ideałowi jednostkowej samoekspresji i samorozwoju w duchu J.S. Milla – jak i radykalny, gotowy do

krytykowania hierarchii płci, rasy i seksualności. Lubię też niektóre idee spopularyzowane przez teorię queer ze względu na nacisk kładziony na ujawnianie irracjonalności wielu społecznie skonstruowanych norm. Prawdę mówiąc, uważam, że już Mill formułował te wszystkie spostrzeżenia. Bardzo chciałabym się z nim spotkać.

Dlaczego akurat z nim?

„Poddaństwo kobiet” Milla przekazuje więcej ważnych prawd niż większość innych książek filozoficznych. Oprócz tego, że sam w sobie był ciekawym człowiekiem, Mill wyraziłby prawdopodobnie zainteresowanie rozmową ze mną, co nie byłoby takie pewne w przypadku innych filozofów z przeszłości. Niemal żaden z nich nie traktował kobiet poważnie.

MARTHA NUSSBAUM

filozofka, profesorka Uniwersytetu w Chicago.

DR JAROSŁAW KUISZ

historyk prawa i analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”.

Do diabła z bezpieczeństwem!

Francuski filozof polemizuje z poglądami Marthy Nussbaum, krytycznymi wobec francuskiej polityki imigracyjnej. Zdaniem Alaina Finkielkrauta zakrycie oblicza przez kobietę oznacza odebranie jej twarzy.

Jarosław Kuisz: Komentując książkę Marthy Nussbaum „The New Religious Intolerance” („Nowa nietolerancja religijna”), zarzucił pan autorce, że lekceważy problem przemocy wobec kobiet, niewłaściwie interpretując praktyki kulturowe muzułmanów we Francji. Według pana za oskarżaniem Francji o islamofobię kryje się nieumiejętność przeciwdziałania dyskryminacji muzułmanek.

Alain Finkielkraut: Modne obecnie próby stawiania znaku równości pomiędzy przemocą stosowaną w stosunku do kobiet w cywilizacji zachodniej a sankcjonowaną religią i obyczajem kulturowym poddaństwem kobiet w świecie muzułmańskim są dowodem ignorancji i bezwstydnym kłamstwem.

Dlaczego?

Z racji na miejsce, jakie kobiety zajmują w społeczeństwie francuskim, a które wywalczyły sobie jeszcze przed Rewolucją. Nie można opisywać sfery publicznej we Francji bez uwzględnienia roli kobiet. Są one obecne, celebrytuje się ich piękno, nie trzyma się ich w ukryciu. Stanowią jasny akcent życia społecznego, przysparzają uroku światu swoją kokieterią. Z kolei w wielu społecznościach muzułmańskich kobiety wyemancypowane traktowane są nadal jak prostytutki.

Czy pan nie przesadza?

Psy się na nich wiesza, lży, dokuczają. To ich życie codzienne. Przemoc i frustracja seksualna to dzisiejsza rzeczywistość kobiet w społecznościach muzułmańskich. Dlatego porównywanie jej do rzeczywistości francuskiej jest całkowicie pozbawione sensu. Wynika przede wszystkim z powszechnej chęci oskarżania Zachodu oraz rozgrzeszania wszystkich pozostałych kultur.

W swojej książce Martha Nussbaum twierdzi, że stronniczość w odniesieniu do własnego sposobu życia, cywilizacji i kultury, do której się przynależy, to archetyp „moralnego grzechu”. To jest właśnie całe sedno jej argumentacji. Inaczej mówiąc: mieszka się we Francji, ale cywilizacja francuska nie ma żadnego rodzaju zwierzchniej władzy, nadrzędności w stosunku do kultury nowo przybyłych. Nie ma czegoś takiego jak naród. Nie ma czegoś takiego jak sposób myślenia, styl życia, nie ma punktów odniesienia i wartości, które byłyby przez wszystkich obowiązkowo przestrzegane. Tymczasem moim zdaniem postawienie znaku równości między wszystkimi społecznościami mieszkającymi w tej samej przestrzeni jest zamachem na kulturę kraju przyjmującego. Taka uwikłana zapewne w amerykański mit multi-kulti utopia nie prowadzi do pokoju, lecz – w najlepszym

przypadku – do separatyzmu kulturowego, a w najgorszym – do wojny domowej.

Kto miałby do tej wojny doprowadzić?

Gdyby taka wojna wybuchła, Nussbaum zapewne obciążałaby odpowiedzialnością tych, którym zabrakło grzeczności, żeby się zgodzić na islamską chustę, na żywność pochodzącą z rytualnego uboju zwierząt, burkę okrywającą całe ciało. I będzie wyjaśniać, że jeżeli niektóre kobiety chcą nosić burkę okrywającą je w całości, to przemoc w ramach społeczności muzułmańskich, o której mówiłem, nie istnieje. Ja uważam, że interpretowanie zachowań kulturowo-religijnych w tej perspektywie jest błędem, a nawet i obrazą kobiet. Pozwolenie na noszenie burki oznacza zgodę na cierpienie obywaterek Francji, naruszenie ich praw.

Dlaczego?

Bo wystarczy, że kobieta pokaże twarz, by rozbudzić męskie pożądanie. Burka – w sposób paradoksalny – przemienia kobiety w obiekt seksualny. I żadna kobieta nie zgadza się z takim poniżającym ją wizerunkiem. Toteż kiedy Francuzka widzi na ulicy inną kobietę w burce, rozdarta jest pomiędzy współczuciem z powodu takiego zniewolenia, nawet jeżeli jest ono dobrowolne, a buntem przeciwko obrazowi kobiety, który dostrzega. Trzeba żyć w abstrakcyjnym świecie filozofii analitycznej, żeby tego nie rozumieć.

Uprzedmiotowanie kobiet, które przypisuje pan muzułmanom, nie jest jednak charakterystyczne dla fundamentalizmu religijnego. W zachodniej kulturze masowej znajdujemy bez trudu wiele praktyk, które można podobnie interpretować. Weźmy choćby kult cielesności i popularność chirurgii

plastycznej. Moda też jest formą przymusu wobec kobiet – przymusu z gruntu świeckiego.

Owszem, ale kontekst jest zupełnie inny. Kobiety w burkach w Afganistanie nie chodzą do szkół, są wyłączone z życia publicznego. Strój ma zupełnie inną wartość i znaczenie społeczne. Czy bezwiedne przeniesienie takiego modelu do Francji dowodzi zatem tolerancji? Burka w Europie stała się symbolem systemu relegowania kobiet na niższy poziom.

Nussbaum twierdzi jednak, że francuska polityka kulturowa jest anachroniczna, a jej zmiana poprawiłaby bezpieczeństwo na ulicach. We Francji nieraz dochodziło już do poważnych zamieszek i buntów młodzieży z rodzin imigranckich.

Do diabła z bezpieczeństwem! Koncepcję tę, propagując jej rzekomy uniwersalizm, wykreowano sztucznie, w oderwaniu od kontekstu lokalnego. Zakrycie twarzy przez kobietę oznacza odebranie jej twarzy. Zasłanianie jest obrazą człowieczeństwa. A dehumanizacja nie może stać się podstawą ładu społecznego! Model wielokulturowego społeczeństwa – czy to rozumianego na modłę amerykańską, czy francuską – nigdzie nie zadziałał. Zmierzamy w kierunku społeczeństw cechujących się coraz większą przemocą. Część świata islamu wypowiedziała wojnę Europie, wartościom europejskim i europejskiej cywilizacji. Oto jak wygląda dzisiejsza rzeczywistość. Skrywanie tej rzeczywistości pod hasłem imperatywu bezstronności i piętnowania ksenofobii jest zupełnie śmieszne.

W opinii takich autorów jak Nussbaum akulturacja musi być jednak procesem wzajemnego dostosowania. Zatem i my powinniśmy się dostosowywać do muzułmanów, a nie tylko uczyć ich, kim są Europejczycy. W przeciwnym razie

doprowadzimy do dalszej radykalizacji postaw nawet umiarkowanych wyznawców islamu.

To Francja jest krajem przyjmującym migrantów, zatem goście powinni się dostosowywać do lokalnych zwyczajów. Może inaczej jest w Ameryce, ale u nas zasady są klarowne. Dostosowywać się powinni obcy do nas, a nie my do nich. Proces ten nie oznacza wyzbycia się własnej tożsamości. Nie nakazujemy muzułmanom konwersji na laickość. Mogą sobie wznosić meczety i miejsca modlitw – dziś buduje się ich więcej niż kościołów i synagog. Niech pan też zwróci uwagę na wyraźną asymetrię: w krajach arabskich niezwykle rzadko stawiane są kościoły. Jest więc miejsce dla islamu w Europie, większe niż dla chrześcijaństwa czy judaizmu na Bliskim Wschodzie i w Maghrebie. Ale to muzułmanie przybywający do Francji muszą dostosować się do cywilizacji francuskiej. Jeżeli im się ona nie podoba, niech migrują gdzie indziej. Francja to nie tylko kraj – to także wspaniała kultura. Ma piękny język, literaturę, wyjątkowe krajobrazy – wszystko to, co oferuje, jest unikalne. Akceptacja tej propozycji musi się jednak wiązać z koniecznością podporządkowania państwowym prawom. Republika może domagać się dziś od muzułmanów tego, czego przed laty oczekiwała od katolików.

Rozumiem, że całkowicie odrzuca pan model wzajemnej adaptacji kulturowej.

Ustępstwa wobec muzułmanów stanowiłyby niepotrzebny precedens w dziejach Francji. To władze państwowe posiadają monopol na wywieranie prawomocnej przemocy – uzurpacja tego prawa, wywieranie przymusu na muzułmanów przez muzułmanów, jest rażącym pogwałceniem porządku konstytucyjnego. Zresztą Francja nie wymaga wyrzeczenia się islamu, ale tego, żeby islam sprawował mniejszą kontrolę nad życiem swoich wyznawców.

Prawdę mówiąc, wcale nie sędzę, żeby to był nazbyt przesadny wymóg. Wie pan przecież, że w islamie za wyrzeczenie się wiary grozi kara śmierci. Republika nie może się na to godzić. Muzułmanin ma prawo nawrócić się na inną religię. Akceptacja zasad republikańskich nie odbiera wyznawcom islamu wolności, lecz zwiększa jej zakres – który nie narusza racji stanu.

Drugie pokolenie migrantów – a zatem osób, które urodziły się we Francji – przejawia już inne aspiracje. Nie wierzy w obraz Francji jako „kraju mlekiem i miodem płynącego”, a w rezultacie przestaje dostrzegać celowość adaptacji.

Tym bardziej na początku należy jasno ustalić reguły gry. I bardzo mocno piętnować jakiegokolwiek ich naruszenie. W przeciwnym razie Francja stanie się rozmytą ziemią dżihadyzmu. Pójście raz na ustępstwa, zgoda na islamizację dzielnic zdominowanych przez muzułmanów, byłoby fatalnym błędem. Proszę wyobrazić sobie taką sytuację: dopuszczamy do noszenia chust w szkołach, następnie zmieniamy program nauczania, eliminujemy z niego elementy, które „mogłyby urazić” uczniów – czyli np. opowieść o czasach katedr, a może i o całym chrześcijańskim średniowieczu... Co w efekcie pozostanie z takiego modelu edukacji? Nic! Nie można w imię adaptacji samemu popaść w poddaństwo!

Działanie instytucji socjalizujących – szkoły, rodziny – podpartych autorytetem religii, nie jest tak oczywiste, jak pan twierdzi. Według badań prowadzonych w USA, w „tradycyjnych” rodzinach amerykańskich jest więcej przemocy niż w rodzinach muzułmańskich.

Socjologowie dopuszczają się manipulacji na danych liczbowych w imię poprawności politycznej. Islam ma być nietykalny.

Także we Francji?

Ależ oczywiście! Taki dyskurs jest całkowicie idiotyczny i skandaliczny. Nawet jeśli zgodzimy się, że model edukacji we Francji przeżywa kryzys, to nie oznacza, że mamy padać na twarz przed tymi, którzy go chcą dobić. Reforma nie może oznaczać podporządkowania instytucji prawu silniejszego czy liczniejszego. To zwykle tchórzostwo, ubieranie w piękne piórka moralności otwartości na drugiego człowieka i antyrasizmu. Zdecydowanie sprzeciwiam się takim próbom. Powtarzam: we Francji nie ma miejsca dla multikulturalizmu. Jest nadrzędność rdzennej kultury, którą mamy obowiązek zachowywać i przekazywać. Francja dokonała wyboru modelu republikańskiego.

A nie boi się pan, że przy braku zmiany polityki wobec migrantów powtórzy się sytuacja sprzed dekady? W 2005 r. zamieszki objęły Paryż, Nantes, Rennes, Rouen, Lille, Tuluzę i Lyon.

Powstania nie wybuchają z takiego powodu! Jest wprost przeciwnie. Im bardziej będziemy ustępować, tym więcej będzie buntów. To taki krzyk nienawiści w stosunku do cywilizacji, z której dobrodziejstw chce się korzystać i której się już nieco posmakowało. Pokój jest pewny tylko wtedy, gdy o kształcie ekumeny społecznej decyduje większość. Potrzebne jest pewne minimum jednorodności, żeby móc upostaciwić wspólną egzystencję.

W wydanej w zeszłym roku i cieszącej się dużą popularnością książce „L’identité malheureuse” („Nędzna tożsamość”) dokonuje pan krytyki pojęcia kosmopolityzmu. Jak – w kontekście też w niej zawartych – oceniać należy zwycięstwo prawicowego Frontu Narodowego w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 r.?

Cóż, Francuzi zawsze szukali partii o określonej tożsamości ideologicznej. Nie diabolizuję elektoratu Frontu Narodowego. Rozumiem odruchy jego sympatyków, ale przyczyn sukcesu Frontu upatruję gdzie indziej. O problemach laickości, integracji i asymilacji powinni wypowiadać się przede wszystkim politycy ugrupowań centrowych i lewicowych, oddali niestety pole konkurencji. Przecież Francja ma coś do zaoferowania i wielkie ugrupowania republikańskie powinny o tym przypominać. To, co Martha Nussbaum uznałaby za pewną formę dominacji, jest tak naprawdę darem. Ale i wyzwaniem, z którym partia Marine Le Pen nie radzi sobie właściwie. Nie akceptuję rasizmu, który można wyczytać z jej wypowiedzi, tak jak nie wierzę w multikulturalizm. Chcę autentycznej i bardzo rzeczywistej gościnności, refleksyjnej i samokrytycznej. Przez to nie głosowałem na Front Narodowy.

A czy sądzi pan, że cywilizacja francuska jest w ogóle podatna na samokrytykę?

Przecież ona się nieustannie poddaje samokrytyce! Jest to jeden z zasadniczych wymiarów europejskiej cywilizacji, a także klucz do zrozumienia tożsamości Europejczyków. Zdrowy sceptycyzm odróżnia nas od muzułmanów. Zdolność do samokrytyki nie powinna jednak – jak pisał meksykański eseista Octavio Paz – stoczyć się do poziomu moralizatorskiego masochizmu, a ten znajduję w książkach Marthy Nussbaum. Akceptacja jej diagnozy oznaczałaby trwanie w kryzysie, a zapewne i jego pogłębienie. Dziś warto na nowo postawić pytania takie jak: Czy zmierzamy w kierunku cywilizacyjnego starcia, czy też uda nam się go uniknąć? Czy muzułmanie zgodzą się na to, żeby przyjąć europejskie zasady, czy też górę weźmie nienawiść?

Proszę spojrzeć, czym obecnie staje się pamięć o Holocauście. Europejski projekt pokoju ufundowany był na świadomości

bolesnej historii. Obecnie Żydzi nie czują się całkiem bezpiecznie w Starym Świecie. I nie chodzi tu bynajmniej o stary europejski antysemityzm, lecz o nowy rodzaj antysemityzmu. Przejawem jego jest zamach na Muzeum Żydowskie w Brukseli w maju 2014 r. czy atak na szkołę w Tuluzie w marcu 2012 r. Co się robi, żeby tego uniknąć? W jaki sposób się na to reaguje? Jak się temu zapobiega? To jest problem, który staje przed Europą i który musi ona niezwłocznie rozwiązać. Nie widzę też jakiegokolwiek bardziej palącego problemu zdolnego doprowadzić do mobilizacji jej sił.

Trudno jednak wyobrazić sobie taką mobilizację, gdy w tak wielu państwach Europy do władzy dochodzą partie skrajnie prawicowe.

Znalezienie przyczyny sukcesów tych ugrupowań nie jest łatwe. Może dzieje się tak dlatego, że Europejczycy, chcą pozostać Europejczykami, reanimować tożsamość kontynentalną. Dziwactwo, prawda? A może też dlatego, że chcą trochę więcej demokracji? Tu nie chodzi o „ucieczkę od wolności”, renesans faszyzmu. Ludzie, którzy głosują na Front Narodowy, chcą po prostu trochę suwerenności, którą znajdują, np. w kontroli fal migracji. Uważają, że Europę niszczy nieskuteczna biurokracja, że kontynent przestał wierzyć w moc modernizacji. Brak im poczucia bezpieczeństwa. Nie chcą żyć w nurcie nieustających zmian, chcą stąpać twardo po ziemi. Wszyscy jesteśmy istotami ziemskimi, a w Brukseli chcą nam zafundować – jak pisał Zygmunt Bauman – „płynne życie”, polegające na niedookreśleniu, powszechnej płynności. Ludzie wolą konkret!

ALAIN FINKIELKRAUT

francuski pisarz, filozof i eseista. Członek Académie française. W Polsce ukazały się m.in. jego książki: „Serce rozumiejące” (2012), „W imię innego. Antysemicka twarz lewicy” (2005), „Zagubione człowieczeństwo” (1999).

DR JAROSŁAW KUISZ

historyk prawa i analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”.

Przepis na społeczną katastrofę

Zamiast piętnować imigrantów należy pracować nad rozbudzeniem w nich poczucia przynależności do nowego kraju. W przeciwnym wypadku ich frustracja i poczucie wykluczenia będą się pogłębiać, a wraz z nimi – społeczne podziały, twierdzi kanadyjski filozof.

Jarosław Kuisz: Ponad 20 lat temu opublikował pan słynny esej na temat multikulturalizmu, w którym próbował pan pokazać, jak w liberalnych demokracjach mogą żyć obok siebie rozmaite wspólnoty wywodzące się z różnych kultur i prezentujące różne wizje dobra wspólnego. Dziś idee multikulturalizmu wydają się być w odwrocie. Dlaczego?

Charles Taylor: Mój esej mierzył się z bardzo ogólnym pytaniem: w jaki sposób powinniśmy podchodzić do kultur skrajnie odmiennych od naszej? Ludziom wydaje się, że rozumieją obce kultury, ale raz po raz przekonujemy się, że to nieprawda. Dobrym przykładem tego braku zrozumienia jest bezmyślna islamofobia, powszechna w krajach zachodnich. Mało kto zdaje sobie sprawę, że islam jest niezwykle zróżnicowany pod względem

form duchowości i stosunku do drugiego człowieka. W Pakistanie i Senegalu panują całkowicie odmienne formy religijności. To dlatego, kiedy tylko słyszę w telewizji, że islam jako całość jest taki lub inny, po prostu wyłączam telewizor.

Zdaniem Marthy Nussbaum przykładem islamofobii jest zakaz noszenia burki wprowadzony we Francji. Nussbaum odrzuca argumenty zwolenników zakazu, którzy powołują się chociażby na zasadę świeckości państwa francuskiego, względy bezpieczeństwa oraz prawo kobiet do wolności od religijnego przymusu. Jeden z najbardziej zagorzałych zwolenników podtrzymania zakazu, filozof Alain Finkielkraut, do powyższych argumentów dodaje jeszcze jeden: ludzie, którzy przyjeżdżają do Francji, powinni dostosować się do panujących tam zasad i kultury. Czyje stanowisko w tym sporze jest panu bliższe?

W jednym Finkielkraut na pewno ma rację. Jeśli pewne grupy nie akceptują praw człowieka, reguł demokracji czy zasad równości, z pewnością doprowadzi to do napięć społecznych. Musimy osiągnąć porozumienie co do pewnych fundamentalnych wartości. Ale wprowadzenie zakazu noszenia burki łamie wartości leżące u podstaw liberalnych demokracji i to w dwojaki sposób. Po pierwsze, takie prawo zakłada, że znamy prawdziwą motywację kobiet noszących burki, ale w liberalnym państwie prawodawca nie może odgórnie zdecydować, jakie jest znaczenie takiego czy innego gestu. Po drugie, nie można powiedzieć, że noszenie burki godzi w wartości Republiki Francuskiej, bo przecież ludzie mają różne opinie co do tego, jakie te wartości tak naprawdę są. Finkielkraut wygaduje wiele głupstw, ale ja nie nawołuję do tego, by wsadzić go do więzienia, mimo że jego opinie stoją moim zdaniem w sprzeczności z zasadami państwa liberalnego, jakim

jest Francja. Ludzie tak myślący – w imię obrony liberalizmu! – tak naprawdę domagają się ograniczenia swobód obywatelskich. To smutne.

Ale wielu Francuzów, w tym przedstawiciele francuskiej inteligencji, popiera te idee, tylko do tej pory mało kto miał odwagę otwarcie się do tego przyznać. Zdaniem tych ludzi należy bronić republiki i zasady laickości. Jest ich chyba nie mały, bo ostatnia książka Finkelkrauta, *L'identité malheureuse*, sprzedawała się we Francji znakomicie.

Na poziomie psychologicznym rozumiem te odczucia. Społeczeństwa zachodnie muszą przyjmować wielu imigrantów, w tym muzułmanów, ze względu na trudną sytuację demograficzną. Nagła zmiana społeczna rodzi niepokój. To normalne. Na początku problem asymilacji nowoprzybyłych może wyglądać na trudny, ale tak nie jest. Najgorsze co można zrobić w takiej sytuacji to tworzyć sztuczne różnice, które nie znajdują potwierdzenia w rzeczywistości. Nie wolno nam po prostu wymyślać sobie powodów dla atakowania imigrantów.

Finkelkraut odpowiedziałby, że nie chodzi tu ani o wymyślenie powodów do ataku, ani dyskryminowanie, ale po prostu o stosowanie tych samych zasad do wszystkich Francuzów. Kiedy w 1905 r. wprowadzono całkowity rozdział religii od państwa, francuscy katolicy musieli dostosować się do nowego prawa. Dlaczego z muzułmanami miałyby być inaczej? Niektóre wyrzeczenia, których wymagano od katolików, były zbędne. A poza tym z faktu, że kiedyś popełniono jakieś niesprawiedliwości w stosunku do katolików, nie wynika, że należy je obecnie powtarzać w stosunku do muzułmanów. Zasadnicze pytanie brzmi, jakie cele ma realizować zasada świeckości państwa.

Moim zdaniem można wskazać dwa najważniejsze. Jeden z nich to równość – państwo nie może popierać jednej religii przeciwko innej. Cel drugi to zapewnienie ludziom wolności do postępowania zgodnie z sumieniem. Wszelkie naruszenia tych zasad wymagają podania poważnego uzasadnienia. W przeciwnym razie są one niedopuszczalne.

Jaka jest więc pana opinia na temat sporu między Martha Nussbaum a Alainem Finkielkrautem? Nussbaum twierdzi, że Europejczycy i nowi imigranci muszą się do siebie dostosować i traktować z szacunkiem, a model całkowitej świeckości państwa na to nie pozwala. Finkielkraut z kolei mówi, że nowi przybysze powinni dostosować się do obowiązujących w danym kraju norm albo poszukać dla siebie miejsca gdzie indziej. Francuski filozof uważa, że staje w ten sposób w obronie zachodniej cywilizacji, którą chciałby uchronić przed podporządkowaniem kulturze nowych imigrantów.

Najważniejsza zasada demokracji mówi, że równi obywatele powinni wspólnie decydować o zasadach współżycia. Wzajemne uznanie siebie za równoprawnych członków danej wspólnoty jest niezbędnym warunkiem funkcjonowania demokracji. Obecne prawo francuskie – zakazujące noszenia burki – tej zasadzie przeczy, ponieważ wyróżnia niektórych obywateli i nakłada na nich restrykcje, które nie dotyczą innych. Demokracja liberalna nie może tworzyć dwóch klas obywateli. Finkielkraut, opowiadając się za utrzymaniem zakazu, tak naprawdę sprzeciwia się republikańskim zasadom, których chce ponoć bronić.

Jego zdaniem propozycja Nussbaum to z kolei przejaw ukrytego amerykańskiego imperializmu. Amerykańska filozofka chce ukształtować wszystkie zachodnie kraje na wzór

i podobieństwo Stanów Zjednoczonych z ich specyficznym podejściem do imigrantów. Finkelkraut uważa, że ten model we Francji się nie sprawdzi i zagrazi francuskiej kulturze.

W pewnym sensie ma rację, ponieważ Stany Zjednoczone są państwem ufundowanym na imigracji. Kraje Europy Zachodniej relatywnie niedawno otworzyły swoje granice i jeszcze nie wiedzą, w jaki sposób poradzić sobie z tym wyzwaniem. Ale rozwiązanie zaproponowane przez Finkelkrauta z pewnością zamiast pomóc, tylko pogorszy sprawę. Napięcia na tle rasowym, które w 2005 r. przerodziły się w zamieszki na przedmieściach Paryża, były spowodowane utrzymującą się we Francji dyskryminacją. Ludzi ocenia się już nie tylko po nazwiskach i wyznawanej religii, ale nawet po miejscu zamieszkania. Osoby z gorszych dzielnic mają znacznie mniejsze szanse na zażycie pracy, nawet jeśli posiadają odpowiednie kwalifikacje. Utrzymywanie, że osoby obcego pochodzenia lub innej wiary zagrażają francuskiej kulturze, tę dyskryminację z pewnością pogłębi – ludzie zaczną zadawać sobie pytanie, dlaczego mają dać pracę człowiekowi, który jest zagrożeniem dla ich kultury. Takie postawy zatruwają zachodnią demokrację.

Francuski filozof twierdzi, że nie dyskryminuje mieszkańców przedmieść. Wręcz przeciwnie, staje w obronie kobiet, które w religijnych społecznościach są dyskryminowane.

Nie można takiego twierdzenia traktować poważnie, bo przecież to kobiety są karane za noszenie burek, a za tym prawem stoi przede wszystkim strach przed obcością, a nie chęć walki z dyskryminacją kobiet. Podobny strach przed imigrantami pojawi się także w Polsce. Wasz kraj odniósł duży sukces gospodarczy i będzie dla imigrantów coraz bardziej atrakcyjny. Zwiększy się również zapotrzebowanie na ich pracę. To wielkie wyzwanie dla

lokalnych liderów politycznych i społecznych. Z jednej strony niepokój związany z tak wielką zmianą społeczną jest zrozumiały, z drugiej jednak należy uważać, by nie wymknął się spod kontroli. W przeciwnym razie grozi społeczną katastrofą.

Z jakich rozwiązań może skorzystać Polska? Mimo że w polskich miastach szybko rośnie liczba imigrantów, zwłaszcza z Wietnamu, wciąż niewiele wiemy o tego rodzaju napięciach społecznych, z którymi mamy do czynienia na francuskich przedmieściach. Wolimy problemu i samych imigrantów nie dostrzegać.

Lęki na tle rasowym może przełamać tylko wiedza o drugiej kulturze i kontakt z jej przedstawicielami. W przeciwnym razie górę biorą wyobrażenia na temat „innego”, które nie mają nic wspólnego z faktami. Należy więc wprowadzać takie rozwiązania, które zapobiegają tworzeniu barier między poszczególnymi grupami społecznymi. To ważne również dla imigrantów, by wciągnąć ich w obieg lokalnej kultury.

Z najgorszą możliwą sytuacją mamy do czynienia wówczas, gdy kontakt z imigrantami nie jest bezpośredni, ale zapośredniczony na przykład przez media, które nierzadko w poszukiwaniu sensacji wypaczają przecież obraz rzeczywistości, koncentrując się tylko na negatywnych zachowaniach imigrantów i problemach związanych z ich integracją. Gdyby ktoś mi powiedział, że wszyscy Polacy są głupi albo ksenofobiczni, mogę łatwo zaprzeczyć, powołując się na swoje doświadczenia spotkań z Polakami. Ale jeśli ktoś nie ma takich doświadczeń, łatwiej będzie go przekonać do tego rodzaju prostych twierdzeń.

A jednak najważniejsi europejscy politycy – Angela Merkel, David Cameron i Nicolas Sarkozy, kiedy był jeszcze prezydentem Francji – otwarcie mówili, że polityka multikulturalizmu poniosła klęskę i kraje zachodnie powinny bardziej skupić się na obronie własnych kultur.

To zależy, co rozumiemy pod pojęciem multikulturalizmu. Dla mnie to przede wszystkim forma integracji imigrantów z ich nowym społeczeństwem. Tymczasem na przykład Niemcy przez bardzo długi czas nie chcieli uznać obecności imigrantów, utrzymując, że są to wyłącznie gasterbeiterzy. A pracowników najemnych nie trzeba przecież integrować – kiedy zarobią pieniądze, wrócą do swoich domów. W Quebecu, skąd pochodzę, dzieci imigrantów były natychmiast włączane w system edukacji, gdzie uczono je francuskiego i lokalnej kultury. Chodziło o to, by nie czuły się outsiderami i nie były za takich uznawane. To absolutna podstawa polityki imigracyjnej, którą w Niemczech zaniedbano. Dziś nie brakuje tam dzieci urodzonych w rodzinach tureckich, które nie potrafią posługiwać się dobrze ani językiem niemieckim, ani tureckim. Taka sytuacja to gotowy przepis na społeczne wykluczenie.

Także we Francji najpoważniejszym wyzwaniem jest właśnie drugie i trzecie pokolenie imigrantów, czyli osób urodzonych już we Francji, a wciąż doświadczających pewnych form dyskryminacji. Ci ludzie nie mają kraju, do którego mogliby wrócić, a we Francji również nie czują się jak u siebie. I dlatego, zamiast ich piętnować, należy podwoić wysiłki zmierzające do obudzenia w nich poczucia przynależności. W przeciwnym wypadku ich frustracja będzie się tylko pogłębiać.

CHARLES TAYLOR

filozof, profesor emerytowany uniwersytetu McGill w Montrealu, permanent fellow w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu.

DR JAROSŁAW KUISZ

historyk prawa i analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”.

Z OLIVIEREM ROY ROZMAWIA JAROSŁAW KUISZ

Burka jako forma ekshibicjonizmu

Czy zabranianie noszenia burki to dyskryminacja? Francuski znawca islamu Olivier Roy twierdzi, że nie. Noszenie burki to indywidualna decyzja niewielkiej grupy dobrze wykształconych i bynajmniej nie podległych mężczyznom kobiet. Zaś twierdzenie, że zakaz celuje w europejski projekt wielokulturowości, jest zupełnym nieporozumieniem.

Jarosław Kuisz: Niedawno Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł, że francuskie przepisy zakazujące noszenia burki w miejscach publicznych nie mogą być traktowane jako naruszenie praw człowieka. Na przekór skardze młodej kobiety, V Republika może zatem nadal wymagać odsłaniania twarzy przez muzułmanki. Co sądzi pan o tym wyroku?

Olivier Roy: Trybunał w Strasburgu pozostawia państwom europejskim dużą autonomię, gdy chodzi o sferę wyznaniową. Uznaje, że historia relacji między religią a państwem jest w każdym kraju odmienna i specyficzna. W każdym z nich dzisiejszy kształt tych stosunków determinuje historia. Francja to kraj tradycyjnie laicki. W Irlandii i Polsce z kolei odwrotnie – mamy do

czynienia z dominującym oddziaływaniem Kościoła katolickiego na życie publiczne.

Egzekwowanie praw człowieka zależy zatem od kontekstu?

Swoboda religijna nie jest prawem abstrakcyjnym, wyjałowionym z kontekstu. Ale tu dochodzi jeszcze jedna kwestia: Europejski Trybunał może tym łatwiej poprzeć stanowisko Francji, że co do noszenia burki – inaczej niż w przypadku zakrywającej włosy chusty – istnieje spór nawet między alimami, muzułmańskimi teoretykami prawa. To czy dana kobieta nosi burkę, czy nie, jest zatem wynikiem osobistej interpretacji, jednostkowego wyboru. A w takiej sytuacji Trybunałowi łatwo przychodzi stwierdzenie, że można ograniczyć to indywidualne prawo ze względu na jego sprzeczność z normą dotyczącą życia społecznego danej wspólnoty obowiązującą w V Republice.

I nie niepokoi pana, że prawo dotyczące burki dotyczy we Francji zaledwie kilkuset osób i bywa używane jako populistyczne narzędzie przeciwko mniejszości muzułmańskiej, a nie rozwiązanie realnego problemu zasłoniętych twarzy?

To prawo cieszy się ogromnym poparciem w oczach opinii publicznej i Zgromadzenia Narodowego. Najważniejszy jest tu wymiar symboliczny związany z określeniem granicy, od której zaczyna się fundamentalizm. Zakaz burki nie dotyczy możliwości noszenia chusty. Doskonale zrozumiał to zresztą Sąd Kasacyjny, który orzekł niedawno w sprawie żłobka *Baby-Loup*, w którym doszło do zwolnienia noszącej chustę pracownicy żłobka. Sędziowie nie dopuścili do tego, by zakaz noszenia chusty w pracy zyskał rangę zasady ogólnej i zaznaczył, że dotyczy on jedynie osób, które podpisały umowę o pracę. Widać więc, że mamy tu do czynienia z poszukiwaniem kompromisu między zasadami dotyczącymi chusty i burki.

W rozmowie z „Kulturą Liberalną” Martha Nussbaum twierdzi, że Europejczycy powinni właściwie zmienić cały sposób myślenia o islamie. Proponuje model wzajemnego dostosowywania się (*mutual accomodation*) chrześcijan i muzułmanów. Wskazuje, że model laickości powoduje więcej niepokojów społecznych niż przyjęcie owej perspektywy „akomodacyjnej”. Decyzje Trybunału, o których rozmawiamy, w praktyce wykluczają tę propozycję.

Sądzę, że koncepcja wzajemnego dostosowywania się w przypadku burki nie funkcjonuje dobrze. Zakłada, że oto mamy do czynienia z dwoma społecznościami: jedną przyjmującą i drugą imigrancką, z których obie domagają się uznania dla swojej kultury. Jednak z taką sytuacją nie mamy tu do czynienia. Większość kobiet noszących burki to te, które przeszły na islam, a nie urodziły się w tym wyznaniu. Konwersja i apostazja zawsze rodzi skrajne emocje. Nie chodzi tu więc o negocjację między islamem a laickością, lecz między jednostkami a społeczeństwem. W przeciwieństwie do obrzezania, halalu, koszerności, a nawet chusty, gdzie w grę wchodzi zasada akceptowane przez daną wspólnotę wyznaniową, noszenie burki nie dotyczy tak naprawdę życia zbiorowego. Kobiety zasłaniające twarz niczego swoim postępowaniem nie wyrażają wobec wspólnoty, demonstrują tylko swój osobisty wybór. Więc to w ogóle nie jest problem multikulturalizmu. Burka nie została zaimportowana przez żadną grupę kulturową. Nikt jej nie nosi, gdy przybywa do Francji. To religijna rekonstrukcja, której dokonują kobiety w drugim pokoleniu lub te, które przyjęły islam w jego skrajnie fundamentalistycznej formie. Więcej: to pewna forma ekshibicjonizmu. Muzułmanki ciągle o burce mówią w mediach, górnolotnie opowiadając o dyskryminacji, jaka je spotyka. W większości są to kobiety niezamężne i bardzo dobrze wykształcone. Opowiadają się za pewną formą feminizmu, są bardzo przeciwne pornografii,

podkreślają wagę integralności ciała itd. Podkreślmy: statystycznie to nie kobiety uległy noszą burki, ale wręcz przeciwnie.

Jednak, gdybyśmy mieli podążać za argumentacją Nussbaum, można byłoby powiedzieć, że społeczność przyjmująca imigrantów, jeśli ceni sobie ideały gościnności, nie powinna zabraniać burki – nawet gdy jej noszenie jest wynikiem osobistego wyboru.

To tylko puste moralizatorstwo. Problem nie polega na tym, czy jesteśmy w stosunku do imigrantów gościnni, czy nie, ale na tym, jak traktujemy znak religijny w przestrzeni publicznej. Tu chodzi o zasadę kardynalną francuskiej ustawy o rozdziale kościołów od państwa z 1905 r. Nie ustanawia ona zakazu posługiwania się znakiem religijnym w przestrzeni publicznej, ale organizuje sposoby posługiwania się nim. Tak więc w sprawie burki chodzi o rekonfigurację przestrzeni publicznej w odniesieniu do nowych wymogów religijnych. I nie chodzi tu o żaden kompromis między grupami. Największe francuskie organizacje muzułmańskie nie domagają się przyzwolenia na noszenie burki, ale występują przeciwko zakazom noszenia chusty.

A może jest pan zbyt ugodowy? Gdy rozmawialiśmy z Alainem Finkielkrautem, stawiał on sprawę znacznie mocniej niż pan. Powiedział, że wszyscy, którzy przyjeżdżają do Francji, muszą dostosować się do jej kultury.

To czyste kpiny. Jeśli Finkielkraut tak mówi, to znaczy, że rozumie w kategoriach tożsamości francuskiej. Kłopot z tym, że żadnej francuskiej tożsamości nie ma! Nie istnieje żadne homogeniczne społeczeństwo francuskie, które nagle zostało skonfrontowane z elementami heterogenicznymi. Społeczeństwo nad Loarą zawsze było zróżnicowane, elementy laickie toczyły tu boje z katolickimi,

komuniści z całą resztą itd. Walka laickości z katolicyzmem trwała przez cały XX w., aż do roku 1984, kiedy to zniesiono prawo Savary'ego – ustawę kontrowersyjną, bo godzącą w autonomię szkolnictwa prywatnego.

Na dyskomfort muzułmanów, którzy nie czują się u siebie w społeczeństwie francuskim, radzi pan zatem spojrzeć z większego dystansu?

Tu nie chodzi o żaden dyskomfort, ale o dostosowanie pewnego systemu norm religijnych do zlaicyzowanej przestrzeni publicznej. Z Kościołem katolickim trwało to 70 lat. Z muzułmanami proces ten przebiega szybciej, ale generuje ogromne napięcia. Szczególnie gdy przychodzi do procesu, który nazywam formatowaniem. Weźmy sprawę meczetów. Pierwsze pokolenia imigrantów pragnęły wznosić takie świątynie, które przypominałyby budowle znane im z Turcji czy Maroka. To spotykało się z bardzo gwałtowną reakcją ze strony Europejczyków. W Szwajcarii skończyło się to zakazem wznoszenia minaretów. Ten zakaz nie jest jednak tożsamy z zabronieniem budowy meczetów. Jest to zakaz stosowania znaku kulturowego związanego z meczetem, ale niebędącego wymogiem religii. Dziś muzułmanie drugiego pokolenia wnoszą świątynie zintegrowane z krajobrazem, nieprzypominające już tych orientalnych. To kwestia adaptacji, nie przemocy.

Tylko czemu w przyszłości będzie służyć taki model adaptacji? Czy jego konsekwencją nie będą cierpienia ludzi, którzy chcieliby utwierdzić się w swojej tożsamości religijnej?

Bynajmniej. Jesteśmy świadkami kryzysu relacji społeczeństwo–państwo–naród. Obserwujemy konsekwencje osłabienia podmiotowości państw narodowych, które przyniosła ze sobą integracja europejska, znacznej liczebnie imigracji, wreszcie – kryzysu

ekonomicznego. Nie w każdej społecznie istotnej sprawie musi chodzić o tę nieszczęsną tożsamość, choć tak modne jest mówienie o niej. Tożsamość to nic więcej jak magiczne słowo, które służy do zaklinania rzeczywistości, przesłaniania prawdziwych problemów. Lepiej byśmy mówili o zwykłym cierpieniu stanowiącym pokłosie ksenofobii. Rasizm jest realny, a nie ma nic wspólnego z islamofobią.

Zgadza się pan z Davidem Cameronem i Angelą Merkel, że multikulturalizm poniósł porażkę?

Nie istnieje i nigdy nie istniał żaden multikulturalizm. Więcej: debata na jego temat całkowicie wypacza rozmowę na temat religii. Niech pan zwróci uwagę: drugie i trzecie pokolenia imigrantów wcale nie domagają się, by można było po arabsku mówić, jeść, nosić się. Oni domagają się praw religijnych. Nie wpisują się zatem wcale w ramy dyskusji o multikulturalizmie, ale o wolności religijnej, która w Europie zawsze była kontrolowana, i w pewną europejską tradycję formatowania pierwiastka religijnego przez polityczny.

OLIVIER ROY

znawca islamu, profesor w Europejskim Instytucie Uniwersyteckim we Florencji. Opublikował m.in. „Globalized Islam: The Search for a New Ummah” (2004), „Secularism Confronts Islam” (2007), „La Sainte Ignorance Le Seuil” (2008).

DR JAROSŁAW KUISZ

historyk prawa i analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”.

IWAN KRASIEW

Nie bójmy się politycznych emocji

Jesteśmy w stanie zakazać noszenia burki, ale nie zakážemy emocji, które ona wywołuje. A to właśnie strach przed emocjami politycznymi może leżeć u podstaw kryzysu projektu europejskiego.

Europejski Trybunał Praw Człowieka podtrzymał wprowadzony przez Francję zakaz noszenia w miejscach publicznych chusty zasłaniającej całą twarz, uzasadniając wyrok względami bezpieczeństwa. Krytycy decyzji twierdzą z kolei, że w czasach, gdy polityczna siła islamu rośnie, a przyszłość Unii Europejskiej staje pod znakiem zapytania, to sam zakaz stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa. Zarówno przeciwnicy, jak i zwolennicy francuskiego prawa uzasadniają swoje opinie, odwołując się do wartości europejskich.

Dyskusja pomiędzy Martha Nussbaum a Alainem Finkielkrautem to dobra okazja, by zadać sobie pytanie o to, czym są europejskie wartości i jak powinniśmy je interpretować. To, jak różne są prezentowane przez oboje filozofów definicje tolerancji, świadczy nie tylko o ich odrębnych punktach widzenia, ale

również o tym, że wychowali się w innych czasach i środowiskach. Ich zaciekły spór przypomina mi uwagę jednego z moich indyjskich kolegów dotyczącą różnic między indyjskimi a francuskimi sekularystami. „Każde z naszych państw jest świeckie – zauważył mój znajomy – ale indyjski sekularyzm jest sposobem na regulację relacji między różnymi wspólnotami religijnymi, a we Francji sekularyzm to państwowa religia”.

Skąd zatem biorą się te różnice i czy wartości europejskie, tak jak rozumie je Finkelkraut, są najlepszym sposobem na wzmocnienie Unii Europejskiej? A może są drogą wiodącą do jej samozniszczenia?

Analizując mechanizmy zabezpieczania tolerancji (*regimes of tolerance*) obowiązujące w Europie, należy zastanowić się nad historycznymi początkami Unii. Często zapominamy o tym, że powstanie UE nie było jedynie wynikiem destrukcyjnych doświadczeń II wojny światowej, ale także dostarczyło narracji, która pozwoliła społeczeństwom europejskim pożegnać swoje zamorskie imperia. W tym sensie zarówno Unia Europejska, jak i Indie są projektami postkolonialnymi. Unia powstała w wyniku odrzucenia nie tylko etnicznego nacjonalizmu, ale także imperialistycznej różnorodności. Rządy krajów kolonizujących, takich jak Francja czy Wielka Brytania, wykorzystały europejski projekt integracji w celu przekonania części społeczeństwa do porzucenia kolonii, podkreślając istotność spójności społecznej i kulturowej.

We Francji w pogodzeniu się z utratą Algierii pomocna była tradycja republikańska. To właśnie ten sposób argumentacji na rzecz projektu europejskiego jest wyraźnie widoczny w obecnej debacie. Tak więc, paradoksalnie, intelektualną pozycję Finkelkrauta najlepiej wyjaśniają uniwersalistyczny charakter francuskiego republikanizmu i doświadczenia procesu dekolonizacji.

Szczególnie istotne w krytyce unijnego liberalizmu, której dokonuje Martha Nussbaum, wydaje mi się z kolei zwrócenie uwagi na strach europejskich liberalów przed emocjami politycznymi. W europejskiej tradycji liberalnej podejrzliwość w stosunku do emocji politycznych jest silniejsza niż w tradycji amerykańskiej. W Ameryce można mieć liberalne serce – w Europie już nie. Posługując się terminologią amerykańskiego ekonomisty i politologa Alberta Hirschmana, można powiedzieć, że na Starym Kontynencie liberalizm wiąże się z wyraźnym oddzieleniem własnych pasji od interesów i z ciągłą walką o utrzymanie emocji poza życiem politycznym. Ale jak można pozbyć się pasji w świecie współczesnej kultury, która ma przede wszystkim wizualny charakter i podkreśla, że to właśnie emocjom powinniśmy ufać?

Martha Nussbaum ma rację, gdy stwierdza, że tolerancję są w stanie zapewnić tylko te systemy polityczne, które są systemami zarządzania emocjami. Niewykluczone, że to właśnie strach przed emocjami leży u podstaw obecnego kryzysu projektu europejskiego. Jesteśmy w stanie zakazać noszenia burki, ale nie zakážemy emocji, które ona wywołuje.

IWAN KRASTEW

szeF Centre for Liberal Strategies w Sofii, permanent fellow w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu. Ostatnio po polsku ukazała się jego książka „Demokracja nieufnych” (2013).

Z TIMOTHYEM GARTONEM ASHEM
ROZMAWIA KAROLINA WIGURA

Szkodliwość ochrony uczuć religijnych

O tym, dlaczego „multikulturalizm” jest pojęciem niepotrzebnym i jak po raz kolejny dostosować liberalizm do stojących przed nim wyzwań, mówi brytyjski historyk, wykładowca Uniwersytetu w Oksfordzie.

Karolina Wigura: Retoryka liberalna wszędzie jest w odwrocie. Hillary Clinton zasłynęła określeniem siebie jako „bardziej progresywnej niż liberalnej”. W Polsce Donald Tusk pisał niedawno o porzuceniu idei liberalizmu, bo „jednostka jest ważniejsza niż jakakolwiek idea czy doktryna”. Dlaczego tak się dzieje?

Timothy Garton Ash: Pierwszy powód to zmiana klimatu międzynarodowego. Jeszcze dwie dekady temu Francis Fukuyama wieszczyl koniec historii, twierdząc, że wobec liberalnej demokracji nie ma alternatywy ideologicznej. Takiej, która miałaby znaczenie transnarodowe, przyciągałaby ludzi z innych państw. Dziś wiemy, że się mylił. Taka alternatywa istnieje i jest nią chiński kapitalizm autorytarny – nazywany przez niektórych „leninowskim”. To model atrakcyjny nie tylko dla

władców Państwa Środka, ale i dla rządzących krajami rozwijającymi się, na przykład w Afryce – zwłaszcza od czasu rozpoczęcia kryzysu kapitalizmu zachodniego w 2008 r. Żyjemy w świecie coraz bardziej postzachodnim. Cały międzynarodowy porządek liberalny, który budowaliśmy po 1945 r. wraz z ONZ i Powszechną Deklaracją Praw Człowieka, jest zagrożony. Jesteśmy w defensywie.

A drugi powód?

Zachodni multikulturalizm. Samo pojęcie uważam za szkodliwe. Choć gdy mowa o rzeczywistości – multikulturalizm istnieje. W Polsce go jeszcze nie ma, ale wystarczy, że pojedziemy do Londynu – on jest multikulturalny. Wobec tego, obowiązkiem liberalnego państwa jest zapewnienie wolności słowa i równości wobec prawa każdemu człowiekowi z osobna, niezależnie od reprezentowanej przez niego kultury czy religii. W praktyce dochodzi jednak do konfliktów. W Szwajcarii odbyło się ostatnio referendum dotyczące tego, czy przy tamtejszych meczetach można budować minarety. Odpowiedź była negatywna. To kompletny absurd, bo przecież prawo budowania świątyń jest podstawą wolności wyznania! Także dyskusje o hidżabach, karykaturach, o sztukach teatralnych, którym zarzuca się, że są zagrożeniem terrorystycznym – to wszystko wzbudza ogromne negatywne emocje. Taki jest społeczny klimat. Z obu punktów widzenia, zachodniego i globalnego, brakuje spokojnej dyskusji nad tym, co w liberalnym społeczeństwie ma pierwszorzędne znaczenie, czego należy bronić za każdą cenę, a gdzie można pozwolić sobie na kompromis i negocjacje.

Mówi pan więc w zasadzie: Zachód jest coraz słabszy, coraz mniej przekonujące są jego kazania o wolności – nawet

dla niego samego – zatem podyskutujmy z tymi, którzy i tak będą nad nami dominowali...

„Dominacja” to zbyt mocne słowo.

Zgoda, więc inaczej. Zapraszamy Chiny i mówimy: oto nasze zasady, musicie ich przestrzegać, choć my sami jesteśmy skonfliktowani i słabsi od was.

Zupełnie nie tak. U nas w domu, w świecie zachodnim, słabsi nie jesteśmy. Tu budujemy własne zasady. Ale też czynimy to realistycznie: nie ma mowy o wierze w liberalny uniwersalizm, tak jak myślano o porządku międzynarodowym przez kilkadziesiąt lat po 1945 r.

Jeśli nie liberalny uniwersalizm, to co?

Oglądamy liberalizm klasyczny, liberalizm Johna Stuarta Milla, Gladstone’a, Orwella – i szukamy sposobu, by go dopasować do dzisiejszej rzeczywistości. Z Ralphem Dahrendorfem, z którym łączyła mnie wieloletnia przyjaźń aż do jego śmierci w 2009 r., rozmawialiśmy właśnie o takim pojęciu liberalizmu – klasycznym i nowoczesnym zarazem. Czyli nie tylko liberalizm polityczny, nie tylko ekonomiczny, ale także społeczny, zgodnie z przekonaniem, że ludzie bardzo biedni, bez wykształcenia lub chorzy, bez opieki zdrowotnej, nie mają jak korzystać w pełni ze swojej wolności. Ważny jest także aspekt obyczajowy.

Jak to się ma do rzeczywistości globalnej, o której rozmawialiśmy przed chwilą?

Bardzo ściśle. Przez istniejące dziś mniejszości – dzięki masowej migracji w takich miastach jak Londyn czy Nowy Jork mieszkają ludzie z całego świata. A oprócz tej strony fizycznej jest jeszcze wirtualna. Szacuje się, że z 7 mld ludzi mieszkających na naszej

planecie przynajmniej cztery są włączone do Internetu – albo przez komputery osobiste, albo przez telefony komórkowe i tak dalej. W tym wirtualnym świecie sąsiadują ze sobą wszystkie kultury, wszystkie narodowości, języki. Jesteśmy tam wszyscy. I to jest wielka szansa dla wolności, dla dyskusji, wymiany poglądów i informacji. Jednocześnie w sieci jest ogromnie dużo zagrożeń: jest pedofilia, nienawiść rasowa, propaganda nienawiści, kłamstwa. Właśnie tu jest potrzeba dyskusji, o której mówiłem wcześniej.

To brzmi bardzo ciekawie w teorii, ale jak ma wyglądać w praktyce?

Praktycznie to wygląda tak, że od stycznia zapraszamy także czytelników „Kultury Liberalnej” na stronę freespeechdebate.com. Tam w trzynastu językach, nawet po chińsku, w urdu i po rosyjsku, można dyskutować o dziesięciu zasadach wolności słowa. O tym, jaki ma być nasz stosunek do religii, do prywatności, co ma do nich bezpieczeństwo narodowe i tak dalej. Omawiamy nie tylko ogólne zasady, ale i – co najważniejsze – konkretne przypadki. Karykatury Mahometa to już przykład klasyczny, a Polska dostarczyła ostatnio nowego, mianowicie piosenkarka Doda została postawiona przed sądem za krytyczną wypowiedź o autorach Biblii.

To ostatnio rzeczywiście bardzo gorący temat w Polsce. Wcześniej dyskutowaliśmy jeszcze o blackmetalowym muzyku Nergalu, który podarł na scenie Biblię, nazywając ją „parszywą księgą”. Sąd stwierdził ostatecznie, że Nergal nie obrażał uczuć religijnych, bo podarł księgę na własnym koncercie, na oczach widzów, których z racji sympatii do tego rodzaju muzyki trudno podejrzewać o szczególne zaangażowanie w sprawy religijne. Jego zachowanie uznano za działanie artystyczne.

Z tym, że moim zdaniem w prawie w ogóle nie powinno być przepisów o obrazie uczuć religijnych. Niech Nergal albo potem Doda mówią, co chcą, niech się wygłupiają, ale nie powinien im za to grozić sąd. Na przykład w Wielkiej Brytanii nie ma już takiego zapisu. Polska jest jednak w dalszym ciągu krajem dość homogenicznym. To się zmieni z czasem, w miarę jak społeczeństwo będzie stawać się coraz bardziej zróżnicowane. Inaczej będziecie mieli potężny problem, bo każda grupa religijna czy etniczna będzie się domagać ochrony swoich specjalnych uczuć, szacunku dla swojego tabu. A wtedy czeka was multiplikacja tabu, bluźnierstw definiowanych inaczej przez islam, buddyzm czy scjentologów... A jeśli uznawać definicje scjentologów, to dlaczego nie satanistów? I tak dalej, i tak dalej. Bo kto decyduje, że chrześcijaństwo jest poważną religią, a scjentologia nie? Dlatego jedyne, co pozostaje, to być bardziej konsekwentnym w naszym liberalizmie. A to znaczy bezustanne adaptowanie liberalizmu do nowej sytuacji.

Jak dziś wygląda ta dyskusja? Ile osób odwiedza stronę w mieście, jak wygląda wymiana argumentów między nimi?

Mamy niezwykle żywą dyskusję, subskrybentów z 86 krajów, stronę odwiedziło dotąd 100 tys. osób. Przewidujemy intensywną wymianę zdań, na przykład na tematy związane z religią, ale również trudniejsze do przewidzenia w intensywności – o prywatności, anonimowości, bezpieczeństwie narodowym i tak dalej. Ku naszemu zaskoczeniu szczególnie popularne są dyskusje wcale nie o świecie islamskim, ale o Chinach.

Chciałabym teraz zapytać, jakie problemy domagają się według pana szczególnej uwagi w dzisiejszych społeczeństwach liberalnych?

Najważniejszym jest dziś pewnie multikulturalizm. Mówiłem wcześniej, że to pojęcie jest według mnie niepotrzebne. Bo przecież, gdy dopasowywano liberalizm do społeczeństwa XIX-wiecznego, z silną klasą robotniczą, nie mówiono o „multiklasizmie”. Ani też nie mówiono o „multiplściowości”, gdy kobiety dostały prawo wyborcze. Multikulturalizm to nic innego jak liberalizm rozwinięty i zaadaptowany do nowej sytuacji. Zgodny z zasadą: *we respect the believer, but not necessarily the content of the belief*.

Czyli szanujemy wierzącego, ale niekoniecznie treść jego przekonań. Zatem rozumiem, że zasady deliberacji na stronie, o której pan mówił, są jednak narzucane przez was, a nie ucierane w trakcie dyskusji.

Raczej proponujemy, jak to nazywamy, *draft principles*, zasady robocze. One są konieczne, bo inaczej mielibyśmy do czynienia z prawdziwą wieżą Babel. Bardzo ciekawym przykładem jest tu zasada wolności wyznania, bo kłopoty z dyskusją zaczynają się już od tłumaczenia z jednego języka na inny. I tak, udało nam się przetłumaczyć zdanie o wierzącym i jego przekonaniach na polski, ale już przekład na arabski czy urdu jest prawie niemożliwy, bo słowo „wierzący” oznacza prawie wyłącznie wierzącego w islam. A jeśli nawet nie ma problemu z tłumaczeniem, zasada wolności wyznania potrafi wchodzić w konflikt choćby z zasadą wolności słowa.

Jakie mają być efekty debaty, którą pan proponuje? Prawdziwie liberalne społeczeństwa czy może państwa? Jakaś idealna wizja globalnej debaty?

Już Kant pisał, że konflikt jest niezbędny – ale oczywiście ten cywilizowany. Pytanie brzmi, na ile to powinno i może być uregulowane przez państwo, przez prawo. Jest wykluczone, by państwo

odgrywało rolę nauczyciela. Liberalizm jest dla ludzi dorosłych, każdy musi sam przemyśleć swoje postępowanie i być gotowy na konsekwencje. Są jednak dziedziny, gdzie państwo musi taką nakazującą rolę odegrać. Dobrym przykładem jest sfera prywatności. Pamiętam, jak CEO pewnej znaczącej firmy, chyba Microsoftu, powiedział takie zdanie: *Privacy is dead, forget it*. Każdy, kto używa Facebooka, wie, o co chodzi. Internet jest szansą dla wolności słowa tak wielką, jak zagrożeniem dla prywatności. Osobiście uważam, że akurat tu potrzebujemy silniejszej interwencji państwa, sądów, prawa międzynarodowego. Musimy chronić sferę prywatności, w sensie wolnych i świadomych wyborów jednostki. Generalnie rzecz biorąc, wszyscy mamy świadomość, co państwo wie o nas i co mogą wiedzieć o nas inni. Ale jeśli zechcę skasować swój profil na Facebooku, okazuje się, że to nie takie łatwe. Wszystko tam zostaje, nawet mimo skasowania. Wraz z kompromitującymi zdjęciami, różnymi głupstwami, które może znaleźć pracodawca.

A gdy dochodzi do konfliktu w sferze wirtualnej, czy możemy wyobrazić sobie instytucję, która będzie między nami arbitrem? Może Europejski Trybunał Sprawiedliwości mógłby prowadzić takie sprawy, analogiczne do Lautsi przeciwko Włochom i Dahlab przeciwko Szwecji?

Niestety, wiemy, że orzeczenia Trybunału są ze sobą często sprzeczne. Dodatkowo pamiętajmy, że mamy do czynienia nie tylko z państwami. W Internecie Google jest silniejszy niż Niemcy, a Facebook – silniejszy niż Francja. To, co w rzeczywistości decyduje o naszej wolności słowa, to wielkie mocarstwa prywatne. A więc zasadniczym pytaniem jest, jakie zasady obowiązują na Facebooku. Co wolno, a czego nie wolno w Google? To pytania równie ważne, jak to, na co pozwala państwo polskie. Albo weźmy inny przykład: *Holocaust denial*. Jak to się nazywa po polsku?

„Kłamstwo oświęcimskie”. Dziwnie, prawda?

Rzeczywiście, to bardzo niedobre tłumaczenie. W każdym razie: *Holocaust denial* jest ze zrozumiałych powodów zabroniony w Niemczech. To oznacza, że na Google.de nie znajdzie pani jego przykładów. Ale czy gdyby się one tam znalazły, Republika Federalna musiałaby wytoczyć proces Google.com? Ale Google.com to coś w rodzaju wirtualnych Stanów Zjednoczonych. Krótko mówiąc: decyzje o tym wszystkim nie zapadają na płaszczyźnie ustawodawczej jednego ani nawet kilku państw. To znacznie bardziej skomplikowane.

W swojej ostatniej książce, „Facts are Subversive”, pisze pan dodatkowo o dostępie do informacji. Oddziela je pan od opinii, twierdząc, że sednem wolności jest dziś dostęp do informacji właśnie...

Nie można wydawać sensownych opinii bez dostępu do informacji. Nie zadecydujemy bez niego o właściwej polityce w danej dziedzinie. Doskonale wiemy, że państwo totalitarne funkcjonowało w taki właśnie sposób: obowiązywały w nim kłamstwo i monopol partii na informację. Tu znów wracamy do dzisiejszych wyzwania wobec liberalizmu klasycznego: John Stuart Mill żyjąc w Wielkiej Brytanii w XIX w., nie miał pojęcia o tym, czym będzie ZSRR. Lekceważył więc problem kontroli państwa nad informacją. W tej chwili wiemy już, że dostęp do informacji jest podstawowym prawem człowieka. Wie pani, bywam teraz dość często w Chinach. Można tam bez problemu dyskutować o ideach – o demokracji, wolności słowa itd. Ale dostać informację, co konkretnie robi państwo chińskie, to zupełnie inna sprawa.

Czy nie obawia się pan, że wszyscy, których zapraszacie – ludzie z całego świata – nie będą przygotowani na merytoryczną,

spokojną debatę, którą sobie pan wyobraża? Adaptując liberalizm do nowej sytuacji, jak pan mówi, uruchamiamy wiele problemów, z którymi system ten się borykał, a także takich, z którymi sobie nie poradził. Na przykład John Stuart Mill wierzył, że debata publiczna prowadzi do prawdy, ale nie brał pod uwagę tego, że ludzie mogą nie być gotowi, by rozmawiać. Gotowi – w takim sensie, żebyśmy umieli nawzajem się słuchać, szanować, rozpatrywać argumenty wedle ich merytorycznej wartości, a nie pragnienia, by mieć za wszelką cenę rację...

Ale przecież cała historia liberalizmu polega na borykaniu się z takimi problemami. Wystarczy skonfrontować Milla z nowymi problemami społecznymi, konfliktami narodowościowymi czy klasowymi, zobaczyć, jakie miejsce zajmują w jego pismach mniejszości etniczne, by zrozumieć, że to, co otrzymujemy w klasycznym liberalizmie, to tylko pewien wzorzec, który musimy interpretować z uwzględnieniem współczesnych warunków. Z każdym takim problemem liberalizm się rozwija.

TIMOTHY GARTON ASH

profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego. Współautor raportu „Freedom in Diversity. Ten Lessons for Public Policy from Britain, Canada, France, Germany and the United States” (2014).

DR KAROLINA WIGURA

historyczka idei, szefowa działu politycznego „Kultury Liberalnej”. Autorka książki „Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki”.

Multi-kulti to kompletne nieporozumienie

Pluralizm kulturowy nie oznacza, że przybysze do Europy będą mogli kultywować tu swoje wartości w niezmienionej formie, oczekując, że gospodarze w pełni je zaakceptują, mówi syryjski politolog.

Karolina Wigura: „Totalna porażka”, „zupełna kompromitacja”, „poważny błąd”. To tylko niektóre z określeń, które w ostatnich latach mnożono na temat multikulturalizmu. Tymczasem retoryka antyimigrancka staje się coraz popularniejsza w Unii Europejskiej: słyhać ją już nie tylko z ust liderów niektórych partii w Holandii czy Finlandii, ale nawet w kampanii prezydenckiej we Francji. To koniec tolerancyjnej Europy?

Bassam Tibi: Zacznijmy od tego, że multikulturalizm to rzeczywiście kompletne nieporozumienie. W Europie Zachodniej, ba! zapewne również w Polsce, identyfikuje się go z różnorodnością kulturową. A to dwie zupełnie różne rzeczy. Multikulturalizm to kulturowy relatywizm. Oznacza tyle: przybywający do Europy imigranci – powiedzmy, że są to osoby z krajów islamskich,

osiedlając się w Niemczech czy Francji, a wkrótce także w Polsce – mogą kultywować tu swoje wartości w niezmienionej formie. A ich nowi gospodarze muszą to zaakceptować – czy im się to podoba, czy nie. Takie podejście prowadzi jednak do nadużyć.

Sam pochodzi pan z Syrii i jest muzułmaninem. Mieszkał pan w Europie kilkadziesiąt lat. Jak odnalazł pan równowagę między tradycją własną a europejską?

Jestem zwolennikiem różnorodności kulturowej Europy – to znaczy otwartości na ludzi spoza jej kręgu kulturowego bez przyzwolenia na brak szacunku dla wyznawanych tu wartości. Pluralizm kulturowy to „tak” dla migracji, „tak” dla wejścia przedstawicieli wielu kultur do wspólnoty europejskiej, ale zdecydowane „nie” dla zamazywania zbioru europejskich wartości. Należą do niego choćby demokracja, równość płci, rozdział polityki od religii. A więc jeśli ktoś przyjeżdża do Europy i twierdzi, że islam jest jedyną i najlepszą religią, odpowiem mu – nie! Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela mówi o wolności religijnej i to ona jest tu podstawą, a nie Koran. Jeśli ktoś inny przyjeżdża i twierdzi, że jego życie wyznacza szariat, odpowiadam znów – nie! Jeśli chcesz tak myśleć, nikt nie zmusza cię do życia we Francji, w Niemczech czy Danii.

A jeśli ktoś chce żyć wyłącznie wedle szariatu w Iranie lub Arabii Saudyjskiej?

Odpowiem pytaniem. Rozumiem, że jako Europejka, oczekuje pani ode mnie, że będę przestrzegał zasad europejskich, pomimo iż w islamie, w którym zostałem wychowany, kobieta jest podporządkowana mężczyźnie?

Mówimy o Europie czy Bliskim Wschodzie?

A jaka to różnica?

Zasadnicza. Jeśli byłoby to w Europie, mogę wymagać spełniania europejskich zasad. Jeśli byłabym na Bliskim Wschodzie i mężczyzna na przykład nie chciałby podać mi na powitanie ręki, nie pouczalabym go, że musi to zrobić, skoro wiem, że wedle islamu obcy mężczyzna i obca kobieta nie mogą się dotknąć.

Jest pani zatem sama relatywistką kulturową.

Raczej realistką. Gdybym wymagała od osób spotkanych na Bliskim Wschodzie, w ich własnym kraju, by spełniali wszystkie moje zasady, oni również mogą żądać tego samego, będąc w Europie.

Zgoda, pod warunkiem, że zgodzimy się, iż część zasad jest po prostu uniwersalna. Uważam za takie te wartości, które wymieniłem jako europejskie, związane z demokracją, równością płci itd. Oczywiście trzeba być wrażliwym na to, że w innych kulturach mogą istnieć konwenanse: niedotykanie się przez obcych kobietę i mężczyznę w krajach arabskich, a w Europie na przykład przepuszczanie kobiet w drzwiach. Nieuczynienie zadość tym zwyczajom może, ale nie musi, przekładać się na naruszenie podstawowych wartości.

A czy europejscy politycy rozróżniają między relatywizmem i pluralizmem kulturowym?

Przypuszczam, że nie. A utożsamienie ich ze sobą prowadzi do tragicznych skutków. W Wielkiej Brytanii multikulturalizm doprowadził do istnego *anything goes*, imigrantom wszystko wolno. Albo proszę spacerować się po berlińskiej dzielnicy

Kreuzberg. W Republice Federalnej ta sama ideologia doprowadziła do powstania tego, co Niemcy nazywają *parallel Gesellschaften*, społeczeństw równoległych. I to jeszcze nie wszystko. Zaczęto utożsamiać multikulturalizm ze zjawiskiem migracji jako takiej. To dlatego Europejczycy są tak niechętni kolejnym falom migrantów. Myślę, że nie życzy ich sobie nawet 90 proc. mieszkańców Unii.

Frank Furedi pisał kiedyś, że w Europie multikulturalizm okazał się wygodnym substytutem dyskusji o tym, co tak naprawdę łączy ludzi. Problemem nie jest zatem wielość kultur, lecz to, że społeczeństwa utraciły wspólny obraz świata...

Raczej doszło do kompletnego pomieszania pojęć. Weźmy kolejne: asymilację i integrację. Asymilacja oznaczałaby, że podczas lat spędzonych w Niemczech musiałbym porzucić cały – przywieziony z Syrii – dotychczasowy sposób życia oraz moje przekonania, by stać się Europejczykiem. Temu jestem przeciwny. Integracja natomiast to proces przystosowania, w którym mogłem pozostać muzułmaninem, przyjmując jednocześnie europejskie normy postępowania i szanując je. Dzięki temu stałem się obywatelem Europy. Wielu wyznawców islamu tego jednak nie akceptuje. A ideologię multikulturalizmu traktują jako łatwy sposób samousprawiedliwienia.

Mówi pan o pomieszaniu pojęć. W czyich głowach? Z pańskich wypowiedzi wynika, że odpowiedzialność spoczywa po stronie Europejczyków – bo nie przemyśleli tego, czego tak naprawdę oczekują od imigrantów.

W dużej mierze tak jest. Mówi pani „Europejczycy”, no właśnie... Pojęcie „Europejczycy” nie powinno być puste. A takie jest. Sami

nie słuchacie własnej kultury, sami nie jesteście pewni, na jakich podstawach się ona opiera. A to najważniejsze zagadnienie!

A imigranci licznie przyjeżdżający do Europy, choćby po arabskiej wiosnie, to marginalne zjawisko?

Ależ skąd, ludzie całymi tysiącami uciekają do was. Na całym świecie, oglądając telewizję i widząc, jak żyje się w Europie, myślą o tym, jak to zrobić, by w niej zamieszkać. Jeden z moich znajomych w Turcji badał, ilu mieszkańców tego kraju chciałoby przenieść się do Francji czy Niemiec. Okazuje się, że jest to niemal 50 proc.! Połowa społeczeństwa tureckiego to 40 mln ludzi! Mylimy jednak skutek – w postaci strachu przed przybyszami – z prawdziwą przyczyną. Politycy europejscy mogą sobie perorować z mównic, co tylko chcą. Ale będą to same nonsensy, dopóki Europa nie będzie miała wspólnej polityki imigracyjnej, procedur, programów edukacyjnych.

Peter Sloterdijk powiedział mi ostatnio, że problemy Europejczyków wynikają z tego, że nie potrafią oni właściwie rozpoznać swojej tożsamości. Mieszkańcy Starego Kontynentu są tymi, którzy po 1945 r. dostali drugą szansę. Sloterdijk przywołuje mit Eneasza. On też dostał drugą szansę i założył nowe miasto. Gdybyśmy – twierdzi – wszyscy zdali sobie z tego sprawę, moglibyśmy „wyemigrować” z ciasnych narodowych wspólnot. Wtedy rozpoczęłaby się debata o różnorodności kulturowej, integracji, a dopiero później, w konsekwencji, o wspólnej polityce migracyjnej...

To bardzo efektowne i pewnie sporo tu racji. Ale też jedna rzecz to kompletny nonsens. Sloterdijk jest wychowankiem i mieszkańcem Europy Zachodniej. I jak każdy zachodni Europejczyk nie rozumie, co się wokół niego dzieje. Tego, że globalizacja

i globalne migracje wpływają na Stary Kontynent zarówno pozytywnie, jak i negatywnie – i potrzebna jest polityka, by tym procesem zarządzać. Sloterdijk jest romantykiem, skoro twierdzi, że wszyscy jesteśmy migrantami. Być może dlatego, że jest Niemcem, nigdy nie musiał udowadniać, że jego niemiecki jest wystarczająco dobry, by mógł pracować na niemieckiej uczelni... Ja musiałem. Może dlatego, choć w Niemczech opublikowałem aż 30 książek, nie powiedziałbym, że stałem się szczególnie ważnym punktem odniesienia na tamtejszej mapie intelektualistów. W Stanach Zjednoczonych wystarczyło zaledwie kilka, by dostać pracę na Harvardzie. W rzeczywistości to Ameryka jest kontynentem stworzonym *per se* z migrantów. Amerykanie dobrze realizują mit Eneasza.

Ale powiedział pan też, że Sloterdijk ma sporo racji...

Tak, w tym, że coś musiałoby się zmienić także w mentalności Europejczyków, żeby byli bardziej otwarci na przybyszy. Wynika to jednak nie z niezrozumienia europejskiego mitu, ale po prostu z nieumiejętności określenia, co należy do zbioru najważniejszych wartości. Proszę popatrzeć: pani jest Polką i wygląda europejsko. Ja jestem Syryjczykiem i tak nie wyglądam. Ale to nie powinno mieć znaczenia. Europejczyk – to znaczy osoba ślepa na religię, ślepa na pochodzenie etniczne. Jedynym kryterium są wyznawane wartości.

Teraz pan mówi bardzo efektownie, ale zanedbto upraszcza. Definiując europejskość, wybiera pan tylko jeden nurt tradycji tej kultury. Są też inne. Na przykład Europa jest wciąż w dużej mierze oparta na tradycji chrześcijańskiej. Europa to też wciąż zbiór państw narodowych. Nie tak łatwo jest arbitralnie zadecydować, który z tych nurtów tradycji jest

najważniejszy. Ale chciałabym teraz zapytać o coś innego. Porozmawialiśmy o błędach, jakie popełniają Europejczycy. Wróćmy do wyznawców islamu. Sam jest pan krytykiem tej religii. Stworzył pan również koncepcję islamu zwesternizowanego.

Tak, nazwałem go euroislamem. Krytyka własnej religii ma dla mnie fundamentalne znaczenie. Jeśli w Europie jest pani katoliczką i krytykuje katolicyzm, nikt nie będzie usuwał pani za to z Kościoła. Jednak w kulturze islamskiej nie istnieje taka tradycja tolerancji. Osoby, które są krytyczne wobec islamu, oskarża się, że są przeciwko religii Allaha. W części krajów krytycyzm jest wręcz zakazany. A co najgorsze, tego rodzaju argumenty pojawiają się już w Europie. Nie wolno krytykować – twierdzi wielu. W imię multikulturalizmu właśnie, bo jak tłumaczą, multikulturalizm oznacza szacunek dla innych kultur.

Nie jest do końca tak, jak pan mówi. Przeciwnicy budowania meczetów w Niemczech zbierają pod swoimi petycjami nierzadko dziesiątki tysięcy podpisów. Książka Thilo Sarrażina, choć krytykowana, pozostawała przez całe tygodnie na liście bestsellerów w Republice Federalnej. Wygląda na to, że na krytyce islamu można zbić niemały kapitał polityczny.

Ja mówię jednak w tej chwili o tym, jak zachowują się sami europejscy muzułmanie. Zamiast występować z pozycji partnerskich, dokonują autowiktyimizacji. Mówi się nawet o zjawisku „kradzieży Holocaustu” przez muzułmanów, którzy mówią: to my jesteśmy dziś Żydami Europy. Tak nastawieni, w oczywisty sposób nie przyjmują żadnej krytyki. Nawet mnie mówią: „Panie Tibi, nie ma pan prawa nas krytykować. Dlatego że pan krytykuje, nie jest pan żadnym muzułmaninem, nie jest pan jednym z nas”. Swoją drogą, może przyczyną tej sytuacji jest to, że

imigranci islamscy w swoich własnych krajach krępowani byli różnymi łańcuchami. Krępującymi ciała w dosłownym sensie, jak w Syrii, lub krępującymi umysły, jak w Tunezji, gdzie do arabskiej wiosny zakazany był Internet. Nie mówiąc już o tym, jak mało tłumaczono książek. Proszę pomyśleć: jest około 350 mln Arabów. I na te 350 mln rocznie przypadało zaledwie 1000 tłumaczeń literatury na arabski! To znaczy, że Arabowie nie mieli pojęcia, co dzieje się na świecie poza granicami ich krajów. Zapewne wielu, przyjeżdżając do Europy, zabrało te łańcuchy – w sensie mentalnym – ze sobą. To wszystko jednak nie ma nic wspólnego z multikulturalizmem. Poradzenie sobie z nim to kwestia dyskusji wewnątrz europejskiej.

BASSAM TIBI

politolog i znawca stosunków międzynarodowych, propagator idei euroislam, twórca terminu *Leitkultur*. Urodzony w Syrii, spędził wiele lat, pracując na uniwersytetach w Niemczech, a następnie wykładał na Harvardzie, Princeton i Berkeley. W Polsce ukazał się jego „Fundamentalizm religijny” (2004).

DR KAROLINA WIGURA

historyczka idei, szefowa działu politycznego „Kultury Liberalnej”. Autorka książki „Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki”

Nie ufaj obcym! Twarze inności we współczesnej Europie

O słabościach i mocnych stronach polityki imigracyjnej państw Zachodu oraz o tym, z czyich doświadczeń może czerpać Polska, rozmawiali Timothy Garton Ash, Jarosław Kuisz, Wiktor Osiatyński i Monika Płatek.

Tomasz Sawczuk: Pierwsze pytanie kieruję do profesora Timothy’ego Gartona Asha. Zespół pod pańskim kierownictwem wydał niedawno raport pt. „Freedom in Diversity”, który analizuje zagadnienie migracji na podstawie doświadczeń pięciu krajów – Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Kanady. Wśród 10 zaleceń, które zostały sformułowane w dokumencie, pierwsze mówi, że jeśli ktoś zostaje w danym kraju dostatecznie długo, powinien mieć prawo do uzyskania obywatelstwa. Wielu Europejczyków obawia się jednak, że taka polityka doprowadzi do rozmycia pojęcia obywatelstwa i utraty silnej tożsamości państwowej w poszczególnych krajach. Czy te obawy są uzasadnione?

Timothy Garton Ash: Zanim odpowiem, muszę zaznaczyć, że mówię o Europie Zachodniej, która jest w zupełnie innej sytuacji

niż kraje Europy Wschodniej. Europa Wschodnia była terytorium wielokulturowym, wieloetnicznym, wieloreligijnym, które przez Hitlera, Stalina, przez czystki i podziały stawało się coraz bardziej homogeniczne. Klasycznym przykładem jest właśnie Polska. Ernest Gellner powiedział kiedyś, że państwa tego regionu przypominały dawniej obrazy Oskara Kokoschki, które w toku historii zmieniły się w uporządkowane płótna Pietra Mondriana.

Wiktor Osiatyński: Kokoschka nie pasuje do Europy Wschodniej. Raczej Kandinsky i jego obrazy z różnokolorowymi kołami namalowanymi obok siebie. Owszem, państwa środkowoeuropejskie były wielokulturowe, ale ci ludzie żyli obok siebie, a nie ze sobą. Za wyjątkiem bardzo wąskiej grupy elit, która wymieszała się na uniwersytetach, Żydzi czy Rosjanie nie przenikali do polskiego społeczeństwa. To nie była wspólnota.

Timothy Garton Ash: Co nie zmienia faktu, że w Europie Zachodniej mamy do czynienia z procesami dokładnie odwrotnymi. Wielka Brytania jeszcze 60 lat temu była krajem homogenicznym, który na skutek migracji bardzo szybko stał się wielokulturowy, wieloetniczny. To samo z Francją, z Niemcami. Być może Polskę również czeka taka zamiana, ale na razie jest to specyficzny, zachodnioeuropejski problem.

Sądzę, że jednym ze sposobów zmniejszenia napięć na tle imigracji powinno być nadawanie przybyszom obywatelstwa. Jeszcze 10 lat temu w Niemczech mniej więcej 10 proc. stałych mieszkańców, ok. 8 mln ludzi, określano jako *Ausländer*, cudzoziemcy. Nie mieli obywatelstwa i nie mogli go uzyskać. Moim zdaniem to nie tylko złamanie zasady liberalnej, tj. naruszenie wolności i praw człowieka, ale również czynnik bardzo utrudniający integrację – nie tylko w Niemczech. Co ważne, jeżeli akceptujemy zasadę, że większość mieszkańców powinna mieć obywatelstwo, powinniśmy akceptować również podwójne

obywatelstwo. Nie można przecież nakazać komuś rezygnacji ze swojego dotychczasowego obywatelstwa, by zmógł zostać obywatelem naszego kraju.

Tomasz Sawczuk: Czy mając dwa obywatelstwa, można być równie lojalnym wobec obu krajów? Podejrzenia o niedostateczną lojalność wobec nowej ojczyzny mogą rodzić uzasadnioną niechęć do cudzoziemców. Podobne zastrzeżenia zgłaszał na łamach „Kultury Liberalnej” Alain Finkielkraut w rozmowie z Jarosławem Kuiszem.

Timothy Garton Ash: Moim zdaniem pytanie o to, jak zachowywać się wobec obcych, jest w pewnym sensie źle postawione – bo przecież chodzi o to, by oni przestali być obcy, prawda? Weźmy przykład Kanady. W tamtejszym parlamencie dokonano niedawno zamachu terrorystycznego. Jego sprawcą nie był jednak człowiek, który miał podwójne obywatelstwo. To nie był imigrant, lecz rodowity Kanadyjczyk, który przeszedł na islam. Nasze badania wskazują, że integracja migrantów jest najbardziej udana właśnie w Kanadzie i nieprzypadkowo odsetek cudzoziemców posiadających obywatelstwo nowego kraju jest najwyższy właśnie tam.

Jarosław Kuisz: Zgadzam się, że rozmawiając o imigracji, nie możemy pomijać różnic w doświadczeniach krajów leżących po dwóch stronach żelaznej kurtyny. Jeżeli mielibyśmy trzymać się metafor związanych z obrazami, to sądząc po doniesieniach medialnych z Europy Zachodniej, w wyobraźni Europejczyków dominuje raczej *action painting* – bliżej Jacksona Pollocka i niepewności, co przyniesie nam przyszłość. Po drugiej stronie natomiast, szczególnie gdy przyjrzeć się polskim danym, mamy coś w rodzaju „czarnego kwadratu na czarnym tle” – czyli wielką ignorancję. W „Kulturze Liberalnej” opublikowaliśmy

niedawno wywiad z dyrektorem polskiego Urzędu ds. Cudzoziemców, który powiedział wyraźnie: tylko 1 proc. polskiej populacji to cudzoziemcy. 1 procent! To w porównaniu z Europą Zachodnią ewenement.

Tomasz Sawczuk: Dlaczego to takie ważne?

Jarosław Kuisz: Bo dla większości mieszkańców naszego kraju problem imigracji to czysta abstrakcja. Najwięcej o obcości dowiadują się współcześni Polacy z opowiadań tych członków rodzin, którzy wyruszyli szukać szczęścia na Zachodzie. Ukazują się u nas tak ważne książki jak ta Paula Scheffera pt. „Druga ojczyzna” z analizą kryzysu polityki multikulturalizmu, ale tłumaczenie ich na polski świadczy raczej o kontynuacji procesu poznawania Zachodu niż o punkcie wyjścia do oglądu własnego podwórka. Rodacy przede wszystkim odkrywają Obcego w mniej przyjemny sposób. Gdy sami zostaną potraktowani w ten sposób – jako Obcy, niechciani imigranci w Wielkiej Brytanii czy Niemczech. Wystarczy nieprzyjemny gest czy słowo w drobnej sytuacji życia codziennego; może także być to odkrycie siebie w tej nieprzyjemnej roli w przemówieniu polityka. A wszystko to, pomimo że „swobodny przepływ osób” stanowi nadal jeden z filarów zjednoczonej Europy.

Monika Płatek: Również jestem zdania, że nie należy porównywać sytuacji przywołanych krajów zachodnich do sytuacji Polski. Ale twierdzenie, że tylko 1 proc. polskiego społeczeństwa to obcokrajowcy, podobne jest do stwierdzenia, że w naszym kraju w ogóle nie dokonuje się aborcji.

Ja kategorię obcości rozumiem znacznie szerzej i uważam, że Polska wcale nie jest tak jednorodnym krajem, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Obcym nie musi być ten, kto nie ma obywatelstwa, ale ten, kto nie cieszy się pełnią praw. Na przykład,

w moim poczuciu, w Polsce kobiety w wieku reprodukcyjnym są w gruncie rzeczy obce. Nie uwzględniamy ich, nie bierzemy pod uwagę ich interesów.

Emilia Kaczmarek: Jak wpływać na zmianę tego stanu rzeczy?

Monika Płatek: Moja rekomendacja wypływa z myśli dwóch znanych psychologów społecznych. Pierwszy to Sam Harris, który twierdzi, że wraz ze zmianą kultury, w jakiej przebywamy, zmienia się praca naszego mózgu, a w związku z tym – sposób myślenia. Przykład? Polak homofob, przeflancowany w niewielkiej grupie do Norwegii, po pół roku jest człowiekiem, który ma homoseksualnych przyjaciół i w ogóle nie pamięta, że był homofobem. Norweg przeniesiony do naszego społeczeństwa w pojedynkę będzie miał niewielką szansę, by zwalczyć wysoki poziom homofobii, ale swoim przykładem może wpływać – choć nie należy oczekiwać tu dramatycznych zmian.

Ten drugi psycholog społeczny to Jonathan Haidt, którego książka „Prawy umysł” właśnie ukazała się po polsku. Bazując na badaniach 30 tys. ludzi z różnych stron świata, Haidt wykazał, że społeczeństwa prawicowe, konserwatywne, większą wagę przywiązują do takich wartości jak Bóg, ojczyzna, wsobność i szacunek do władzy, podczas gdy społeczeństwa liberalne są w znacznie większym stopniu uwrażliwione na drugiego człowieka, na problem sprawiedliwości społecznej. Polska to kraj w znacznie większym stopniu prawicowy niż liberalny. U nas nawet lewica jest prawicowa. Rozmawiając o sytuacji imigrantów, powinniśmy o tym pamiętać.

Emilia Kaczmarek: Jeżeli przyjrzymy się krajom naszego regionu – Ukrainie, Łotwie czy Bałkanom – widzimy, że

wszędzie społeczeństwa wielonarodowe borykały się lub borykają z poważnymi kryzysami. Czy w takim razie można powiedzieć, że jednorodność etniczna Polski, będąca efektem historycznych zdarzeń, jest w pewnym sensie błogosławieństwem? Czy multikulturalizm nie jest po prostu utopią?

Wiktor Osiatyński: Człowiek może mieć zaufanie do drugiego człowieka wtedy, kiedy żyje w społeczeństwie wyposażonym w instytucje, które go obronią w przypadku utraty tego zaufania. W Polsce takich instytucji nie ma, nie mamy do nich dostępu albo nie wiemy, że są. Nic więc dziwnego, że nieufny Polak po przeprowadzce do Wielkiej Brytanii, gdzie tego rodzaju instytucje są znacznie silniejsze, ma bez porównania więcej zaufania do tamtego społeczeństwa. Więc to jest kwestia instytucji i tworzenia kultury instytucjonalnej – nie tylko przez obywatelstwo. Obywatelstwo jest zjawiskiem w gruncie rzeczy liberalnym, a problemy, które mamy z mniejszościami i zaufaniem, są po trosze rezultatem bankructwa liberalizmu, rezultatem tego, że 1989 r. w tej części świata zaniedbaliśmy budowanie poczucia społecznej wspólnoty.

Pani prof. Monika Płatek powiedziała kiedyś, że przez kilka tygodni z jakiegoś powodu słuchała codziennie Radia Maryja. I to Radio Maryja, które od godziny 17 do 20 przepełnia nienawiść i wrogość, od 7 rano do 5 popołudniu koncentruje się na budowaniu społeczności i nadawaniu ludziom poczucia wspólnoty. Liberalowie zaniedbali tę pracę na początku lat 90., na własne życzenie oddając pole prawicy. I teraz mamy problem z tożsamością, bo tożsamości nie buduje liberalna konstytucja, ale więź powstająca w ramach lokalnych społeczności albo instytucji społecznych.

Emilia Kaczmarek: Jak miałyby wyglądać budowanie takiej nieopartej na nienawiści więzi?

Wiktor Osiatyński: A w jaki sposób udało się w ciągu 20 lat pokonać 700-letnią nienawiść między Niemcami a Francuzami? W latach 60. i 70. każde francuskie dziecko w wieku szkolnym spędzało przynajmniej pół roku w domu niemieckim, a niemieckie we francuskim. Jeśli ktoś sądzi, że Niemcy są straszni, to w jego przekonaniu są straszni w ogóle. Ale kiedy ten ktoś ma w domu niemieckie dziecko i ono niczym nie różni się od jego własnych dzieci, nagle okazuje się, że ta zgeneralizowana niechęć była nieuzasadniona.

Drugi przykład jest bez porównania poważniejszy, bo dotyczy roli społeczeństwa obywatelskiego w przezwyciężaniu nienawiści pomiędzy hindusami i muzułmanami w Indiach. Okazało się, że tam, gdzie liczba organizacji obywatelskich jest wysoka, ale są to organizacje hinduskie i muzułmańskie, tam ogólnym efektem jest wzrost niechęci międzygrupowej. Natomiast jeżeli udaje się w niektórych społecznościach stworzyć organizację albo przedsięwzięcie nie wokół kwestii religijnych, lecz wokół spraw takich, jak wywózka śmieci czy zapewnienie bezpieczeństwa dzieci w drodze do szkoły, tam rezultatem jest zmniejszenie nienawiści, a wręcz wprowadzenie pewnej przyjaźni. Moja odpowiedź na pani pytanie jest więc następująca: należy budować na samym dole instytucje i przedsięwzięcia, nawet nieformalne, zmuszające ludzi niechętnych sobie do współpracy w rozwiązywaniu konkretnych problemów, które poprawiają jakość życia.

Tomasz Sawczuk: Czy prof. Ash zechce w związku z tym bronić liberalizmu przed prof. Osiatyńskim?

Timothy Garton Ash: W broszurze „Freedom in Diversity”, do której nawiązał pan w pierwszym pytaniu, argumentujemy, by nie

zaczynać dyskusji od pojęcia multikulturalizmu, ponieważ prowadzi będą one jedynie do nieporozumień i zamieszania. Jakie jest pytanie? Pytanie liberała powinno dotyczyć najlepszego sposobu ochrony wolności. „Freedom in Diversity” znaczy „Wolność w różnorodności”, choć nie wiem, czy to dokładnie oddaje sens angielskich wyrazów. *Diversity* oznacza też różne obyczaje, różne poglądy, różne wartości, nie tylko różnorodność. Te wartości powinny iść ze sobą w parze. Bo co to znaczy „być wolnym”? Mieć wolny wybór, możliwość wyboru alternatywy. Im więcej alternatyw mamy, tym więcej powinniśmy mieć wolności. Jak doprowadzić do tego, żeby różnorodność i wolność były jak najbardziej komplementarne? Między innymi poprzez edukację. Przecież klasyczną instytucją integracji, np. we Francji, jest szkoła. Nie można bezpośrednio ingerować w życie rodzinne, ale w szkolne – oczywiście. Jestem zwolennikiem modelu republikańskiego w szkołach – takiego, jaki obowiązuje w Stanach Zjednoczonych czy we Francji.

Tomasz Sawczuk: Czym pańskie podejście różni się od multikulturalizmu?

Timothy Garton Ash: Nie wymagam, by wszyscy ludzie jednako kochali wszystkie kultury, do czego zalecają multikulturaliści. Celem powinna być raczej cywilizowana koegzystencja, współżycie, czyli tolerancja – klasyczna wartość liberalna. Nie oczekujemy od nas wszystkich zbyt wiele – sympatii i szacunku do każdej kultury – oczekujemy raczej respektowania prawa i tolerancji.

Tomasz Sawczuk: Czy rzeczywiście tak rozumiana tolerancja wystarczy? W zeszłym roku w Polsce wydano obcokrajowcom 250 tys. zezwoleń na pobyt stały i ponad 700 tys. wiz przeznaczonych wyłącznie dla obywateli Ukrainy. Czy oprócz

tolerancji, polscy politycy powinni zaproponować jakąś inną, aktywniejszą postawę wobec tych ludzi? A jeżeli tak, na czym miałaby ona polegać?

Jarosław Kuisz: Samo wezwanie do tolerancji może okazać się niewystarczające. Współcześnie na Zachodzie rysują się zasadniczo dwie propozycje długofalowej polityki migracyjnej. Pierwsza podkreśla dominację gospodarza wobec gościa. Przybysz powinien maksymalnie dostosować się do kultury kraju, do którego przybywa, nauczyć języka i obyczajów, a następnie korzystać z owoców oferowanych mu przez nowe społeczeństwo. Tego typu pogląd prezentuje choćby Alain Finkielkraut, a jego opinie cieszą się sporym wzięciem. To jest zapewne model, do którego – poprzez zaniechanie – zmierza także Polska.

Model drugi, wzajemnego dostosowywania, *mutual accommodation*, to propozycja, zgodnie z którą nie istnieje coś takiego, jak spetryfikowana kultura dominująca danego kraju czy jej niezmienna tożsamość. Każda tożsamość zbiorowości jest historycznie zmienna. Wniosek? My, gospodarze, powinniśmy dostosowywać się do przybysza, a on powinien się jednocześnie dostosowywać do nas. Jest to koncepcja dynamiczna, nie ma tu żadnego stałego punktu odniesienia, tylko nieustanna wzajemna praca oparta na szacunku do drugiego człowieka. Oczywiście, to jest bardzo trudne. Jak skłonić ludzi do podjęcia takiego, skądinąd niełatwego, wysiłku? Liberalna filozofka prof. Martha Nussbaum proponuje na przykład, by nie rezygnować z różnego rodzaju ceremonii publicznych, dzięki którym pielęgnuje się uczucia przynależności do wspólnoty narodowej czy lokalnej. Może w ten sposób promować wartości bliskie ideom liberalizmu, w szczególności tolerancję. Krótko mówiąc, zamiast jedynie wzywać do tolerancji, warto może w mądry sposób projektować spotkania osób z różnych kultur.

Tomasz Sawczuk: Czy ten pomysł można zrealizować w skali europejskiej?

Jarosław Kuisz: Gdybyśmy się mieli zastanawiać, jak budować rzeczywistą wspólnotę europejską, faktycznie warto sięgać do doświadczeń francusko-niemieckich, o których mówił prof. Osiatyński. Z kolei socjolog niemiecki Ulrich Beck zaproponował – to nieco szalona, ale intrygująca propozycja – aby przenieść ideę stypendium Erasmus na wyższy poziom, objąć tym modelem możliwie największą liczbę ludzi w różnym wieku i ze wszystkich warstw społecznych. Cel? Poznawanie obcych kultur na co dzień i budowa tożsamości europejskiej poprzez biografie konkretnych osób.

Monika Płatek: Erasmus, który w tym momencie nazywany jest często „sympatycznym orgazmusem”, dał nam po tych kilku latach ponad milion dzieci. Ale mówiąc całkiem poważnie, studenci wracający z Erasmusa to zupełnie inni ludzie. To doświadczenie dostarcza narzędzi do samodzielnego myślenia. Jeżeli jesteśmy zasklepieni w swojej skorupie, wyznajemy podobne poglądy bądź nie mamy wielu możliwości, by poznać inny sposób myślenia, grozi nam katastrofa.

Wobec osób, które przyjeżdżają do nas z zagranicy, nawet jeżeli to jest tak bliska zagranica, jak Ukraina, należy stosować praktyki fundowania stypendiów i ułatwiania dostępu do edukacji. Należy dawać tym ludziom wykształcenie, licząc się z tym, że część zostanie, a część pojedzie dalej.

Jarosław Kuisz: Po 25 latach wolności bezdyskusyjnie znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym. Zamykanie oczu nic nie da. Oto po raz pierwszy naprawdę musimy otwierać się na Obcego, dostrzegać osoby odmienne od nas, nawet w ramach naszych starych dobrych granic państwowych. Stoją przed nami zarówno wyzwania związane z dobrze znanymi mniejszościami, na przykład śląską, ale także uświadamianie sobie wyzwania, jakim może okazać się

migracja ze Wschodu. I to jest pytanie do młodszego pokolenia. Na jaką politykę migracyjną będziemy wywierać nacisk? Jeżeli zdecydujemy się na model francuski, o którym pisał Alain Finkielkraut, czeka nas gwarantowana katastrofa. W polskich mediach pojawia się promil informacji na temat niepokojów społecznych na francuskich przedmieściach, ponieważ dowiadujemy się jedynie o największych zamieszkach.

Drugi model otwartej polityki imigracyjnej – model wzajemnego dostosowania – jest o wiele trudniejszy. Wymaga zaprojektowania nowych instytucji, niebanalnego modelu edukacji, ale przede wszystkim przemyślenia tego, czym jest polska tożsamość i kultura w świecie „spłaszczonym” globalizacją. Nie wystarczy dziś nawet rzucanie pięknych frazesów o Polsce jagiellońskiej czy zaletach konfederacji warszawskiej (1573). To dla współczesnych Polaków, ściślej związanych z doświadczeniami Polski Ludowej czy początkami III RP, na co dzień nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze zatem pytanie w kwestii polityki migracji dotyczy więc tego, czy jesteśmy gotowi zainwestować w model wzajemnego dostosowywania – choć nie zrobiło tego wiele innych państw Europy Zachodniej. Warto pomyśleć o tym „przed szkodą”. Zamieszki na przedmieściach wielu europejskich stolic w ostatnich latach powinny być dla nas przestrogą.

Wiktor Osiatyński: Tak naprawdę te wszystkie problemy zaistniały już na kongresie wersalskim po I wojnie światowej. To wówczas starły się ze sobą dwie koncepcje polityki wobec mniejszości narodowych powstałych po rozpadzie imperiów. Stany Zjednoczone narzuciły wówczas Europie model amerykański, licząc na to, że jeśli w państwach europejskich wprowadzone zostaną konstytucje uwzględniające prawa człowieka oraz prawa mniejszości, skutkiem będzie asymilacja. Zwolennicy innej drogi, m.in. Józef Piłsudski, wiedzieli jednak, że w rolniczych społeczeństwach nikt

się nie zasymiluje i dlatego proponowali poszczególnym grupom autonomię. Dwa podstawowe słowa dla współżycia różnych ludzi to „autonomia” i „pluralizm”. Nie multikulturalizm, nie asymilacja, tylko pluralizm. Mniejszości powinny się rządzić własnymi prawami tam, gdzie mogą, powinni tworzyć własną kulturę, ale my te kultury mamy traktować równo. To jest jedyne rozwiązanie. Za tym był Piłsudski. Przegrał – niestety. Wiadomo, że narzucony Europie model wersalski nie zdał egzaminu.

Timothy Garton Ash: Ale dlaczego niektórym krajom – na przykład Kanadzie – się udało? Bo od samego początku prowadziły przemyślaną politykę migracyjną opartą na... kulturze liberalnej. Czym jest kultura liberalna? To cywilizowana koegzystencja, pokojowy konflikt, z którego rodzi się coś pozytywnego.

TIMOTHY GARTON ASH

profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego. Współautor raportu „Freedom in Diversity. Ten Lessons for Public Policy from Britain, Canada, France, Germany and the United States” (2014).

MONIKA PŁATEK

prawniczka i wykładowczyni akademicka, feministka. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, pracuje w Zakładzie Kryminologii w Instytucie Prawa Karnego na Wydziale Prawa i Administracji UW.

WIKTOR OSIATYŃSKI

prawnik, socjolog, specjalizuje się w zakresie prawa konstytucyjnego, praw człowieka oraz historii doktryn politycznych i prawnych, profesor na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie.

DR JAROSŁAW KUISZ

historyk prawa i analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”.

Część II

JAROSŁAW KUISZ

Jak zabija się gazetę?

„Jeśli wrzucisz moje prochy do sedesu, to codziennie będę oglądać twoje pośladki” – miał powiedzieć do żony Georges Wolinski (1934–2015). To tylko próbka wisielczego humoru, który lepił redakcję pisma „Charlie Hebdo”, konsekwentnego do tego stopnia, że jeden z ocalałych pracowników – nawet w chwili, gdy już strzelano z karabinów maszynowych – sądził, że to jakiś gruby żart.

Natychmiast po zamachu na redakcję paryskiego tygodnika pojawiły się głosy, że na masakrę należy zareagować nie tylko demonstracjami solidarności, ale przede wszystkim poczuciem humoru. Jednak Philippe Val, przez długie lata kierujący tygodnikiem, gdy w ten sposób próbował w radio oddać hołd znajomym i przyjaciołom, po prostu skapitulował. Powiedział, że z wydarzeń 7 stycznia 2015 r. nie potrafi się śmiać, choć wie, że powinien. Z kolei duński rysownik Kurt Westergaard, autor głośnych przed laty karykatur Mahometa, zapytany o zamach w Paryżu, odpowiedział, że – tak, trzeba walczyć o wolność słowa, ale w istocie cały jego kraj się boi. Wkrótce potem dotarła do nas wiadomość, że

magazyn „Jyllands-Posten”, który opublikował niesławne karykatury, wzmocnił ochronę redakcji. Obawy okazały się słuszne. W nocy z 14 na 15 lutego 2015 r. w stolicy Danii doszło do zamachu na życie szwedzkiego rysownika Larsa Vilksa. On także naraził się terrorystom po publikacji karykatur Mahometa. Vilks przeżył, ale tej nocy w strzelaninach zginęły dwie osoby. Zamachy sprowokowały kolejny potok lamentów nad problemem integracji imigrantów w Unii Europejskiej. W kontekście tych dramatycznych wydarzeń warto jednak zwrócić uwagę na dwie sprawy nieoczywiste.

Po pierwsze, poczucie humoru stało się swoistym polem walki. „Humorysta nie może wierzyć w żadną religię” – przy innej okazji powiedział Georges Wolinski. Tygodnik „Charlie Hebdo” programowo uznał, iż pozostając w tradycji antyklerykalnej, nikt nie może być wolny od ostrza satyry. A zatem, skoro świat Zachodu oswoił się ze żartami z Jezusa, Mojżesza czy Buddy, to – w obrębie naszej kultury wolności słowa – prorok Mahomet nie może być żadnym wyjątkiem. A kwestie smaku są drugorzędne.

Jednocześnie jednak nad Sekwaną funkcjonuje komik Dieu-donné. Usłyszano o nim szerzej, gdy rząd Francji zaczął zakazywać jego spektakli uznanych za antysemityczne. Komik, którego ojciec pochodzi z Kamerunu, jak sam wyjaśnia, także prowadzi swoją walkę z tabu i przygotowuje kolejne skecze na temat Shoah. „Jeśli nie ma świętych krów, to nie ma ich nigdzie”, wyjaśnia w imię demokratycznej równości, a podczas występów zauważa – oczywiście pół żartem, pół serio – że establishment zbrodni niewolnictwa w Afryce *de facto* nie traktuje tak jak Shoah. Jego aresztowanie za kontrowersyjny wpis na Facebooku [zob. Wstęp] jedynie pogłębiło wśród wielu Francuzów wrażenie braku bezstronności prawa w tych delikatnych kwestiach.

Ale i bez tego Dieudonné nie miał problemu z wypełnieniem największych sal widownią. Z kolei publikacje karykatur Mahometa przynosiły „Charlie Hebdo” natychmiastowy skok czytelnictwa. Ten pejzaż rozrywki nie nastraja do śmiechu.

Po drugie, okazało się, że można zabić gazetę. Fizyczna eliminacja osób o poglądach, które nam nie odpowiadają, okazała się do pomyślenia, a nawet do wykonania podczas banalnego kolegium redakcyjnego. Oto wymianę argumentów można zastąpić nagą przemocą, co znamy z historii Europy, jednak przy tzw. „spłaszczeniu” świata – choćby natychmiastowym obiegiem informacji – rzecz może objawiać się w nowym wydaniu, a nawet okazać się trwałym elementem skomplikowanej polityki. Oto wystarczy „rozwiązywać” problemy Syrii czy Palestyny na wielokulturowych przedmieściach europejskich metropolii, a konwencjonalny podział na politykę zagraniczną i krajową całkowicie straci rację bytu. Wówczas jedno jest pewne: sprawy bezpieczeństwa podczas rozmów o budżecie na dany rok natychmiast przesłonią wszelkie inne.

Ponad wiek temu Joseph Conrad napisał powieść „Tajny agent”, z której fabuły wynikało, że zamach terrorystyczny przynosi porażający efekt wówczas, gdy w oczach zwykłych obywateli jawi się jako zupełnie absurdalny. W demokratycznych społeczeństwach, zamiast strzelać do polityków, którzy są wymienni, jak sugerował Conrad, lepiej wysadzić w powietrze słynne obserwatorium astronomiczne symbolizujące postęp Zachodu. Zamachy na WTC mieszczą się w tej optyce, podobnie jak zamach na „Charlie Hebdo”. Karykaturzystów, programowo naruszających tabu, zastrzelono, albowiem symbolizowali postęp czy pragnienie utrzymania jak najszerzych granic dla wolności słowa.

Najważniejsze po 7 stycznia 2015 r. pozostają sumienia Europejczyków. Czy przedłożą złudzenie pełnego bezpieczeństwa nad

własną wolność? Czy pozwolą ponieść się fantazjom populistów? Po zamachach 11 września 2001 r. okazało się, że nawet stara demokracja za Oceanem jest podatna na takie pokusy. Politycy, pełni szlachetnych intencji, pragnęli wymierzać sprawiedliwość z pośpiechem i metodami, które unieważniały cały gmach budowanych przez pokolenia wartości. Marine Le Pen, liderka skrajnie prawicowego Frontu Narodowego, zareagowała na tragedię „Charlie Hebdo” żenującym żądaniem przywrócenia kary śmierci. Czy ta lub inne proste recepty, jak na przykład zaostrzenie polityki imigracyjnej, uchroniłyby Europę przed podobnymi zamachami?

Wątpliwe. Przekonuje nas o tym niesławny *casus* Andersa Breivika, stuprocentowego Norwega – o poglądach skrajnie nacjonalistycznych i antyislamskich – który zamordował 69 uczestników obozu młodzieżówki norweskiej Partii Pracy. Strzelał do rodaków w imię haseł skierowanych przeciwko tym, którzy dopuszczają się takich czynów, jak zamachy w Paryżu. I tu docieramy do puenty: najważniejsze, by to nie ekstremiści – jakiego bądź przekonania – wyznaczali główne linie polityki bezpieczeństwa w kraju czy międzynarodowych interwencji poza nim. Jak więc walczyć z terroryzmem? Przede wszystkim należy zachować trzeźwy osąd. Po stronie zwolenników wolności słowa stoi zadanie rozwiewania bajek o możliwości zapewnienia całkowitego bezpieczeństwa, a jednocześnie podkreślanie znaczenia wartości, jakie przyniosła Europejczykom liberalna demokracja. Czy „Charlie Hebdo” może stać się symbolem tej walki? Kontrowersje, jakie wzbudziło hasło „Je suis Charlie” – z pozoru neutralny wyraz solidarności z ofiarami – dowodzą, że najpewniej tak się nie stanie.

„Niewielka gazetka wypełniona niejednokrotnie prymitywnymi żartami nie może stać się symbolem europejskich wartości” – argumentowali jedni. „Tak okrutna zbrodnia wymaga

solidarnej odpowiedzi. To nie czas na spory estetyczne” – odpowiadali inni.

Teksty zamieszczone poniżej zawierają argumenty obu stron tego sporu, ale jest on dla autorów jedynie przyczynkiem do szukania odpowiedzi na szersze pytanie o rolę liberalizmu we współczesnym świecie. Być czy nie być „Charlie Hebdo”? Każdy z nas musi samodzielnie poszukać rozwiązania tego dylematu. I co może najtrudniejsze, dobrze byłoby to robić przynajmniej z półuśmiechem.

DR JAROSŁAW KUISZ

historyk prawa i analityk polityki, redaktor naczelny
„Kultury Liberalnej”.

Wolność słowa ma chronić słabszych

Wolność słowa powinna czemuś służyć, a nie jedynie przyzwalać na wyśmiewanie innych. Tymczasem, zamiast chronić słabszych, powołujemy się na prawo do wolności słowa, by chronić silniejszych, mówi amerykański politolog.

Łukasz Pawłowski: Dlaczego pana zdaniem publikacje nagrań lub filmów uderzających w islam lub naśmiewających się z Mahometa wywołują wśród muzułmanów tak gwałtowne reakcje? Czy protesty, jak te inspirowane amatorkim filmem „Niewinność muzułmanów”, mają wyłącznie podłoże religijne, czy też religia to jedynie pretekst do wyrażania buntu mającego inne przyczyny, choćby ekonomiczne i społeczne?

Benjamin Barber: Nie ma jednej przyczyny. Motywacja religijna jest niewątpliwie prawdziwa – islam zabrania portretowania nie tylko Mahometa, ale także innych proroków oraz samego Allaha. Film pogwałcił fundamentalne nakazy tej wiary, a zatem motywacje religijne bez wątpienia odegrały w tym wypadku poważną rolę i nie powinniśmy odrzucać tego wyjaśnienia. Tym bardziej,

że tłumaczy nam ono, dlaczego protestowali muzułmanie nie tylko w biednych krajach arabskich, ale również ci, relatywnie zamożni, w krajach zachodnich.

Rzecz w tym, że pogwałcenia zasady religijnej dokonali nie muzułmanie, ale inni ludzie, których nakazy tej religii nie obowiązują. Ponadto prawo do wolności wypowiedzi – stanowiące przecież fundament demokracji – daje im możliwość wyrażania swoich poglądów, nawet jeśli nie wszyscy się z nimi zgadzają.

Proszę jednak spojrzeć na tę sprawę z perspektywy muzułmanów. Bronimy autorów filmu, powołując się na zasadę wolności wypowiedzi, ale sami nie stosujemy jej konsekwentnie. W Niemczech na przykład za negowanie Holocaustu można trafić do więzienia.

Nie tylko w Niemczech. W Polsce również.

No i gdzie w tym wypadku jest wolność słowa? Nie wolno podważać Holocaustu, ale wolno naśmiewać się z Mahometa? Dla pana te dwa przypadki są być może nieporównywalne, ale z perspektywy muzułmanów to jawna sprzeczność, dowodząca wybiórczego stosowania zasady wolności słowa. Poza tym, wbrew temu, co nam się wydaje, wolność słowa nie dla wszystkich jest wartością uniwersalną – w wielu społecznościach arabskich nie ma żadnej tradycji wolności wypowiedzi, a wartością uniwersalną są nauki Mahometa.

Powiedział pan na początku, że obraza uczuć religijnych jest tylko jedną z przyczyn oburzenia muzułmanów. Jakie są inne?

Większość państw islamskich to państwa teokratyczne, w których religia i państwo działają ramię w ramię, skutkiem czego wielu

muzułmanów nie rozumie panującej na Zachodzie zasady rozdziału Kościoła od państwa. Trudno im pojąć, że ludzie mogą robić i mówić rzeczy, których państwo nie akceptuje, ale jednocześnie nic nie może w zrobić, by je ukrócić. Władze państw zachodnich mają przecież odpowiednią władzę i środki, by interweniować. Dlaczego więc tego nie robią? Nie robią tego, ponieważ albo popierają to, co zostało powiedziane, albo uznają tę sprawę za zbyt trywialną, by wymagała interwencji. Oto więc drugi powód, podobnie jak pierwszy, wynikający w znacznej mierze z różnic kulturowych.

Jaki jest powód trzeci?

Działalność pewnych środowisk, którym wybuch przemocy jest na rękę i które starają się gniewem mużułmanów manipulować. Mam tu na myśli grupy działające po obu stronach konfliktu. Po co pana zdaniem powstał film „Niewinność mużułmanów”? Czy jego twórcy chcieli promować wolność słowa? Nie, powstał dokładnie po to, by sprowokować gwałtowne reakcje. Jego autorzy wiedzieli, że jeśli pokażą Mahometa jako pedofila i gwałciciela, druga strona zareaguje w ten sam sposób. Jak zresztą inaczej miałyby zareagować? W Stanach Zjednoczonych panuje wolność słowa, ale gdy w dowolnym barze w Ameryce nazwie pan kogoś „skurwysynem”, tamten przywali panu w nos i żadne tłumaczenie się prawem do wolności wypowiedzi nie pomoże. Proszę pamiętać, że wielu mużułmanów pokojowo protestowało przeciw filmowi, ale były też grupy ekstremistów, które wykorzystały okazję do wywołania zamieszek, na co z kolei agresywnie odpowiedzieli radykałowie po drugiej stronie. Z radykałami tak już jest, że obie strony konfliktu są sobie wzajemnie potrzebne i wzajemnie się napędzają, miażdżąc przy okazji polityczne centrum.

Ale jak sam pan mówi, ekstremiści nie cieszą się dużym poparciem.

Nie chodzi o to, kto ich popiera, ale o to, że wygrywają. W czasie rewolucji francuskiej, rosyjskiej, w Republice Weimarskiej radykałowie także nie stanowili większości, ale zdołali podporządkować sobie ludzi o umiarkowanych poglądach. Ekstremiści zwyciężają, bo podejmują działania, wobec których nie można pozostać obojętnym. Wielu Izraelczyków chciałoby pokoju z Palestyną, ale wystarczy, że Hamas zrzuci raketę na izraelskie osiedle i natychmiast są na straconej pozycji. Brak odpowiedzi na atak zostałby uznany za dowód słabości lub, co gorsza, przyzwolenia i tak obustronna przemoc się napędza, a ludzie muszą dokonywać jednostronnych wyborów.

Co nie zmienia faktu, że radykałowie nie zawsze zwyciężają. Kilka lat temu w niemieckiej prasie ukazały się karykatury polskiego prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Pewna część polskiej opinii publicznej była nimi oburzona, ale nikomu nie przyszło do głowy, by demolować niemiecką ambasadę.

A co by było, gdyby jakiś Niemiec dokonał na prezydenta zamachu?

To całkowicie inna sprawa.

Nie, to właśnie skutki działania przemocy. Gdyby jakiś niemiecki prowokator naprawdę chciał zniszczyć dobre relacje między oboma krajami, dopuściłby się jakiegoś aktu przemocy, w ten sposób zmuszając także umiarkowanych Polaków do zajęcia jasnego stanowiska. W przypadku filmu o muzułmanach ekstremiści wykorzystali początkowe oburzenie do wywołania zamieszek, a tym samym do dalszej radykalizacji nastrojów. Było to o tyle łatwiejsze, że na wszystkie czynniki „zapalne”, o których mówiliśmy wcześniej, nakłada się kolejny, mianowicie historyczne

doświadczenia kolonializmu, imperializmu i wyzysku, których Zachód przez całe lata dostarczał tym państwom. Niekiedy te wspomnienia słabną, ale wystarczy nawet drobny kryzys, by znów je obudzić. Arabscy radykałowie nie muszą odwoływać się jedynie do motywów religijnych, ale przekonują również, że Zachód po raz kolejny upokarza tę część świata.

Wkrótce po protestach związanych z filmem francuski magazyn „Charlie Hebdo” opublikował karykatury wyśmiewające Mahometa oraz judaizm. Czy pana zdaniem francuskie władze powinny były zablokować publikację tych karykatur, wiedząc, jakie reakcje mogą wywołać, czy też taka decyzja byłaby pogwałceniem wolności słowa?

Wolność słowa powinna czemuś służyć, a nie jedynie przyzwalać na wyśmiewanie innych. Pierwsza poprawka do amerykańskiej konstytucji miała być w swoim założeniu bronią dla słabszych w walce przeciwko silniejszemu. Tymczasem my powołujemy się na prawo do wolności słowa, by chronić silniejszych! Tak samo było przy okazji publikacji karykatur w Danii. Duńscy muzułmanie to niewielka i słaba mniejszość. Czemu więc miał służyć atak na nich i szydzenie z ich wiary? Gdyby te rysunki opublikowano w Egipcie, gdzie uderzałyby w większość i mogły zwrócić uwagę na prawa mniejszości, byłbym za ich publikacją. Jeśli jednak ktoś silny używa jakichś praw – w tym wypadku prawa do wolności wypowiedzi – by z pozycji silniejszego uderzyć w słabych, znaczy to, że nie rozumie, czemu mają one służyć.

To, co pan mówi, podważa w znacznej mierze model relacji między Zachodem a państwami arabskimi, w tym również starania o demokratyzację tych krajów. Skoro ze względu na różnice kulturowe nie możemy przekonać ich do zaakceptowania

zasady wolności słowa – bo nie dla wszystkich jest to wartość uniwersalna – jak możemy przekonywać ich do demokracji? Czy to z kolei oznacza, że w obliczu naruszania wartości, które stanowią podstawę demokratycznego porządku politycznego – jak to się dzieje obecnie choćby w Syrii – nie powinniśmy robić nic? Wówczas podniosą się głosy potępiające Zachód za przyzwolenie na śmierć tysięcy ludzi.

A dlaczego pana zdaniem ci ludzie giną? Gina dlatego, że Zachód zachęcił opozycję do rozpoczęcia walk. Przecież jeszcze niedawno opozycja w Syrii nie istniała. Asad był o wiele mniej krwawym tyranem niż choćby jego ojciec, a los Syryjczyków powoli się poprawiał.

A zatem powinniśmy być bierni?

To złe postawienie sprawy. Wmawia się nam, że stajemy przed wyborem między całkowitą dyktaturą, a rewolucją i wynikającą z niej anarchią. Tymczasem tak naprawdę to wybór między zniewoleniem a stopniowym wprowadzaniem demokratycznych zmian. Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie zachęcamy do buntu opozycji demokratycznej w Chinach? Czy władze chińskie są bardziej demokratyczne niż syryjskie, czy nie zabijają własnych obywateli? Dlaczego więc tam Zachód tam nie interweniuje?

Po pierwsze dlatego, że łączą go z Chinami poważne interesy ekonomiczne, po drugie dlatego, że jest zbyt słaby, by do czegokolwiek zmusić chińskie władze.

A moim zdaniem nie interweniuje, ponieważ zaczynamy dostrzegać, że w Chinach zachodzą stopniowe zmiany. Wprowadzono tam kapitalizm, duże miasta stały się bardziej niezależne od władz centralnych, dają się słyszeć głosy obrońców praw człowieka. Chiny powoli się zmieniają i słowo „powoli” jest w tym

zdaniu najważniejsze. Tymczasem media i wielu polityków na Zachodzie chciałoby, aby ta przemiana dokonała się z dnia na dzień – to niemożliwe. Przypomnijmy sobie chociażby historię Stanów Zjednoczonych. Od wyzwolenia się spod władzy brytyjskiej do wprowadzenia w życie konstytucji minęło 13 lat, a na zniesienie niewolnictwa potrzeba było kolejnych osiemdziesięciu i jeszcze krwawej wojny domowej! Dziś nikt o tym nie pamięta. Wchodzimy z naszymi wojskami do jakiegoś kraju, obalamy dotychczasowe władze i domagamy się, by w ciągu kilku miesięcy zostały zorganizowane wybory.

Demokrację należy budować oddolnie, a nie narzucać odgórnie – od środka, nie z zewnątrz. Obalenie tyranii i wprowadzanie demokracji to dwie całkiem odmienne sprawy, a wielu zachodnich polityków utożsamia jedno z drugim – obaliliśmy Mubaraka, zastrzeliliśmy Kadafiego, to znaczy, że wprowadziliśmy demokrację. To przekonanie sprzeczne z doświadczeniem historycznym. Demokracja wymaga stworzenia wolnych instytucji, wychowania obywateli i społeczeństwa obywatelskiego, wypracowania nowych postaw, a to wszystko zajmuje dużo czasu. Aby z całkowicie zapuszczonego kawałka ziemi stworzyć ogród, nie wystarczy za pomocą środków chemicznych wytepić wszystkie chwasty. W ten sposób tylko wyjałowimy ziemię. Podobnie jest w przypadku wprowadzania demokracji w państwach autorytarnych. Potrzeba na to czasu, a poszczególne narody muszą przeprowadzać własne rewolucje we właściwych dla siebie warunkach i czasie.

Pana zalecenia brzmią przekonująco, jeśli stosuje się je do poziomu krajów i analizuje z szerokiej perspektywy historycznej. Ostatecznie jednak każdy człowiek ma tylko jedno życie i obietnica, że jego dziś autorytarne państwo za kilkadziesiąt

lat być może stanie się demokracją, nie jest dla niego specjalnie atrakcyjna. Gdybym był młodym człowiekiem żyjącym, dajmy na to, w PRL w latach 50., a pan powiedziałby mi wówczas, że zamiast ze wszystkich sił starać się obalić panujący ustroj, powinniśmy stopniowo dążyć do jego zmiany, byłbym – mówiąc najdelikatniej – bardzo zawiedziony.

Ale to nie zmienia faktu, że przemiany polityczne tak właśnie się dokonują. W Polsce również obalenie komunizmu zajęło kilkadziesiąt lat – po pierwszej „Solidarności” minęło dziesięć lat do Okrągłego Stołu, a przed nią były inne ważne protesty w roku 1956, '68 czy '70. Wszystko to w kraju europejskim, w którym istniała pewna tradycja rządów i instytucji demokratycznych!

Nie znaczy to oczywiście, że kilka miesięcy temu byłbym gotów pojechać do Kairu, Bengazi czy Tunisu i powiedzieć ludziom na ulicach: „Musicie przystopować rewolucję, nie jesteście jeszcze gotowi”. Wiem, że rewolucje wybuchają, ponieważ ludzie są nieszczęśliwi, źli i pragną wolności. Z drugiej strony rewolucja przeprowadzona zbyt wcześnie kończy się tragicznie. Wiem, co mówię, ponieważ byłem zaangażowany w takie reformatorskie prace tak w Libii, jak i Syrii. Rozumiem, że młody człowiek w Kairze nie chce czekać do starości na polityczną wolność, ale ludzie, którzy zaczęli rewolucję w Egipcie, nie są dziś wolni i nie będą przez najbliższe lata. Sytuacja w Libii jest jeszcze gorsza.

Gorsza niż za czasów Kadafiego?

Na temat Libii za czasów Kadafiego krąży całe mnóstwo kłamstw. Nikt już nie pamięta, że to on napisał dla Libii dobrą, liberalną konstytucję i wpuścił do kraju organizacje broniące praw człowieka. W 2010 r. przedstawiciele Human Rights Watch przyjechali do Trypolisu i z podziwem mówili, że po raz pierwszy w tej części Afryki mogą zorganizować spotkanie w kraju, który badają.

W Libii za kulisami dokonywał się poważny postęp. Przecież dwaj przywódcy libijskiej rewolucji, Mustafa Abd al-Dżalil oraz Mahmud Dżibril, od 2007 r. wchodzili w skład libijskiego rządu! To sam Kaddafi ich do niego wprowadził, właśnie w celu dokonania powolnych zmian. Czy te przemiany okazały się zbyt wolne? Tak. Czy dopadła je historia? Tak, to się zdarza. Nie udawajmy jednak, że dla rewolucji libijskiej nie było alternatywy.

Co zatem doradzałby pan osobom odpowiedzialnym za amerykańską politykę zagraniczną?

Cierpliwości, więcej cierpliwości.

Czyli polityką zagraniczną powinien kierować raczej zimny realizm niż gorący idealizm?

To złe postawienie sprawy. Idealizm to dla mnie postawa obrony pewnych wartości, a nie uporczywe dążenie do celów, których w danych okolicznościach nie sposób zrealizować. W polityce zagranicznej powinniśmy kierować się konkretnymi, nie abstrakcjami – dążyć do realnych sukcesów, a nie chwalebnych porażek.

BENJAMIN BARBER

profesor politologii City University of New York, autor kilkunastu książek, m.in. „Strong Democracy”, „Dżihad kontra McŚwiat” oraz „Skonsumowani”. Jego najnowsza książka „If Mayors Ruled the World” („Gdyby burmistrzowie rządili światem”) ukazała się w 2013 r. (wyd. pol. 2014).

DR ŁUKASZ PAWŁOWSKI

z wykształcenia socjolog i psycholog, sekretarz redakcji „Kultury Liberalnej”.

Cena za nasze bezpieczeństwo

O ponowoczesnym charakterze stosunków międzynarodowych, wojnie na Ukrainie, Państwie Islamskim, wyzwaniach stojących przed Europą oraz swojej ostatniej książce pt. „O potędze w XXI wieku” opowiada Pierre Buhler.

Jarosław Kuisz: Ukazało się właśnie pana erudycyjne dzieło o potędze w XXI w. Przed oczami czytelnika przesuwają się rzędy cyfr i danych na temat obecnego świata. Polska jawi się jako mały gracz o małych możliwościach. A może nie...? Po rosyjskiej inwazji na Krym trudno nie zapytać na wstępie, co pana zdaniem w większym stopniu określa kształt współczesnych stosunków międzynarodowych – *soft power*, owa magnetyczna siła ideologii i kultury danego państwa, czy też tradycyjna *hard power*, siła państwowego aparatu przymusu i przemocy?

Pierre Buhler: Rozdzielenie tych dwóch konceptów nie ma sensu. Żyjemy w świecie ponowoczesnym, gdzie relacje dyplomatyczne dyktowane są zarówno siłowo, jak i przez prawo i kompromis. Pojawienie się projektu europejskiego radykalnie zmieniło wizję

uprawiania polityki. Wieszczoano triumf *soft power*, jednakże ostatecznie wydarzenia w Rosji oraz na Ukrainie obnażyły iluzoryczność tego poglądu. Rosja wkroczyła w fazę przebudzenia politycznego, które to materializuje się wielowymiarowo: poprzez stosowanie rozmaitych wybiegów prawnych oraz poprzez pojawienie się specyficznego rodzaju konfliktu, który pozwala na militarne narzucenie swojej woli bez formalnego aktu wypowiedzenia wojny. Wojna hybrydowa prowadzona przez Rosję dowodzi nierealności przekonania, które żywiła znaczna część elit europejskich: wiary w mechaniczne wręcz przeniesienie wartości świata zachodniego na wschód.

Nic dziwnego. Odmalował pan w swojej książce fascynujący pejzaż przemian geopolitycznych współczesnego świata. Niejako na równych prawach funkcjonuje w nim kilka światów.

Model zaproponowany przeze mnie jest czysto empiryczny. Opiera się na współistnieniu wielu światów: ponowoczesnego, nowoczesnego i przednowoczesnego. Skupienie się na jednym aspekcie relacji geopolitycznych to błąd. Innymi prawami rządzą się twory takie jak Unia Europejska, innymi zaprojektowane przed II wojną światową państwa narodowe, a jeszcze innymi – regiony nazywane w starszej nomenklaturze „trzecim światem”. Staram się patrzeć na te podmioty holistycznie, dostrzegając ich różnego rodzaju konfiguracje. To, co przywołać może na myśl anarchię, w rzeczywistości opiera się na misternej grze aktorów, którzy nie spuszczają się nawzajem z oka i spodziewają się, że następnego dnia mogą zostać zaatakowane przez sąsiadów.

Aktorzy jednak cierpią dziś na obsesję zapewnienia swoim obywatelom maksymalnego poczucia bezpieczeństwa. Zmarły niedawno niemiecki socjolog Ulrich Beck pisał, że

współcześnie o statusie danego gracza decyduje umiejętność oswojenia ryzyka i efektywnego zarządzania nim.

W ten właśnie sposób interpretuje się interwencje, które podmioty ponowoczesne realizują w świecie przednowoczesnym. Jednak zjawisko to nie dotyczy wyłącznie operacji pokojowych i misji stabilizacyjnych realizowanych pod egidą społeczności międzynarodowej na globalnym Południu. Nie możemy zamykać oczu na to, co dzieje się o wiele bliżej, tuż za granicami naszych krajów – ponieważ pewnego dnia sami doświadczymy podobnych zagrożeń.

I tu wracamy do pojęcia władzy państwowej w dość tradycyjnym ujęciu...

Odwołuję się w tym miejscu do prac Raymonda Arona, który pytając, czym jest władza, odpowiadał, że to „zdolność podmiotu politycznego od narzucenia swojej woli innym. Władza nie jest jednak absolutem, lecz pojęciem relacyjnym, stosunkiem między aktorami”, głównie – państwami. W mojej książce starałem się pokazać, że postimperialnym naczyniem władzy stało się państwo narodowe. To najmocniejsza i najodporniejsza struktura zdolna do wchłaniania wszystkich atrybutów władzy i do ich projektowania na zewnątrz.

Jednocześnie nie można nie zauważyć, że te zdolności, które kiedyś miało tylko państwo narodowe, leżą teraz także w zasięgu trzech rodzajów podmiotów, wcześniej w dużej mierze pozbawionych dostępu do spraw międzynarodowych. Dzięki rewolucji cyfrowej zyskały one szansę pominięcia władzy państwowej. Są to: międzynarodowe korporacje, organy finansowe oraz instytucje społeczeństwa sieciowego, na przykład organizacje pozarządowe.

A organizacje terrorystyczne? Dotychczas wymienia pan jedynie instytucje budujące nowy ład w stosunkach międzynarodowych. Co z jego burzycielami?

Historia tzw. Państwa Islamskiego potwierdza to, o czym piszę. Zwróćmy uwagę, że sama nazwa to ciekawy wybór semantyczny. Czym jest owe „państwo” w rzeczywistości? To efemeryda pozbawiona międzynarodowej legitymizacji, która nawet bez tego zdołała zająć i utrzymać pewne terytorium. Twór ten ulokował się na granicy epok – między przednowoczesnością a nowoczesnością: z jednej strony to siła działająca według logiki podboju terytoriów i zasobów, która atakuje państwa ukonstytuowane, choć obecnie bardzo słabe i podatne na ciosy; z drugiej strony – to instytucja rekrutująca żołnierzy z całego świata, gotowa handlować surowcami z okupowanych terytoriów i w ten sposób usiłująca wywierać wpływy polityczne.

Efemeryczne Państwo Islamskie nie bez powodu aspiruje do statusu „dorosłego państwa”. Przez lata rozmawiano o wzroście znaczenia podmiotów, takich jak organizacje pozarządowe czy korporacje. Miały one rzekomo rozprawić się z państwami raz na zawsze. Życie jednak pokazuje coś zgoła innego. Oto konkretny przykład: gdy amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego potrzebuje poufnych informacji od wielkich korporacji, takich jak Google czy Facebook, dostaje je szybko na tacy, co jasno pokazuje, kto w istotnych sprawach jest górą: państwo czy korporacje.

Nie powinno to być zaskoczeniem. Państwo jest ciągle najbardziej solidną jednostką polityczną na świecie. Świetnie adaptuje się do nowoczesności. Zdolność tę w sposób wyjątkowy posiadały Stany Zjednoczone. Wykorzystują korporacje, jak Google czy Microsoft, do zdobywania informacji. Zresztą serwery tych firm znajdują się

w Stanach Zjednoczonych, dlatego też właściwie cały ruch elektroniczny na świecie przechodzi przez ich terytorium. A państwo to nie ma skrupułów, by wykorzystywać wszystkie dostępne środki dla swoich celów. Przedsiębiorstwa z natury nie dążą przecież do służenia dobru publicznemu – ich celem jest maksymalizacja zysków. Żeby zarabiać więcej, potrzebują zatem otoczenia, które daje im bezpieczeństwo i komfort fiskalny. *Ergo* korporacje potrzebują państw.

Jak pan postrzega w tym kontekście aktualny spór o prawo do zapominania w Internecie?

W debacie na ten temat odbijają się dyskusje nad kształtem władzy we współczesnym świecie. Nowi aktorzy, jak Google, Amazon czy Facebook, są wystarczająco silni, by próbować podważać potęgę państw w niektórych obszarach aktywności. Dziś dostęp do informacji jest bogactwem, prawdziwą kopalnią złota. W Europie dane osobowe uważane są za rzecz prywatną, która nie powinna podlegać komercjalizacji. Spór z Google to gra nie tylko o pieniądze, lecz także o władzę – toczą ją państwa i jednostki niepaństwowe. Warto odnotować, że Unia Europejska stanowi wyzwanie dla państwa, ponieważ odbiera mu kompetencje. Jednakże państwo nie czeka na własny rozbiór, nie może sobie pozwolić na coś takiego. To w dalszym ciągu jedyny podmiot, który pozwala pogodzić bezpieczeństwo, demokrację i stabilność. Państwo narodowe lub też państwo wielonarodowe stanowi jedyną możliwą opcję polityczną. Albo więc państwo zaadaptuje się do obecnych warunków, albo zniknie.

Może zatem adaptacja to słowo klucz do opisu przemiany potęgi w świecie współczesnym?

Naturalnie, ale najpierw trzeba samo pojęcie potęgi zredefiniować. Stała się ona czymś onieśmielającym, metafizycznym,

fundamentalnym – niełatwym do ujęcia. Zwróćmy uwagę, że wielcy teoretycy – Weber, Aron, Machiavelli, Monteskiusz – są bardzo przydatni do wyjaśnienia stosunków władzy. Ciągłe wiele możemy się od nich nauczyć. Uważam więc, że narzędzia intelektualne, filozoficzne i polityczne są nadal aktualne, by opisać dzisiejszy świat w kategoriach potęgi. Jednak gdy decydujemy się na takie przedsięwzięcie, szczególnie w stosunku do podmiotów, które nie są państwami i które są o wiele bardziej wpływowe niż powiedzmy 100 lat temu, wówczas musimy wypracować nowy język geopolityki. U źródeł tworzenia się państwa nadal stoi nadrzędny cel – bezpieczeństwo. To właśnie opisuje Hobbes, gdy mówi o umowie społecznej: „Wy dajecie mi posłuch, ja daję wam bezpieczeństwo”. W tej materii nic się nie zmieniło.

Za bezpieczeństwo w wizji Hobbesa płacono wysoką cenę. To podległość władzy absolutnej.

W XXI w. hobbesowski opis świata może się nam wydawać karykaturalny. Nie można jednak nie zgodzić się z Hobbesem, który dobrze zrozumiał, że fundamentem władzy księcia jest bezpieczeństwo, które ten zapewnia swoim poddanym. Kiedy ów fundament znika, pozycja suwerena staje się bardzo zagrożona, a zapoczątkowane wtedy procesy całkowicie zmieniają pejzaż polityczny. Suweren łatwo może utracić władzę. Dzisiejszy świat tkwi zatopiony w tej logice także dlatego, że państwo jest nadal jedynym możliwym gwarantem bezpieczeństwa osób i dóbr. W gruncie rzeczy nie widzę niczego, co mogłoby zastąpić państwo w tej roli.

Aż chciałoby się powiedzieć: „Biedna Unia Europejska!”. Zgodnie z logiką, którą pan opisuje, powrót do starego dobrego państwa jest nieunikniony. Nie brakuje osób, dla których władza sprowadza się wyłącznie do bezpieczeństwa,

tyle że w wariacie bardziej *soft* niż u Hobbesa. Ot, na przykład w postaci państwa opiekuńczego.

Owszem, państwo opiekuńcze opiera się na bezpieczeństwie oferowanym jednostkom, co postrzega się przecież jako postęp. Istnieją oczywiście szkodliwe skutki uboczne wprowadzenia państwa opiekuńczego, odczuwalne szczególnie silnie w sytuacji, gdy staje się ono niewydolne. Dzisiaj państwo jest zobowiązane do wymyślenia siebie na nowo, bo nie ma dla niego – jak mówiłem wcześniej – żadnej alternatywy. A więc zgoda: „biedna Unia Europejska” – ale skandując ten slogan, nie należy zachowywać się tak, jakbyśmy chcieli wylać dziecko z kąpielą. Fundamentem Unii – przynajmniej w zamierzeniu Mitterranda – była utopijna idea pokoju wiecznego państw członkowskich. Mitterrand zaproponował tę formułę w wyjątkowym momencie – gdy jednoczyły się Niemcy, a Europa Wschodnia wychodziła z komunizmu. Hasło „Europa albo plemienność” trafiło na podatny grunt. Zdawało się odgrywać rolę panaceum na lęki przed powrotem do tragicznej przeszłości. Ćwierć wieku po upadku muru berlińskiego pojawiły się siły odśrodkowe nowego rodzaju, które dążą do zaburzenia chwiejnej równowagi. Podkreślam: nie jest mi bliski utopistyczny sposób myślenia o Unii Europejskiej. Nie sądzę, by twory takie jak Unia stały się przyszłością państwa. Koncentracja władzy na wzór amerykański, czyli federalizacja Europy, zajęłaby bardzo wiele czasu.

Przed nami zatem nie lada wyzwanie – próba prowadzenia spokojnego życia w świecie zmieniających się struktur państwowych...

Oczywiście. Wyzwania te widać doskonale na przykładzie wyniku referendum w Szkocji. Najważniejsze pytanie, na które musimy sobie odpowiedzieć, dotyczy tego, czy chcemy – i możemy – zachować

ponowoczesność struktur państwowych. W przeciwnym razie, chcąc nie chcąc, cofniemy się do świata nowoczesności. Osobiście sądzę, że to ostatnie nie nastąpi. Wierzę, że przyszłością dla Unii może być tylko pogłębienie integracji między państwami.

Tymczasem niektórzy teoretycy wątpią, czy demokracja może rzeczywiście funkcjonować poza granicami państwa. Czy przemiany polegające na przenoszeniu demokracji ponad państwa *de facto* nie doprowadziłyby do rozmontowania demokracji w ramach samych państw? Nie obawia się pan tego?

Ależ demokracja przyjmuje różne kształty. W Stanach Zjednoczonych demokracja istnieje nie tylko na poziomie samych stanów. USA potrafiło rozwinąć demokrację również na szczeblu federalnym. Oczywiście to nie zdarzyło się natychmiast. Dzisiaj patrzymy na to jak na spełniony projekt, lecz w pierwszych dziesięcioleciach po podpisaniu Deklaracji Niepodległości w Filadelfii szczebel federalny nie był postrzegany jako szczebel właściwy dla demokracji. Stany Zjednoczone uważane za kolebkę współczesnej demokracji zaczynały jako federacja stanów, która dopiero z czasem nabywała charakteru demokratycznego. Zauważmy, że nawet dzisiaj wybory prezydenta w USA nie są *de facto* powszechne. Decydują głosy elektorów, których wybiera się na poziomie stanowym. Są to więc wybory, które odbywają się na kilku poziomach. A jednak nikt nie podważa tego, że prezydent Stanów Zjednoczonych jest wybierany demokratycznie. Sądzę, że istnieje podmiot europejski, będący ludzkim tworem, który potrafi przekroczyć ideę państwa, a który został stworzony po to, by uzyskać władzę ponadnarodową na drodze traktatów. A więc mówienie, że demokracja nie jest możliwa na poziomie ogólnoeuropejskim to przykład niepotrzebnego zakrzywiania

rzeczywistości. Wyrazem demokracji na szczeblu europejskim jest na przykład Rada Europejska. Wchodzący w jej skład szefowie państw są wybierani w wyborach powszechnych przez obywateli ich krajów. W konsekwencji podejmowane przez nich decyzje mają polityczną legitymację społeczeństw państw członkowskich. Nie możemy upraszczać mechanizmu działania wspólnoty. Musimy oddać sprawiedliwość złożoności konstrukcji europejskiej i głośno mówić o tym, co przynosi ona w sensie dobra wspólnego, bezpieczeństwa i dobrobytu czy swobody przemieszczania się. To ten szczególny rodzaj dóbr wspólnych, które są wartościowe i których państwo obecnie nie jest w stanie nam zapewnić samotnie. Istnieje zatem pewna przestrzeń polityczna, która kieruje się swoją własną logiką i której nie można zastąpić czymś innym, w tym – prostym powrotem do idei państwa.

PIERRE BUHLER

politolog, prawnik, ekonomista, od 2012 r. akredytowany jako ambasador Francji w Polsce, autor m.in. „Anatomii Oszustwa. Polska w czasach komunizmu”.

DR JAROSŁAW KUISZ

historyk prawa i analityk polityki, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”.

TOMASZ SAWCZUK

Co to znaczy „Je suis Charlie”?

Jakimi motywami kierują się różne grupy wspierające lub krytykujące redakcję francuskiego tygodnika i jakie zagrożenia niesie dla liberalnej demokracji zamach w Paryżu?

Dyskusja wokół zabicia dwunastu osób w redakcji „Charlie Hebdo” przybrała w Polsce niepokojący kształt. Wiele osób jest zdziwionych aktami solidarności z ofiarami zamachów, ponieważ ich zdaniem działalność rysowników raczej zaprzeczała wolności słowa. Jeszcze więcej osób w ogóle nie przejmuje się sprawą. Jedna z żon górników protestujących przeciw likwidacji śląskich kopalni stwierdziła w telewizji, że 11 stycznia, gdy odbywał się marsz upamiętniający ofiary zamachów terrorystycznych, premier Kopacz „zamiast zająć się problemami polskiego górnictwa, pojechała na imprezę do Paryża”. Czy rzeczywiście mamy powody, by w imię problemów obcej i odległej Francji przejmować się dzisiaj swobodą wypowiedzi?

WALCZĄCE SŁOWA I ZŁOWROGIE MILCZENIE

Problematyczne są już nawet próby zdefiniowania, o czym mowa. Wolność słowa jest elementem szerzej rozumianej wolności

ekspresji. Granice między mówieniem a działaniem są jednak niejasne. Przykładowo: czy palenie krzyża przed domem czarnoskórych Amerykanów przez członków Ku Klux Klanu jest przykładem mowy nienawiści (por. sprawa Virginia v. Black)? Z pewnością trudno określić ich zachowanie jako pokojowe. Nie trzeba uderzyć, aby zranić. Wystarczy użyć tak zwanych „walczących słów”. Ale i nie trzeba w tym celu nawet mówić.

W tym sensie nie ma fundamentalnej różnicy między mówieniem a działaniem. Wcale nie jest pewne, że nasz opis pozwoli przedstawić zdarzenie trafniej niż milcząca obserwacja. Każdy z nas może podać na poparcie tej tezy wiele przykładów z własnego doświadczenia: choćby, gdy widać, że bliska osoba jest spięta i ma skrzywioną minę, ale nie chce przyznać słowami, że jest urażona. Kiedy zachowujemy się w pewien sposób albo urządzamy w pewien sposób świat, to tak, jakbyśmy wypowiadali na ten temat zdania. Aby zranić, nie trzeba więc nawet bezpośredniego kontaktu.

ABY JĘZYK GIĘTKI POWIEDZIAŁ WSZYSTKO

Zabraniając więc jakichś działań, w pewnym sensie ograniczamy wolność wypowiedzi. Ograniczenia tego rodzaju różnią się w odniesieniu do sfery prywatnej oraz sfery publicznej. Prywatnie możemy mówić wszystko, co nam się podoba – jak obrazoburcze i szalone by to nie było. Wypowiedzi publiczne napotykają ograniczenia w postaci naszych obowiązków wobec innych ludzi.

Zwykle przyjmowane publiczne ograniczenia wolności wypowiedzi mają kilka rodzajów i występują w poszczególnych państwach liberalnej demokracji w różnych proporcjach.

Jest to choćby możliwość pozwu cywilnego o naruszenie dóbr osobistych, odpowiedzialność karna za zniesławienie czy

nawoływanie do przemocy. Istnieją też ograniczenia nieformalne, jak presja wspólnoty.

Ograniczenia tego rodzaju nie są *prima facie* złe, o ile ich celem jest umożliwienie ochrony bliźnich przed upokorzeniem. Stopień ich stosowania zależeć będzie przy tym od lokalnych zwyczajów i z pewnością lepiej, gdy wspólnota toleruje różne ekscentryczne wybryki lub reaguje na nie na poziomie społecznym, niż gdy ochrona taka wymaga rozwiązań prawnych. Na przykład: polscy politycy często idą do sądu z pozwem o naruszenie dóbr osobistych, ponieważ formalnie mają do tego prawo – choć przecież nie muszą i mogliby załatwić trapiący ich problem publicznym oświadczeniem.

(K)RAJ SKANDALISTÓW

Francja jest w tym kontekście przykładem szczególnym. Uzasadnienia ograniczania wolności słowa nie poprzestają tam na sprzeciwie wobec krzywdzenia innych, lecz odwołują się do pozytywnej wizji laickiej republiki.

Czy hasło „Je suis Charlie” mogło więc wyrażać protest w obronie wolności słowa? Skoro nie ma fundamentalnej różnicy między mówieniem a działaniem, to przykładowy zakaz noszenia określonych strojów w miejscach publicznych, jak burek w wypadku Francji, nie różni się co do treści od ograniczeń wolności słowa. Wątpliwe więc, by akurat ta sprawa najbardziej leżała obywatelom V Republiki na sercu. Francuzi po paryskich zamachach protestowali nie tyle w obronie jak najszerzej wolności słowa ani nawet przeciwko przemocy (republika została powołana przy użyciu przemocy, a policja zabiła zamachowców), co manifestowali w obronie konsekwentnej realizacji republikańskich wartości w formie znanej we Francji. Dlatego też w kraju tym możliwe jest wydawanie obrazoburczego „Charlie Hebdo”,

które, jak zauważył w „New York Times” David Brooks, nie mogłoby się z powodu treści ukazywać na żadnym amerykańskim kampusie uniwersyteckim.

PRAWO DO BLUŹNIERSTWA?

Przykład „Charlie Hebdo” jest świetną ilustracją kłopotów, jakie pojawiają się przy rozróżnianiu podejścia do wypowiedzi prywatnych i publicznych. Co robić, gdy pewien skandalista (szaleniec? geniusz? poeta?) postanowi wyzwolić się z wszelkich okowów konwenansu i dziarsko wkroczy ze swoim przekazem na publiczną arenę, tak jak francuscy rysownicy? Oto pytanie. Akt taki – szczególnie dokonywany przez gorzej sytuowanych – może czasem ujawnić istniejące w społeczeństwie niesprawiedliwości. Jego ocena z pewnością nie będzie całkowicie niezależna od tego, czy popieramy owego skandalistę. Ale czy zatem naprawdę *nous sommes tous Charlie*, wszyscy jesteśmy Charliem, nawet jeśli ów Charlie bywa niezbyt wyrafinowanym chamem?

Prawicowi publicyści zwracają uwagę, że ani islamscy fundamentaliści, ani autorzy satyrycznego tygodnika nie służyli wolności słowa. Strona liberalna odpowiada na to, jak uczynił choćby Brian Beutler w „The New Republic”, że nie trzeba popierać aktów bluźnierstwa, aby bronić prawa do bluźnienia. Czy jednak na pewno? Skoro o tym, co sądzymy, decydują na równi nasze czyny, co nasze słowa, to czy przyzwalanie na bluźnierstwo nie jest równoznaczne z jego wspieraniem?

PO CO TA WOLNOŚĆ?

Można by tak podejrzewać, skoro tylko w ostatnich dniach pojawiło się kilka komentarzy postulujących bezwarunkową wyższość wolności wypowiedzi nad uczuciami osób potencjalnie pokrzywdzonych. Stephen Law z University of London stwierdził,

że wbrew obawom o możliwość urażenia czyichś uczuć, żadna religia nie powinna być wolna od satyry, która potrafi być zarówno kanalizatorem prawdy, jak i sztuką. Tego rodzaju funkcje spełnia jednak zapewne mniejszość utworów satyrycznych. Satyra powinna raczej bronić się bez potrzeby podobnych odwołań.

Ważniejszy argument przedstawił brytyjski pisarz Kenan Malik. Stara się on przekonać, że manifestacje w obronie wolności słowa były wzruszające, ale przysły o wiele za późno – bo dopiero po zamachach. Jego zdaniem zbyt rozwinięta w państwach zachodnich moralna potrzeba autocenzurowania działa nie tylko wbrew interesom naszej kultury, lecz także samych kulturowych mniejszości, przypisując republikańskie wartości tylko białej większości, uniemożliwiając tym samym wzajemną krytykę i postęp w przekształcaniu relacji między członkami wspólnoty.

Pojawia się tu istotna kwestia utrzymania dialogu między różniącymi się kulturowo ludźmi. Rozmowa taka powinna, zdaniem teoretyka demokracji Jürgena Habermasa czy mówiącej o tej sprawie w „Kulturze Liberalnej” amerykańskiej filozofki Marthy Nussbaum, przebiegać w warunkach wzajemnego dostosowywania się rozmówców, a zatem mieć ogólnie rzecz biorąc charakter konstruktywny. Postawienie wyłącznego nacisku na wolność ekspresji pozwala tej kwestii łatwo umknąć i nadmiernie upraszcza ogląd sytuacji.

ILE ODPOWIEDZIALNOŚCI?

Kluczowe w odniesieniu do wolności słowa, w tym satyry, wydaje się co innego. Liberalowie zasadniczo wspierają nie akty bluźnierstwa jako takie, lecz raczej prawo do eksperymentalnych poszukiwań, w tym prawo do błędu. Przyznają też krzywdzonym prawo do ochrony. Warto pamiętać, że tygodnik „Charlie Hebdo”

musiał zmagać się z wytoczonymi mu procesami sądowymi. Eksperymentator musi być więc gotów na poniesienie konsekwencji swojego postępowania, choć warunki eksperymentowania powinny być możliwie swobodne.

To ostatnie może jednak prowadzić do przerażającej konkluzji: skoro skandalizujący rysownik musi się liczyć z konsekwencjami swojej twórczości, to powinien liczyć się z tym, że w wielokulturowej Francji ktoś obrażony rysunkami spróbuje go zabić. Tak właśnie zdaje się ustawić sprawę ta część prawicy, która dopatruje się w paryskich wydarzeniach starcia dwóch nihilizmów, które „nie jest i nie powinno być naszą sprawą”, jak stwierdził Tomasz Terlikowski.

Konsekwencje ponoszone przez skandalistę muszą jednak mieścić się w granicach państwa prawa. Jego funkcjonowanie jest zaś sprawą nas wszystkich. Jak podsumował powyższy pogląd Terlikowskiego Wojciech Sadurski, „gdy ktoś mówi: «Nie popieram zabójstwa w redakcji ‘Charlie Hebdo’, ale» – to trzyliterowe słówko «ale» jest już akcesem do partii zabójców dziennikarzy”. Tym samym przyzwalającym na mord nihilistą okazuje się także Terlikowski.

CHARLIE W KAŻDYM Z NAS

W eseju „Pochwała niekonsekwencji” Leszek Kołakowski pisał, że „rasa ludzi niekonsekwentnych jest nadal źródłem nadziei na to, iż, być może, gatunek ludzki zdoła się jeszcze utrzymać przy życiu”. Jak dodawał, jest to „ta sama rasa, z której część wierzy w Boga i w wyższość zbawienia wiecznego nad dobrem doczesnym, a jednak nie domaga się przywrócenia stosów dla heretyków; z której inna część nie wierzy w Boga i akceptuje rewolucyjne środki przemian społecznych, ale odrzuca sposoby działania, które wydają się sprzyjać takim przemianom, o ile

sposoby te przeczą jawnie pewnej tradycji moralnej, w której zostali wychowani”.

Nie ma zatem znaczenia, czy popieramy idee paryskich satyryków – nie o to chodzi w całej sprawie. Hasło „Je suis Charlie” oznacza jednocześnie różne rzeczy, w zależności od kontekstu, w którym je umieścimy. A jeżeli tak, oznacza ono przede wszystkim obronę pluralizmu. Dlatego niektórzy uzupełniali je o „Je suis Ahmed”, ku pamięci muzułmańskiego policjanta ochroniarza zabitego przez zamachowców.

Nie każdy z nas jest Charliem czy Ahmedem, ale każdy z nas może się nim stać. I to właśnie w imię wolności pokojowo różniących się ludzi warto solidaryzować się dziś z Francuzami – nawet jeżeli sama Francja nie zawsze jest dla nas w tej kwestii wzorem.

CO DALEJ, CHARLIE?

Kłopoty z fanatyzmem religijnym nie znikną jednak od gestów solidarności i demonstracji ku czci wolności słowa. W rozbudowanym i wyważonym artykule słynny przedstawiciel amerykańskiej lewicy Michael Walzer stwierdził, że świecka lewica potrzebuje obrońców przed islamskim fundamentalizmem. Z pewnością potrzebuje ich nie tylko lewica. Ale, jak zauważa w odpowiedzi Walzerowi filozofka Sheyla Benhabib, z fundamentalistami nie można też poradzić sobie, po prostu deklarując wojnę z dżihadem: „Wielu młodych muzułmanów nie widzi wyjścia z kręgu przemocy, korupcji i biedy”.

Dlatego do podobnych deklaracji trzeba podchodzić z odpowiednią dozą ostrożności. Jeżeli bowiem ktoś zgadza się z Davidem Cameronem, że w obliczu międzykulturowych napięć potrzebujemy dziś bardziej „muskularnego” liberalizmu, powinien pamiętać, że już teraz naszym rządowi nie brakuje siły – a w bardziej muskularnym systemie, wolności będzie raczej

coraz mniej niż coraz więcej. Nim się obejrzymy, może on przestać być w ogóle liberalny. Każda ideologia jest bowiem zdolna osunąć się dla osiągnięcia swoich celów w terror.

Warto o tym pamiętać, skoro już teraz unijni politycy zaczynają domagać się coraz większych koncesji na rzecz bezpieczeństwa, kosztem naszych swobód. Konieczność ograniczenia wolności wymaga dowodów poważniejszych niż nawet najlepsze chęci naszych przywódców. Eksperymentować można na wiele sposobów.

TOMASZ SAWCZUK

członek redakcji „Kultury Liberalnej”. Absolwent prawa i filozofii. Doktorant w Instytucie Filozofii UW.

HUBERT CZYŻEWSKI

Ile wolności dla wrogów wolności?

Większość obrazków publikowanych przez „Charlie Hebdo” jest najzwyczajniej obrzydliwa i idiotyczna. Dlaczego jednak warto walczyć o to, żeby ktoś mógł być obrzydliwym bałwanem? Dlaczego warto zadeklarować „jestem Charlie”?

*Nie zgadzam się z tym co mówisz,
ale oddam życie za to, żebyś mógł dalej robić z siebie dupka.*

słowa przypisywane Oscarowi Wilde'owi

Atak terrorystyczny na redakcję francuskiego pisma satyrycznego „Charlie Hebdo” spowodował ogromne poruszenie w demokratycznych państwach na całym świecie. Efekt to nie tylko wielomilionowe marsze solidarności z ofiarami, ale też rozgorzałe na nowo dyskusje o roli politycznego islamu, o przyszłości społeczeństw wielokulturowych i przede wszystkim – o ogromnym znaczeniu wolności słowa dla cywilizacji europejskiej.

Mimo to wielu ludzi, w szczególności młodych, było bardzo zachowawczych w otwartym i jednoznacznym wyrażaniu solidarności z pomordowanymi rysownikami. Znany czeski teolog

Tomáš Halik, potępiając akt brutalnej przemocy, nazwał po imieniu to, co zdaje się sądzić bardzo wielu ludzi: „Co mnie niepokoi, to próby czczenia ofiar jako symboli naszej kultury”.

„Brak szacunku dla drugiego człowieka jest głównym źródłem zła na tym świecie”; „to chamstwo i głupota. Nie widzę powodu, żeby popierać chamstwo i głupotę”; „wolność słowa nie może stać przed wolnością religijną”; „wiedzieli, że igrali z ogniem, to się doigrali”; „takie karykatury to nie jest prawdziwa wolność słowa”. Takich opinii, mimo zapewnień o potępieniu terroru, można było usłyszeć w dniach po zamachu mnóstwo. I to dość często od ludzi wykształconych, inteligentnych i obytych w świecie.

W pewnym sensie doskonale te opinie rozumiem. Uważam, że większość obrazków publikowanych przez „Charlie Hebdo”, a ostatnio rozpowszechnianych w mediach, jest najzwyczajniej obrzydliwa i idiotyczna. Nie tylko mnie one nie śmieszą, ale w najbardziej wulgarny sposób godzą w wartości mi bardzo bliskie, a przez to ranią mnie bezpośrednio. Więcej: oburza mnie, że kogokolwiek mogą naprawdę śmieszyć.

Dlaczego więc warto walczyć o to, żeby ktoś mógł być obrzydliwym bałwanem? Dlaczego warto zadeklarować „jestem Charlie”?

Moim zdaniem są dwa główne powody. Stan, w którym nawet największa świętość nie jest prawnie wyjęta spod krytyki, w ostatecznym rozrachunku chroni nas wszystkich. Drugi powód, patetycznie rzecz nazywając, to wolność jako taka. Ale po kolei.

Warto odwrócić perspektywę, z której patrzymy na ten problem, i zamiast bronić prawa satyryków do ostrej, nawet idiotycznej satyry, bronić prawa wszelkiej maści radykałów do głoszenia nawet najbardziej idiotycznych i złowrogich poglądów.

W lutym 1930 r., trzech poruczników niemieckiej Reichswehry: Richard Scheringer, Hanns Ludin i Hans Friedrich Wendt, zostało oskarżonych o rozpowszechnianie nazistowskiej

propagandy wśród żołnierzy. Mimo że partia nazistowska była legalnie działającą organizacją polityczną i cieszyła się rosnącym poparciem, żołnierze w służbie czynnej nie mogli działać w organizacjach nazistowskich i komunistycznych, ponieważ ideologie te otwarcie wzywały do obalenia ustroju. Sprawa dotarła w końcu przed Sąd Najwyższy Rzeszy w Lipsku. 25 września obrońca oskarżonych, Hans Frank (późniejszy Generalny Gubernator w Polsce), powołał na świadka samego przywódcę ruchu narodowosocjalistycznego. Ten zapewniał sąd, że celem nazistów nie jest łamanie prawa i że całkowicie wyrzekają się rewolucyjnej drogi zdobycia władzy. Ale swoje wystąpienie zakończył tak: „Mogę państwa zapewnić, że kiedy walka ruchu narodowosocjalistycznego zakończy się sukcesem, to powstaną Sądy Nazistowskie, rewolucja z listopada 1918 r. będzie pomszczona i polecą głowy”. Adolf Hitler powiedział publicznie i wprost: nie zniszczymy państwa, my je przejmujemy. Będziemy grać w waszą grę i według waszych reguł. I wygramy. A wtedy zmienimy reguły i was zabijemy. W 1930 r. ruch nazistowski był potężnym ruchem politycznym, ale w Niemczech było wciąż wiele innych popularnych partii, które wciąż mogły liczyć na wsparcie armii i aparatu państwowego. To znaczy, że w czasie procesu lipskiego, jeszcze można było Hitlera powstrzymać. Nie zrobiono tego, mimo że – co ważne – wiadomo było, czego się można spodziewać.

I dziś w mediach słyszymy co pewien czas, że radykałowie wszelakiej maści nawołują do zniszczenia demokracji, wprowadzenia nowych porządków i rozprawienia się z takimi czy innymi wrogami. I powinni móc to mówić otwarcie. Niech to robią w otwartych domach spotkań, na publicznych placach i na straganach przed metrem. Dużo groźniej byłoby, gdyby takie idee dojrzywały na sekretnych zebraniach w piwnicach czy były rozpowszechniane w nielegalnym obiegu.

Niech ci, którzy stoją na straży naszych republik, wiedzą, co się święci i niech przygotują odpowiedź. Niech ci, którzy strzegą wartości naszych konstytucji, podejmują polemikę i przekonają w dyskusji do naszych wartości – bo pomimo wszystkich niedociągnięć, doświadczenie historyczne pokazuje, że to właśnie wypracowane na Zachodzie demokratyczne instytucje stwarzają najlepsze warunki dla indywidualnego rozwoju. Niech ci, którzy dbają o nasze fizyczne bezpieczeństwo, mają takich radykałów pod kontrolą – bo zawsze znajdą się umysły tak zągubione i serca tak zatwardziałe, że nie przemówią do nich żadne argumenty.

Aby zdać sobie sprawę ze skali zagrożenia, nie można udawać, że go nie ma, i podejmować wyłącznie działania pozorowane, po prostu zakazując pewnych wypowiedzi w sferze publicznej. To klasyczny problem sprowadzający się do pytania: „ile wolności można przyznać wrogom wolności?”. Wierzę głęboko, że w ostatecznym rozrachunku przyznanie wolności wrogom wolności to najlepsza strategia jej obrony.

Teraz powód drugi. Nie zajmowalibyśmy się sprawą francuskiego magazynu wątpliwej jakości, gdyby nie jeden kluczowy fakt, który fundamentalnie zmienia perspektywę, z której patrzymy na wydarzenia sprzed dwóch tygodni – zostali zamordowani ludzie. Terrorysty chcieli ukarać rysowników „Charlie Hebdo” za to, co robili, i zastraszyć innych dziennikarzy i karykaturzystów na całym świecie, aby nie publikowali treści, których terrorysty nie akceptują.

Debata, jak wyznaczać granicę swobody wypowiedzi i jak znaleźć punkt równowagi między potrzebą ekspresji jednych a wrażliwością drugich, jest ważna i potrzebna. Ale naszą bronią w takiej debacie muszą być rzeczowe argumenty, a naszymi narzędziami rozwiązania prawne i instytucjonalne, które

ustanowiliśmy właśnie dla takich potrzeb. Argumentem nie może być zastraszanie, a narzędziem nie może być karabin. Nigdy i nigdzie.

Być wolnym oznacza mieć wybór między różnymi opcjami w ramach pewnych granic nieustannie negocjowanych przez społeczeństwo. Dlatego naszym obowiązkiem jest stawać solidarnie po stronie krzywdzonych przeciw krzywdzącym, nawet jeśli źle ocenialiśmy postawę ofiar. Wolni ludzie nie mogą żyć w strachu przed przemocą.

HUBERT CZYŻEWSKI

stały współpracownik „Kultury Liberalnej”, pracuje nad doktoratem o myśli religijnej Leszka Kołakowskiego.

Być czy nie być Charlie? Oto jest pytanie

Mord nigdy nie znajduje usprawiedliwienia, a zamach na brukową gazetę jest pogwałceniem podstawowych wolności. Nie sprawia jednak, że staje się ona ich uosobieniem.

Początkowo nikt nie hamletyzował. Wszyscy „byliśmy Charlie”. Potem głos zabrali fundamentaliści mający na sztandarach katolicyzm i okazało się, że jednak nie wszyscy „są Charlie”. Padaly argumenty, że członków paryskiej redakcji spotkała zasłużona, ziemską karą za grzechy i poniżanie religii. A później pojawił się dyskurs ideowy, związany z definiowaniem wartości właściwych kulturze europejskiej, ewentualnym prymatem jednych nad drugimi i tym, czy z ich uznawania wynika czy też nie wynika konieczność solidaryzowania się z zamordowanymi redaktorami poprzez stwierdzenie „Jestem Charlie”.

WARTOŚCI EUROPEJSKIE I ŚMIERĆ

Podstawowym argumentem używanym przez tych, którzy „czują się Charlie”, z prezydentem François Hollandem na czele, jest stwierdzenie, że wolność słowa to fundament kultury europejskiej.

A w związku z tym redaktorzy marnego pisma satyrycznego o spadającym nakładzie zostali męczennikami za te wartości. Nie potrafię zgodzić się ani z poglądem, że to właśnie wolność słowa jest filarem naszej cywilizacji, ani z tym, że śmierć z ręki terrorystów motywowanych religijnie automatycznie czyni kogokolwiek męczennikiem za jakiegokolwiek wartości.

W pisanych na gorąco tekstach i wypowiedziach przez wszystkie przypadki odmieniano hasło „wartości europejskich”, rozumianych głównie jako wolność słowa i prasy, stanowiące emanację wolności przekonań, będącej wszak jednym z podstawowych praw człowieka. Te prawa są w naszym kręgu kulturowym niepodważalne i dla demokracji liberalnej kluczowe. Nad tym, co kryje się pod wieloznacznym pojęciem „wartości europejskich”, warto się zastanowić. Myślę, że za ich fundament można uznać Powszechną Deklarację Praw Człowieka. Pierwsze zdanie Preambuły Deklaracji, przyjętej przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1948 r. mówi, że: „(...) uznanie przyrodzonej godności oraz równych i niezbywalnych praw wszystkich członków wspólnoty ludzkiej jest podstawą wolności, sprawiedliwości i pokoju świata”. W pierwszym artykule Deklaracji zapisano natomiast, że: „Wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi pod względem swej godności i swych praw. Są obdarzeni rozumem oraz sumieniem i powinni postępować w stosunku do siebie wzajemnie w duchu braterstwa”.

Przytoczone zdania jasno wskazują na to, że fundamentalną wartością jest przyrodzona godność każdego człowieka. To na niej opierać się może sprawiedliwość, to z niej powinno wynikać braterstwo, czyli idea zapisana w słowach listu św. Pawła do Galacjan: „Jedni drugich brzemiona noście”, będąca fundamentem ruchu „Solidarności”. Z przekonania o przyrodzonej godności wynikać musi też szacunek dla drugiego człowieka – jego

tożsamości, przekonania, wrażliwości. Zgodnie z Deklaracją Praw Człowieka to godność osoby ludzkiej jest wartością podstawową. Z niej wynikają wszystkie wolności (z wolnością słowa włącznie), ale ponieważ jest wartością podstawową – nie mogą jej znosić.

Ostatecznie nieprzyjęta, ale przedyskutowana Konstytucja dla Europy określa fundament europejskich wartości bardziej jednoznacznie. Jej preambuła zaczyna się od zdania: „Inspirowani kulturowym, religijnym i humanistycznym dziedzictwem Europy, z którego wynikają powszechne wartości, stanowiące nienaruszalne i niezbywalne prawa człowieka, jak również wolność, demokracja, równość oraz państwo prawa (...)”. Słowa te nie tylko wskazują treść, ale także źródło wartości. Źródło w każdym człowieku nakazujące widzieć bliźniego, któremu winni jesteśmy pomoc i zrozumienie, a przede wszystkim – szacunek, wynikający z jego godności. Tego szacunku, opartego na fundamencie chrześcijaństwa i humanizmu, próżno szukać w karykaturach „Charlie Hebdo”, przypominających raczej obrzydliwe, antysemityczne grafiki z lat 30. niż prace inspirowane opisanymi powyżej wartościami.

Niezmiernie daleko mi do przekonania, że redaktorzy „Charlie Hebdo” ponieśli sprawiedliwą karę za swe satyryczne ekscesy. Zostali bestialsko zamordowani przez fanatycznych terrorystów, w imię prawa, które w Europie prawem nie jest i, mam nadzieję, nigdy nie będzie. Ich śmierć stanowi pogwałcenie elementarnych praw i nie znajduje żadnego usprawiedliwienia. Nie uważam jednak, by można było określić ich mianem męczenników za jakiegokolwiek wartości, jak chce tego część mediów i polityków. Męczennikiem za wartości można zostać, jeśli się świadomie taką drogę wybiera. Jeśli wartości ma się zinternalizowane i ze względu na silne przekonania, pomimo ryzyka, postanawia się dawać im wyraz. Tak, redakcja „Charlie Hebdo” otrzymywała

listy z pogroźkami. Jednak po przejrzeniu pobieżnie kilku numerów tegoż czasopisma trudno mi dojść do przekonania, że wartości europejskie wyrażone w Deklaracji Praw Człowieka czy projekcie Konstytucji UE stanowiły podstawę jego aktywności. Wolność słowa była w tym wypadku raczej traktowana instrumentalnie – jako narzędzie prowadzenia pisma.

SOLIDARNOŚĆ

Solidarność z ofiarami jest w moim przekonaniu aktem wynikającym z wyznawania wartości opisanych w Deklaracji, a więc uznania za wartość podstawową godności osoby ludzkiej. Przez Paryż przemaszerowało milion osób wyrażających swoją solidarność z ofiarami zamachu w redakcji, z 24 głowami państw na czele. Hasłem tak marszu, jak internetowej kampanii, było „Je suis Charlie Hebdo”, czyli: „Jestem Charlie Hebdo”.

Wyrazy solidarności są ważne. W stanie wojennym podtrzymywały polskich opozycjonistów na duchu. W czasie praskiej wiosny zagraniczne wyrazy wsparcia pozwalały Czechom podtrzymać gasnącą iskrę nadziei. Cierpiących należy wesprzeć, choćby gestem czy słowem. Jednak kampania solidarności z zabitymi członkami redakcji francuskiego tygodnika satyrycznego budzi mój opór właśnie ze względu na słowa. Nie mogę być czymś, co budzi we mnie odrazę – a tak jest z treściami publikowanymi w „Charlie Hebdo”. Niezależnie od tego, co stało się z autorami – ich śmierć nie zmienia mojej oceny ich działalności. Gdyby tak było, byłabym zmuszona utożsamić się z każdym, kto zostanie zabity za poglądy wyrażane w prasie, niezależnie od tego, jak wielki opór budzi we mnie ich treść i jak bardzo przeczą wartościom stanowiącym fundament naszej europejskiej cywilizacji.

Mogę „być z Charlie Hebdo”. Wyrażać sprzeciw wobec ich śmierci, starać się wesprzeć – gestem – ich rodziny i przyjaciół.

Mord nigdy nie znajduje usprawiedliwienia, a zamach na brukową gazetę jest pogwałceniem podstawowych wolności. Nie sprawia jednak, że staje się ona ich uosobieniem. Godność osoby ludzkiej i niepodważalny szacunek dla niej jest moim zdaniem największym osiągnięciem powojennej Europy. Dlatego „będę z Charlie”. Ale jednocześnie będę protestować przeciw podobnej mu działalności, która tym wartościom przeczy.

HELENA ANNA JĘDRZEJCZAK

historyczka idei, socjolożka, doktorantka w ISNS UW.
Współpracowniczka „Kultury Liberalnej”.

Nie chować głowy w piasek

Świecka, tolerancyjna Europa chwieje się w posadach. Atakują ją z różnych stron radykałowie muzułmańscy i chrześcijańscy. Swoje dokłada antyeuropejska prawica. Choć są w mniejszości, to oni nadają ton. Czas się temu przeciwstawić.

Dla islamistów i radykalnych chrześcijan bluźnierstwo jest grzechem i zasługuje na mniej lub bardziej dotkliwą karę. Ze śmiercią włącznie. Przekonaliśmy się o tym niedawno, kiedy doszło do krwawych zamachów terrorystycznych w Paryżu. Co prawda słyszeliśmy później głosy potępienia samego mordu, zwykle opatrzone jednak szeregiem zastrzeżeń. Nie wolno przecież śmiać się z religii, nie wolno ranić „uczuć religijnych” – czymkolwiek są! Nawet oświecony papież Franciszek dobrotliwie przyznał, że gdyby to jego matkę obrażono, nie mówiąc o Jezusie Chrystusie, to chcąc nie chcąc, musiałby odwołać się do argumentu przemocy.

Nie do prawa – do przemocy. Ujawniło się przy tym szczególne poczucie wyższości chrześcijan nad muzułmanami. Papież nie będzie przecież strzelał, to niecywilizowane, wystarczy fanga w nos!

Swoje dodali, zupełnie swoją drogą świeccy, ale tak samo nieznoszący Europy (tej kolebki cywilizacji śmierci), pravicowi radykałowie. Choćby Marine Le Pen, która wezwała do przywrócenia, a jakże – kary śmierci. Śmierć – jak widać – odmieniana jest tu przez wszystkie przypadki.

To jednak ślepa uliczka. Wprowadzanie kolejnych zakazów i jeszcze surowszych kar nijak nie zapewni nam większego bezpieczeństwa. Nawet tortury – o czym wiemy nie od dziś, choć historia lubi się powtarzać (patrz: mizerne dokonania CIA) – nie gwarantują, że zaczniemy żyć w lepszym świecie. Nasze kłopoty biorą się jak zwykle z zaniechania, z braku wyobraźni i braku choćby chęci zrozumienia rzeczywistości, która dla wielu – na przykład dla przywódców tak francuskiej, jak i polskiej lewicy – powoli staje się tożsama z obrazami zmieniającymi się na ekranie telewizora, przypominając kiepski film w technikolorze. Oczywiście, słusznie martwimy się o ofiary bestialskich zamachów terrorystycznych z Paryża, słusznie wychodzimy na ulice w proteście przeciwko mordowaniu niewinnych obywateli. Kłopot w tym, że nasze działania są spóźnione, czasem niepozbawione też hipokryzji. W rezultacie znów wychodzi na to, że zajmujemy się przede wszystkim sobą, z boku pozostawiając źródła naszych trosk i zmartwień. Wydarzenia tragiczne i godne potępienia przesłaniają nam bowiem kontekst – społeczny i polityczny – i wprowadzają w swego rodzaju drzemkę, która bynajmniej nie sprzyja uniknięciu kolejnych zamachów.

Zapominamy, że grupy terrorystyczne doskonale rozumieją nasze problemy. Wiedzą, że najłatwiej uderzyć w miękkie podbrzusze naszych społeczeństw, które sami odsłaniamy, sporą część własnych obywateli skazując na wykluczenie i brak perspektyw społecznego awansu. Nie bez przyczyny przecież do niektórych dzielnic na przedmieściach Paryża policja nawet się

nie zbliża – ludzie w nich mieszkający trwale znajdują się poza systemem. Albo trafią do więzienia, albo będą wykonywać najgorzej płatne prace, albo też wyjadą na dżihad – do Syrii lub Iraku. Kiedy wrócą, zwykle będzie już za późno.

Do tego, po przeciwnej niejako stronie, dochodzi nasze poczucie wyższości względem islamu lub strach przed czymś, czego nie rozumiemy lub nie chcemy rozumieć. W tej chwili w sposób jawny niechęć do muzułmanów – tak w Polsce, jak i w innych krajach Europy – wyrażają na razie jedynie ci, którzy pogardzają polityczną poprawnością lub wyznają jakąś formę nacjonalizmu. Jeśli nic się nie zmieni, tego typu poglądy zyskają jednak znacznie szerszy odzew.

Wreszcie, co widoczne jest zwłaszcza we współczesnej Polsce, zdominowanej przez prawicowy dyskurs polityczny, duża część obywateli (oraz ich przywódców politycznych) jest przekonana, że jedynym źródłem naszych norm społecznych pozostaje religia i że jest to religia katolicka. Co prawda zmiany społeczne nie potwierdzają tych przeświadczeń, bo z roku na rok dla coraz większej liczby Polaków religia staje się kwestią wyboru, a nie dziedziczenia. Tak jak dla zachodnich Europejczyków przestaje być kwintesencją naszej tożsamości, a jedynie jednym z jej elementów. Niemniej ten spadek znaczenia religii w życiu publicznym sprzyja pojawieniu się fundamentalistów, którzy wierzą, że kiedyś znów będą mogli decydować o tym, czy wolno chodzić z odkrytą głową lub uprawiać seks pozamałżeński.

Widząc to wszystko, nie możemy chować głowy w piasek. W żadnym razie nie możemy teraz z czułością przyglądać się muzułmańskim ofiarom islamskiej propagandy. To upokarzające – tak dla zradykalizowanych lub radykalizujących się muzułmanów, jak i dla nas samych. Podobną postawę winniśmy przyjąć względem ekstremistów chrześcijańskich. Nade wszystko jednak

winniśmy zacząć od egzekwowania prawa i nieprzyzykania oczu na mniejsze lub większe zbrodnie, które dokonują się pod naszym nosem.

Mało tego, instytucje liberalne winny zrobić wszystko, co możliwe, by uchronić nas od strachu – nie tylko przed zamachami terrorystycznymi, lecz także przed trwałym wykluczeniem i brakiem psychicznego bezpieczeństwa. Nie robiąc tego, oddają pałeczkę powoli zyskującym wpływ wyznawcom radykalnych odmian religii lub agresywnych populizmów, bo to one często dają dziś ludziom namiastkę poczucia sensu. Pojawienie się ludzi zbędnych, a do takich należą przecież terroryści gotowi na śmierć w imię wiary, to klęska nas wszystkich. To dowód, że nie zauważyliśmy, kiedy problem społeczny przekształcił się w problem polityczny, a nawet religijny. Ten ostatni łatwo – jak widać – przeradza się w przemoc, którą trudno powstrzymać bez konieczności używania innej formy przemocy.

ADAM PUCHEJDA

publicysta, stały współpracownik „Kultury Liberalnej”.

Bierność nie jest już rozwiązaniem

Zarówno strzelanina w Paryżu, jak i powszechna mobilizacja Francuzów w odpowiedzi na tę tragedię są w powojennej Europie wydarzeniami o wyjątkowym znaczeniu. Celem zamachu nie byli jedynie Francuzi, a reakcja nie może ograniczać się do jednego kraju. To sprawa całej Unii Europejskiej.

To sprawa ogólnoeuropejska nie tylko dlatego, że Donald Tusk – z racji swojego stanowiska – wziął udział w paryskiej demonstracji w niedzielę 11 stycznia, wyrażając europejską solidarność moralną i polityczną. Po atakach zagrożone są porządek polityczny, bezpieczeństwo i państwowość, a odpowiedzi na te zagrożenia niełatwo ująć w wyraźne ramy.

PORZĄDEK POLITYCZNY

Obrażliwe karykatury nie wszędzie są akceptowane. Tak jest między innymi w Stanach Zjednoczonych, nie mówiąc już o innych części świata. Błuznierstwo niekiedy uznaje się za przestępstwo, zaś rozmaite przekonania religijne chronione są przez wiele systemów prawnych. Francuskie czasopismo jezuickie „Études”

wykazało się odwagą i śmiałą wizją, kiedy kilka dni temu przedrukowało antykatolickie karykatury „Charlie Hebdo”.

Uzasadniając swoją decyzję, redakcja wyjaśniła, że niepokojące ataki nie mogą zachwiać postawami samokrytycznych ludzi wiary. Mieszkańcy Europy, nawet ci najbardziej wierzący, muszą być w stanie zaakceptować zróżnicowanie religijne i równe prawa swoich współobywateli. Oznacza to konieczność ograniczenia potencjalnej kontroli ze strony religii (jednej lub wielu) nad sferą publiczną oraz zagwarantowanie wolności jednostkowego wyboru. Wolność ta prowadzi niekiedy do odstępstw od wiary, konwersji religijnych czy nawet całkowitego porzucenia religii – nie wolno jednak pozwolić na próby ograniczania takich praktyk.

BEZPIECZEŃSTWO

Zagrożenia dla bezpieczeństwa pozostaną koszmarem spędzającym sen z powiek wielu Europejczykom. Nie z powodu muzułmanów jako takich, ale z powodu uciekających się do przemocy przestępczych reżimów w Syrii, Iraku, Nigerii i Jemenie, nie wspominając już o resztkach talibów prześcigających się w wysyłaniu przerażających komunikatów i wykorzystujących okrucieństwo do uzyskania legitymizacji dla pełnej i rygorystycznej kontroli religijnej.

To one dały impuls, który skłonił paryskich zamachowców do skorzystania z odpowiednich szkoleń i narzędzi, a także internetowych instrukcji informujących, jak zabić tak wielu ludzi. To nie ta sama sytuacja, a co w Kraju Basków i Irlandii w latach 70. XX w. Stajemy przed nowymi wyzwaniem. Terrorysty nie działają już tak samo jak w czasach Carlosa Szakala. Ich ideologia jest niespójna, ale mimo to wciąż wierzą, że mają prawo zabijać.

Dla zapewnienia bezpieczeństwa niezwykle potrzebne są siły policyjne, lecz kluczowa staje się kwestia izolacji społecznej. A sposób, w jaki rozprzestrzeniają się pogłoski na temat „Charlie Hebdo” czy rzekomych żydowskich spisków mających na celu mobilizację społeczeństwa przeciw islamowi i na rzecz Izraela (mimo że podczas niedzielnej demonstracji Mahmud Abbas mąszerował ramię w ramię z Donaldem Tuskiem), to jasny dowód zdolności pewnych grup do wykorzystania poczucia solidarności z ludźmi uznawanymi za muzułmańskie ofiary imperializmu. Pogłoski te to woda na młyn zarówno dla radykalnej prawicy, jak i lewicy, co z kolei prowadzi mnie do ostatniego wniosku.

PAŃSTWOWOŚĆ

Państwowość to temat, który trudno podjąć w ramach Unii Europejskiej, a naciski ze strony różnych krajów członkowskich na rzecz większej niezależności od Brukseli stanowią jedną z przyczyn obecnego politycznego impasu. Stajemy wobec oczywistej konieczności utworzenia wspólnej, o wiele bardziej zintegrowanej sieci bezpieczeństwa, co może się wydawać trudnym zadaniem dla państw narodowych, które pretendują do miana jedynych naprawdę potężnych instytucji w ramach UE. Tymczasem odpowiedzieć na zabójstwa możemy w dwojaki sposób. Pierwszym z nich jest powszechna mobilizacja na rzecz forsowania reakcji na poziomie narodowym – jednej za drugą. Drugi sposób to przemyślenie globalnych wyzwań z perspektywy wspólnych europejskich wartości.

Paryski marsz z 11 stycznia charakteryzował się tym, że nie zorganizowała go żadna instytucja. To była inicjatywa oddolna. Żadna partia nie mogła pretendować do pierwszoplanowej roli w tym przedsięwzięciu. Kilka dni później francuscy członkowie parlamentu odśpiewali wspólnie „Marsylianke” po raz pierwszy

od 11 listopada 1918 r. i do dziś zachowują się w bardzo odpowiedzialnie i powściągliwie, unikając niepotrzebnych sporów.

Ale niezależnie od tego, co zrobi francuski rząd, najważniejsze zadanie wszystkich członków UE polega na tym, by z całą mocą podkreślić wspólne wartości, a nie jedynie poprawiać techniczny wymiar współpracy w zakresie bezpieczeństwa. Jeśli Europejczycy uważają prywatne szkolenie sił zbrojnych za praktykę, której tolerować nie można; jeśli sądzą, że prawo do posiadania broni powinno być pod kontrolą, zaś swoboda przepływu osób zostać zachowana, muszą wypracować nową, bardziej przejrzystą narrację obejmującą zarówno porządek polityczny, jak i kwestię bezpieczeństwa. Jest to podstawa państwowości. Musimy spokojnie przemyśleć te wyzwania. Musimy znaleźć nowe ścieżki działania. Z pewnością rozlew krwi nie jest przejawem starcia cywilizacji, a odpowiedzią nie może być krucjata przeciwko mniejszościom muzułmańskim lub ich izolacja. Do dziś płacimy cenę za niewłaściwe reakcje na ataki z 11 września.

Zacznijmy od spraw podstawowych, ale nie zapominajmy o ogólnym celu, jakim jest wspólne życie w zróżnicowanej Europie, potwierdzanie jej modelu społecznego i odnowionego systemu państwowości. Gospodarka i zamachy postawiły przed nami poważne wyzwanie. Obywatele i politycy w całej UE zdecydowali, czy w jego obliczu poniesiemy porażkę, czy też opracujemy wspólne rozwiązanie. Z pewnością bierność nie jest już rozwiązaniem.

PAUL GRADVOHL

dyrektor Ośrodka Kultury Francuskiej i Studiów
Frankofońskich Uniwersytetu Warszawskiego.

Dodatek

Pejzaż europejskiej debaty.

Debaty z cyklu „Kryzys zaufania w Europie” współorganizowane z siecią Time To Talk.

DEBATA „KULTURY LIBERALNEJ”

„Nienawidzę polityki”. Rozpad zaufania i cynizm obywateli

O jakości polskich polityków i obywateli, negatywnym wpływie Facebooka na rozwój demokracji oraz o tym, dlaczego wciąż warto się angażować w politykę, dyskutują Radosław Markowski, Katarzyna Szymielewicz i Jan Zielonka.

Łukasz Pawłowski: Drugi prezydent Stanów Zjednoczonych, John Adams, mówił, że demokracja nigdy nie trwa długo i nie istniała jeszcze demokracja, która nie popełniłaby samobójstwa. Z kolei jego następcą, Thomas Jefferson, miał powiedzieć, że każde pokolenie potrzebuje rewolucji, a drzewo wolności musi być od czasu do czasu podlane krwią patriotów i tyranów. W Europie Środkowej ostatnią rewolucję mieliśmy 25 lat temu, w Europie Zachodniej – niemal pół wieku temu, w roku 1968. Czy demokracja w świecie zachodnim stoi dziś u progu rewolucji czy samobójstwa?

Jan Zielonka: Nie zgadzam się z pana diagnozą. W ciągu ostatnich 30 lat doświadczyliśmy w Europie Wschodniej i Zachodniej co najmniej trzech rewolucji: geopolitycznej, kiedy upadł Związek Radziecki; ekonomicznej, kiedy zniknęły granice gospodarcze – nie

tylko ze względu na globalizację, lecz także utworzenie wspólnego rynku; oraz rewolucji internetowej. Wszystkie te przewroty diametralnie zmieniły relacje pomiędzy władzą a społeczeństwem, wyłaniając przy tym wyraźnych zwycięzców i przegranych. Tymczasem wielu dziennikarzy zdaje się myśleć, że skoro ludzie nie wychodzą na barykady i nie mordują się na ulicach, to nic się nie dzieje. To nieprawda.

Łukasz Pawłowski: Te zmiany dokonują się jednak bez aktywnego udziału społeczeństwa. Czy obywatele krajów demokratycznych nie są już zainteresowani bezpośrednim kształtowaniem rzeczywistości politycznej?

Radosław Markowski: Światowa politologia, a za nią także znaczna część opinii publicznej od kilku dekad posługuje się nieprawdziwym wyobrażeniem przeciętnego obywatela, rzekomo niezwykle zainteresowanego sprawami publicznymi. W tej wizji każdy człowiek budzi się rano i podekscytowany natychmiast myśli: „Co by tam jeszcze podpowiedzieć politykom, żeby żyło się nam lepiej?”. A przecież wiemy dobrze, że kiedy zapukamy do drzwi przeciętnego Polaka i zapytamy, kim jest, on nie powie o sobie, że jest liberałem, konserwatystą czy socjaldemokratą, ale raczej inżynierem, lekarzem czy miłośnikiem psów. Większość ludzi właściwie się polityką nie interesuje lub interesuje się marginalnie. Mieliśmy za duże oczekiwania wobec obywatela. I ten obywatel się nie sprawdził.

Łukasz Pawłowski: Dlaczego?

Radosław Markowski: Dla przeciętnego człowieka – w zależności od jego zainteresowań i sytuacji życiowej – ważne są zwykle dwie, trzy kwestie społeczno-polityczne, np. oświata, opieka zdrowotna, ochrona środowiska, niekiedy obronność.

Tymczasem polityka obejmuje szeroki wachlarz zagadnień z perspektywy indywidualnej całkowicie obojętnych – dofinansowanie rolnictwa, wspieranie kultury, reformy administracji publicznej itd. W głowie obywatela powstaje przeświadczenie, że władza zajmuje się sprawami nieistotnymi, a kwestiom ważnym poświęca tylko margines uwagi. Narasta przekonanie, że rządy marnotrawią pieniądze, czas i naszą energię na głupstwa.

Łukasz Pawłowski: Jest pan autorem opublikowanego niedawno „Demokratycznego Audytu Polski”. Zebrane tam dane pokazują, że większość Polaków faktycznie nie ufa instytucjom demokratycznym. W 2004 r. zaufanie do rządu i Sejmu deklarowało zaledwie 21 proc. ankietowanych, do partii politycznych o 8 proc. mniej. Dziś jest nieco lepiej, ale wciąż jesteśmy pod tym względem na szarym końcu krajów europejskich – gorsze wyniki uzyskały tylko Bułgaria i Portugalia.

Radosław Markowski: Ale komu Polacy ufają? Kościołowi, organizacjom pozarządowym, rodzinie? Zsekularyzowany i wyzwolony spod siły autorytetu obywatel w ogóle jest bardziej nieufny.

Łukasz Pawłowski: Jednym ze sposobów na podniesienie zaufania do polityków, a także zaangażowania ludzi w życie polityczne miały być nowe technologie, przede wszystkim internet – m.in. dlatego że pozwala łatwo się organizować oraz daje szeroki dostęp do informacji. Prowadzona przez Katarzynę Szymielewicz Fundacja Panoptykon przekonuje jednak, że sieć zamiast narzędziem wyzwolenia, staje się narzędziem kontroli. Obywatel z łowcy staje się zwierzyną, okazuje się bowiem, że to nie on zbiera dane o politykach, ale państwo oraz politycy zbierają coraz więcej informacji

o nim. Czy Internet okazał się narzędziem sprzyjającym obywatelskim wolnościom i rozwojowi demokracji, czy te nadzieje pozostają niespełnione?

Katarzyna Szymielewicz: Odpowiedź na to pytanie z pewnością nie jest jednoznaczna. Od kilku lat mam wrażenie, że wśród badaczy i teoretyków zaczynają przeważać głosy sceptyczne, w duchu Evgeny’ a Morozova. Powszechny dostęp do Internetu to dla nas jako społeczeństwa nie tylko szansa na łatwiejszy i szybszy dostęp do informacji o znaczeniu politycznym. To także groźna zabawka, potężna pokusa rozrywki, ryzyko utonięcia w nowym rodzaju konsumpcji. Jest to też pragmatyczny powód rezygnacji z politycznych batalii. Z perspektywy obywatela konsumenta, sieć o wiele skuteczniej rozwiązuje problemy z dostępem do pożądaných dóbr i usług niż powszechne wybory. Społeczeństwo, które w innych warunkach z powodu wzrostu nierówności czy wysokich cen mogłoby wyjść na ulicę, dzięki internetowi może część z tych frustracji rozładować, na przykład ściągając po szeroko rozumiane dobra po niższej cenie z innych krajów czy organizując się w grupy nabywców i negocjując lepsze warunki na swoim rynku.

Łukasz Pawłowski: Ludzie się nie buntują, bo mogą ponarzekać za pomocą mediów społecznościowych albo ściągnąć za darmo filmy?

Katarzyna Szymielewicz: Ludzie dobrowolnie wycofują się z polityki, nie po to jednak, żeby realizować inne, ważniejsze cele, ale po to, żeby swoje potrzeby – niegdyś zaspokajane przy udziale państwa – załatwiać na własną rękę. Polskie protesty w sprawie przyjęcia umowy ACTA – często przywoływane jako dowód rosnącego zaangażowania młodych w politykę – dla mnie dowodzą jedynie zdolności do obywatelskiej mobilizacji

w krótkim horyzoncie czasowym i w celu zaspokojenia bardzo konkretnej potrzeby. Celem nie jest systemowa zmiana ani rewizja reguł gry, które oddalają politykę od potrzeb obywateli. Protestujący przeciwko ACTA chcieli jedynie, żeby rząd zabrał rękę od Internetu, żeby swoimi działaniami nie przeszkadzał.

Świadomość, że państwo może narzucić sztywną regulację czy niebezpieczne sankcje, motywuje nas do działania, lecz nie w obronie abstrakcyjnie pojętej wolności, ale w imię partykularnych interesów. Dostrzegam to zjawisko coraz wyraźniej po pięciu latach działalności w Fundacji Panoptykon. Od początku naszym celem była nie tylko walka o prawa i wolności człowieka w kontekście nowych form nadzoru, lecz także zaangażowanie ludzi – zwiększanie społecznej kontroli nad tym, jak działa władza. Dziś dostrzegam, że to projekt skazany na niszowość, propozycja dla tych nielicznych, którzy szukają konfrontacji i poczucia sensu wykraczającego poza wygodne, spokojne życie. Większość ludzi – i nie jest to z mojej strony krytyka, tylko spokojna obserwacja rzeczywistości – chce po prostu rozrywki, chce móc kupić sobie kawę na mieście, pojechać na wakacje, obejrzeć film. Jeżeli to im odbierzemy, będziemy mieli rewolucję. Ale nie będzie to walka o lepszą demokrację.

Łukasz Pawłowski: Nie rozumiem. Dlaczego ta technologia ma ludzi pacyfikować i zamykać w domu, skoro historia uczy, że nowe środki komunikacji były raczej siłą popychającą do zmiany – choćby gazety, które przed ponad 200 laty rozprzestrzeniały we Francji idee rewolucji.

Katarzyna Szymbielewicz: Tamte wydarzenia trafiły na podatny grunt w postaci bardzo konkretnych problemów społecznych, na tyle poważnych, że nie było dla nich innego rozwiązania niż rewolucja. Dzisiaj w Europie nie musimy walczyć o przetrwanie

w sensie materialnym – nie jesteśmy głodni, a władza nie strzela do ludzi na ulicy. Podstawowe potrzeby ogromnej większości ludzi zostały zaspokojone. A wszystkie inne są na tyle wyrafinowane, że można je realizować w ramach indywidualnych strategii – na przykład w ramach internetowych społeczności czy grup konsumenckich. To o wiele prostsze i bezpieczniejsze rozwiązanie niż długoletnia batalia polityczna zmierzająca do zmiany prawa czy klasy rządzącej.

Łukasz Pawłowski: Pytanie do prof. Markowskiego – czy rzeczywiście rozwój Internetu sprawił, że ludzie niespecjalnie mają ochotę angażować się w życie polityczne?

Radosław Markowski: To nie tyle Internet, co media społecznościowe takie jak Facebook. Zbierają się tam w grupach ludzie, którzy myślą podobnie i między sobą wymieniają poglądy, wspierając – a jednokrotnie też radykalizując – swoje opinie. A potem wychodzą na ulice i strasznie się dziwią, że tam jest ktoś inny, kto ma inne zdanie. Media społecznościowe dają złudzenie pluralizmu, ale to iluzja, bo powstające tam stowarzyszenia dobierają swoich członków według niepisanych zasad oportunistów i konformistów.

Łukasz Pawłowski: Czy to oznacza, że politycy mogą te głosy ignorować?

Radosław Markowski: Przyzwyczailiśmy się do łatwej krytyki polityków, ale ja jestem zdania, że także wobec obywatela należy być krytycznym i stawiać mu wymagania. Politycy nie mają żadnej motywacji, żeby zachowywać się programowo i odpowiedzialnie, jeśli nie kontrolują ich odpowiedzialni obywatele. Jeśli obywatel rozlicza polityków nie na podstawie racjonalnych kryteriów, ale według tego, co podpowiadają mu trzewia albo iluzje, politycy nie czują się zobowiązani do dotrzymywania obietnic. Na miejscu

władz zainwestowałbym każde pieniądze, żeby edukować obywatela do rzeczowej oceny demokratycznej polityki, bo bez tego nie da się jej prowadzić.

Jan Zielonka: To jest podejście paternalistyczne. Mamy uczyć obywateli? A kto dokładnie ma ich uczyć i co ma im powiedzieć? Na kogo mają głosować?! Powinniśmy z nimi dyskutować, tłumaczyć, że konkretne decyzje będą miały określone skutki – na przykład, że zwiększenie budżetu na obronność oznacza mniej pieniędzy na oświatę. Ale decyzja, co ostatecznie wybrać, należy do każdego człowieka z osobna. Tymczasem w Polsce panuje elitarnie rozumienie demokracji, zgodnie z którym oświecone elity muszą mówić tłumowi, co robić. Nie, demokracja zaczyna się od dołu, nie od góry. Trzeba brać społeczeństwo takim, jakim jest, i pozwolić działać mu wedle uznania. Jeśli ludzie nie chcą się angażować, to ich wybór.

Łukasz Pawłowski: Ale jeśli partia idzie do wyborów z hasłem – przykładowo – obniżenia podatków, po dojściu do władzy je podwyższa, a ludzie i tak na nią głosują w kolejnych wyborach, to kandydaci tej partii nie będą do swojego programu przywiązywać żadnej wagi. Jeśli politycy nie są rozliczani ze swoich obietnic, jak ich kontrolować?

Jan Zielonka: Każdy ma taki rząd, na jaki zasługuje. Jeśli ludzie głosują na oszustów, to muszą żyć z konsekwencjami swoich wyborów. Włosi powszechnie wiedzieli, że Silvio Berlusconi nie tylko dorobił się majątku w podejrzany sposób, ale jeszcze w czasie swoich rządów dbał przede wszystkim o własny interes. A mimo to wielokrotnie go wybierali. Na tym polega demokracja – dokonywaniu wyborów i życiu z ich konsekwencjami.

Radosław Markowski: Ale podstawą tych wyborów powinny być obiektywne fakty. Sytuacja, w której każdy może sobie definiować

prawdę, jak chce, to droga donikąd. Nie chcę mówić ludziom, jak mają głosować, ale uważam, że takie decyzje powinny być oparte na rzetelnej wiedzy, a nie mitach czerpanych choćby z mediów. Przykład? Nieustannie słyszymy, że w Polsce rosną nierówności społeczne, choć absolutnie żadne badania tego nie potwierdzają!

Katarzyna Szymbielowicz: Doskonale rozumiem pragnienie prof. Markowskiego, aby podnieść poziom merytorycznej debaty w demokracji i skłaniać ludzi do tego, by swoje preferencje ustalali na podstawie faktów. Jednak po kilku latach kierowania instytucją, której przyświeca taki ideał demokracji, mam coraz więcej wątpliwości, czy jego realizacja będzie kiedykolwiek możliwa.

W Fundacji Panoptykon już się nauczyliśmy, że jeśli nie uda nam się nadać naszym argumentom atrakcyjnej, czasem wręcz rozrywkowej formy, nikt nie zatrzyma się nawet, by przez chwilę nad nimi pomyśleć. Nie wiem, z czego to wynika – być może tych ważnych politycznie kwestii zrobiło się po prostu zbyt dużo? Moim zdaniem problem wolności i prywatności, szczególnie w kontekście zmieniających się tak szybko technologii, jest kluczowy, ale naprawdę rozumiem, że każdy z nas może mieć inne priorytety. Ja sama przecież nie biorę udziału w debatach na rozmaite tematy – geopolityczne, gospodarcze, ekologiczne – bo brakuje mi kompetencji, by zrozumieć konsekwencje takich czy innych decyzji. W tych sprawach pozostaje mi zaufanie do specjalistów. Jednak na jakiej podstawie ich wybieramy? Zazwyczaj nie jakości argumentów, ale właśnie formy ich prezentacji. Merytoryczność w polityce przepadła wraz z postępującym skomplikowaniem świata. Choć w wielu krajach nadal obowiązują procedury demokratyczne, faktycznie żyjemy w świecie zarządzanym przez elity.

Łukasz Pawłowski: Nawet jeśli to prawda, ostatecznie to wciąż ludzie podejmują decyzje i niezmiernie ważne jest, czy dokonują

tego na podstawie faktów, czy emocji. Nasza rozmowa odbywa się w dniu szkockiego referendum niepodległościowego. Wydaje mi się – i tu kieruję pytanie do prof. Zielonki – że większość argumentów gospodarczych, politycznych, obronnych przemawia za tym, że Szkoci powinni w Wielkiej Brytanii zostać. Mimo to niemal połowa obywateli chce niepodległości. Czy to jest tryumf demokracji, czy też pokazanie tej patologii, o której mówił prof. Markowski?

Jan Zielonka: A co decyduje o tym, że argumenty na rzecz pozostania w Wielkiej Brytanii są bardziej racjonalne? Zwolennicy niepodległości mogą być przekonani, że władza powinna być bliżej obywatela, a nie dalej, a zatem w Edynburgu, a nie w Londynie. Mogą być przekonani, że Szkocja powinna mieć prawo w pełni korzystać ze złóż ropy przy swoich wybrzeżach. Mogą też sądzić, że Wielką Brytanią rządzą banki, które mają nieproporcjonalne wpływy gospodarcze i polityczne. Odpowiedź na pytanie, co jest racjonalne, będzie znana, kiedy poznamy wynik referendum. W demokracji o interesie publicznym decydują wybory poprzedzone publiczną debatą – tak, jak to miało miejsce w Szkocji.

Łukasz Pawłowski: Czyli każda decyzja jest równie dobra?

Jan Zielonka: Nie o to chodzi. Proszę popatrzeć na inne prawdy, które były dawniej oczywiste – że niewolnictwo jest rzeczą naturalną, że kobiety nie powinny mieć prawa głosu, że ubodzy są po prostu leniwi, a pomaganie właściwie im szkodzi. Nie brakuje poglądów niegdyś powszechnie uznawanych za normalne, które dzisiaj normalne już nie są. Rzeczywistość społeczna nieustannie się zmienia. Poza tym nie wszystko w świecie politycznym da się zbadać i zmierzyć za pomocą liczb, którym tak wierzy prof. Markowski. Wiele zależy przecież od nieformalnych powiązań, sympatii i innych emocji. To zresztą jedna z przyczyn braku

zauwania obywateli do polityków. Przyczyna druga to malejące wpływy państw i polityków na szczeblu krajowym. To, czy nasze renty i emerytury będą takie, jak chcą wyborcy, zależy dużo bardziej od tego, co się dzieje w Chinach lub w Nowym Jorku niż w Warszawie.

Radosław Markowski: Referendum w Szkocji doskonale pokazuje, o co mi chodzi. Oczywiście nie jest moim celem pouczanie Szkotów, co mają wybrać. Ale chciałbym, żeby zwolennicy jednej i drugiej opcji dokładnie wiedzieli, jakiej Szkocji pragną i jaki kraj powstanie w wyniku ich decyzji.

Łukasz Pawłowski: Ale dlaczego ktokolwiek ma poświęcać czas na analizę skutków swojej decyzji, skoro – jak powiedział prof. Zielonka – na los państw i ludzi wpływają dziś w znacznym stopniu nie politycy, ale rozmaite organizacje pozapolityczne – takie jak rynki finansowe czy wielkie korporacje. W takich warunkach interesowanie się polityką i racjonalność w dokonywaniu wyborów, do czego pan nawołuje, jest nieracjonalne, bo od naszych decyzji politycznych niewiele zależy.

Radosław Markowski: Ten globalistyczny determinizm nie tłumaczy jednak tego, że jedne państwa mają się znakomicie, a inne się rozpadają. Nie tłumaczy tego, że 25 lat po upadku Związku Radzieckiego Estonia i Polska podwoiły swoje PKB, a pewne kraje byłego bloku wschodniego stoją w miejscu. Dlaczego państwa skandynawskie wyglądają dziś tak, a nie inaczej? Bo 70–80 lat temu przy jednym stole usiedli przedstawiciele wszystkich ważniejszych sił politycznych i społecznych i zadali sobie pytanie: co w demokracji jest ważniejsze – wolność czy równość? Uznali, że równość. Obecna struktura społeczna tych państw jest produktem rozumu ludzkiego i ugody politycznej, a nie naturalnych sił

czy globalizacji. Świat nie jest aż tak nieprzewidywalny i aż tak zależny od czynników pozostających poza naszą kontrolą, jak panowie sugerujecie. Dlatego obywatel powinien być dostępem do wiedzy zainteresowany.

Katarzyna Szymielewicz: Nie sądzę, by liczba świadomych i zaangażowanych obywateli w jakimkolwiek kraju demokratycznym przekraczała bardzo niewielki odsetek. Co więcej nie wiem, jak sprawić, by większa liczba ludzi chciała aktywnie angażować się w politykę. Z pewnością nie można nikogo do tego zmusić. To proces organiczny, do którego każde społeczeństwo musi dojrzeć we własnym rytmie. Obecnie pozostaje nam więc praca z wąską grupą ludzi zaangażowanych. Nie mam jednak wątpliwości, że to bezcenny zasób i trzeba go pielęgnować.

RADOSŁAW MARKOWSKI

dyrektor Centrum Studiów nad Demokracją SWPS.
Kieruje zespołem autorów „Demokratycznego Audytu Polski”.

KATARZYNA SZYMIELEWICZ

współzałożycielka i prezeska Fundacji Panoptykon,
wiceprzewodnicząca European Digital Rights.

JAN ZIELONKA

profesor nauk politycznych na Uniwersytecie
Oksfordzkim. W tym roku wydał książkę „Is The EU
Doomed?”.

Będzie Wam gorzej!

Kryzys finansowy to także kryzys młodych Europejczyków. Jak wielu młodych Polaków dotyczy problem bezrobocia i braku perspektyw? I w jaki sposób można im pomóc? O tym dyskutowali w „Kulturze Liberalnej” Katarzyna Kasia, Jacek Męcina, Piotr Szumlewicz, Joanna Tyrowicz i Karolina Wigura.

Karolina Wigura: Czy rzeczywiście – jak w tytule debaty – „będzie nam gorzej”? Według danych Eurostatu, poziom bezrobocia wśród osób poniżej 25 roku życia wynosi 23 proc. Oczywiście część z tych osób to studenci – ostatecznie więc liczba tych, którzy walczą o miejsce na rynku pracy, jest mniejsza. Część osób, nawet pracujących, dotyka jednak syndrom *bamboccioni* – zarabiają za mało, by uniezależnić się od rodziców. Na początek pytanie do Jacka Męciny. Jakie propozycje legislacyjne przygotowuje się w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, by sprostać tym wyzwaniom?

Jacek Męcina: Dodam do tego, co pani powiedziała, że liczba bezrobotnych wśród młodych jednak w ostatnim czasie w Polsce

spada. Na pewno sytuacja u nas nie jest tak dramatyczna, jak np. w krajach południa Europy. Pod koniec ubiegłego roku przygotowaliśmy program wsparcia dla młodych na rynku pracy „Gwarancje dla młodzieży”. Wpisuje się on w Pakiet na Rzecz Zatrudnienia Młodzieży, przedstawiony przez Komisję Europejską. Ten pakiet oznacza, że Europa mobilizuje się wokół wspólnej polityki, która ma mieć wymiar nie tylko interwencyjny – ale też holistyczny.

Karolina Wigura: Co to oznacza w praktyce?

Jacek Męcina: Skupiamy się na stworzeniu strategii pomocowej. Jej pierwszym filarem jest oferta urzędów pracy. Obecnie młodzi ludzie korzystają rocznie z około 150 tys. staży. Wprowadziliśmy więc innowacyjną formułę bonów: stażowego, zatrudnieniowego i na zasiedlenie. Z opcji tej skorzystało jak dotąd kilka tysięcy osób. Łącznie prawie połowa młodych będzie mogła skorzystać z różnych form aktywizacji – od wymienionych staży, poprzez szkolenia, studia podyplomowe, aż po dotacje na działalność gospodarczą lub subsydiowanie zatrudnienia. Efekty już widać: w styczniu br. bezrobocie wynosiło 420 tys., teraz nie przekracza 310 tys.

Karolina Wigura: To jeden filar, a jakie są pozostałe?

Jacek Męcina: Drugi wiąże się z wykorzystywaniem środków europejskich, które pozwalają na interwencję z poziomu regionalnego w ramach konkursów organizowanych we wszystkich województwach. Obok projektów wspierania zatrudnienia i uzupełniania kwalifikacji główna zmiana dotyczy samego mechanizmu działania usług aktywizacyjnych. Wychodząc z założenia, że publiczne służby zatrudnienia nie są w stanie pomóc wszystkim, zapraszamy do współpracy także prywatnych operatorów.

Od stycznia 2015 r. ruszy około 60 takich „prywatnych urzędów pracy”, to zwiększy potencjał oddziaływania, bo wsparcie będzie bardziej zindywidualizowane, doradca będzie miał tylko 70–80 klientów, podczas gdy w niektórych urzędach pracy na jednego doradcę przypada nawet kilkuset bezrobotnych. Kolejny filar obejmuje działania skierowane do młodych zagrożonych wykluczeniem społecznym. Organizują je np. Ochotnicze Hufce Pracy, pomagające młodym osobom wrócić do systemu kształcenia, zdobyć zawód, w niektórych przypadkach uwolnić się z patologicznych środowisk, znaleźć zakwaterowanie, doszkolić się. Docelowo około 20 tys. osób uzyska w ten sposób przygotowanie zawodowe i pomoc w starciu na rynku pracy.

Karolina Wigura: Były też plany pożyczki dla młodych.

Jacek Męcina: Tak, chodzi o pożyczki w wysokości do 74 tys. zł, z najniższym w kraju oprocentowaniem 0,6 proc. w skali roku, ze spłatą przez 7 lat, z roczną karencją ze zminimalizowanymi warunkami dostępu – wystarczy poręczenie jednej osoby. Chodzi o promocję samozatrudnienia i idei mikroprzedsiębiorczości. Faza pilotażowa ruszyła w ubiegłym roku na Mazowszu, w Świętokrzyskiem i w Małopolsce. Pod koniec tego roku programem obejmiemy cały kraj. Jego adresatami są absolwenci studiów wyższych oraz studenci ostatniego roku potrzebujący wsparcia finansowego na założenie własnej działalności gospodarczej, a docelowo także młodzież bezrobotna. Dotychczas udzieliliśmy ponad 100 takich kredytów. Dodatkowo, po roku kredytobiorca będzie mógł otrzymać dodatkową pożyczkę w wysokości 20 tys. zł na pierwsze stanowisko pracy, którą po roku umorzemy. Ten program jest skierowany w najbliższych latach do ok. 6 tys. młodych, co więcej, możemy stworzyć następne 6 tys. miejsc pracy. Program przedsiębiorczości akademickiej ma zmieniać

polskie uczelnie, ale też kształtować nowe odpowiedzialne postawy wśród studentów i akademików. Łatwo sobie wyobrazić, że takie projekty są alternatywą dla klasycznej pracy dyplomowej, gdzie student pod okiem profesora, ale i doradców z funduszy pożyczkowych, przygotowuje swój biznesplan i startuje na rynku. Po tych 100 już funkcjonujących podmiotach widać, że odważni młodzi ludzie potrafią i chcą myśleć innowacyjnie. W części przypadków program zdecydował o tym, że – zamiast wyjeżdżać i za granicą szukać pracy i samorealizacji – zostali w kraju.

Karolina Wigura: Plany, o których pan mówi, dotyczą osób kończących studia albo takich, które mają już dyplomy. Chciałabym teraz zadać pytanie Joannie Tyrowicz. Może z problemem bezrobocia powinniśmy walczyć znacznie wcześniej, zaczynając od sposobu, w jaki podchodzimy do edukacji?

Joanna Tyrowicz: Z pewnością. Ale żeby to zrobić, musimy obalić dwa mity. Po pierwsze, to nie uczelnie produkują bezrobotnych. Winny jest system kształcenia już na wcześniejszych etapach. Wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do komunikatu, że połowa maturzystów idzie na studia. W rzeczywistości dotyczy to 80 proc. absolwentów szkół ogólnokształcących i 20 proc. absolwentów szkół o profilu zawodowym. Połowa z pozostałych 80 proc. osób po szkołach zawodowych nie potrafi odnaleźć się na rynku pracy. Większość przyszłych bezrobotnych to zatem osoby, które zostały źle pokierowane przy wyborze szkoły, do której poszły po gimnazjum. Wniosek z tego taki, że decyzję, która przesądza o znalezieniu stabilnego zatrudnienia, należałoby podejmować w wieku 13 lat. Inaczej trafi się do grupy zwanej NEET – czyli *Not in Education, Employment or Training*. To grupa niemająca samodzielności dochodowej wystarczającej do tego, by rozpocząć nową ścieżkę edukacyjną. Nie ma na nich zapotrzebowania na

lokalnym rynku pracy (są za młodzi, nie mają doświadczenia). I to oni stanowią główny problem urzędów pracy – zakładając, że się do nich zgłoszą, bo to zdarza się rzadko.

Karolina Wigura: A drugi z mitów?

Joanna Tyrowicz: Drugi mit dotyczy rzeczywistej wielkości pomocy państwowej dla bezrobotnych. Mówi się często, że środków, o których mówił przed chwilą minister Męcina, starczy dla 47 proc. zarejestrowanych bezrobotnych. Ta liczba – będąca efektem dzielenia liczby objętych systemem pomocowym przez cały rok przez liczbę zarejestrowaną w danym miesiącu – jest jak dzielenie krów przez konie, po prostu nic nam nie mówi. Powinniśmy dzielić liczbę ludzi objętych systemem pomocowym przez cały rok przez liczbę ludzi, którzy pojawili się w systemie przez cały rok. Wtedy zrozumiemy, że pomoc trafia do o wiele mniejszej liczby osób. Szansę skorzystania z instrumentów aktywizacji ma zaledwie co dwudziesty Polak!

Karolina Wigura: Pytanie do Piotra Szumlewicza. Przekonuje to pana?

Piotr Szumlewicz: Nie. Celem rządu nie powinny być darmowe staże, selektywne dofinansowanie przedsiębiorców, kredyty czy bony. One nie rozwiążą największych bolączek młodych ludzi. Po pierwsze, celem władz powinno być zapewnienie młodym stabilnego zatrudnienia, czyli umów o pracę na czas nieokreślony. Po drugie, polityka godnych płac, w tym zapewnienie płacy minimalnej. Podkreślam: „zapewnienie”, a nie tylko „podniesienie”, ponieważ obecnie blisko 1,5 mln Polaków zarabia poniżej płacy minimalnej. Znaczną część tej grupy stanowią młodzi ludzie. Jednocześnie znacznie wyższe i bardziej uniwersalne powinny być świadczenia społeczne. Państwo powinno też rozwijać politykę

mieszkaniową. Dzięki temu młodzi przestaliby wyjeżdżać za chlebem na Zachód.

Warto też wskazać na strukturalne problemy Polski, w tym niskie wydatki na politykę społeczną – średnia UE wynosi 29 proc. PKB, a w Polsce to zaledwie 19 proc. – niesprawiedliwy system podatkowy – biedni płacą podatki relatywnie wysokie, bogaci bardzo niskie, co skutkuje łącznie niskimi wpływami podatkowymi do budżetu państwa – oraz wysokie nierówności społeczne, rosnące w ostatnich latach. Ważny jest też brak aktywnej roli państwa na rynku pracy. Wyzwaniem dla rządu powinno być nie przystosowanie systemu edukacyjnego do rynku pracy, ale przede wszystkim tworzenie nowych miejsc pracy.

Karolina Wigura: Dane GUS nie wskazują jednak na to, że nierówności rosną. Wręcz przeciwnie. Jak sobie to wyobrażasz? Na przykład, gdy zaczynałam studiować w Instytucie Socjologii UW, o jedno miejsce starało się tam dziesięć osób. Dziś sam tylko niż demograficzny stawia uczelnie państwowe przed zupełnie nowymi wyzwaniami. Zresztą nie tylko rynek się zmienia, zmieniają się także mody na ten lub inny kierunek.

Piotr Szumlewicz: Dane OECD mówią, że nierówności niestety rosną, a państwo nie robi nic, aby je zmniejszyć. Gdy słyszę ministra Męcinę, opowiadającego o przyszłych sukcesach prywatnych agencji zatrudnienia, to mam przed oczami co najwyżej zwiększenie liczby ofert pracy na skrajnie niekorzystnych warunkach – płaca minimalna, umowa zlecenie lub na czas określony. Prywatne agencje nie tworzą miejsc pracy, a jedynie robią z rynku pracy śmietnik, legitymizując fatalne standardy zatrudnienia. Trzeba ograniczyć praktykę zawierania umów zleceń, wolontariatów, elastycznego czasu pracy oraz zlikwidować darmowe staże

i agencje pracy tymczasowej. Potrzebny jest wzrost inwestycji publicznych i tworzenie nowych miejsc pracy, np. w sektorze opieki. OPZZ nalega także na zawiązywanie branżowych układów zbiorowych, które obejmowałyby wszystkich pracowników, w tym młodych ludzi.

Karolina Wigura: Mam wrażenie, że możemy rozmawiać tylko z największą trudnością – każdą taką rozmowę powinniśmy chyba zaczynać od uzgodnienia pojęć. Na przykład, skoro GUS i OECD mówią co innego na temat nierówności w Polsce, może świadczy to o tym, że nie tylko finansowe kryteria powinno się brać pod uwagę, gdy się o nich mówi? Może należy uwzględniać także poczucie adekwatności wynagrodzenia do ciężkiej pracy nad własnym wykształceniem? Jednak ty, Piotrze, mówisz przede wszystkim w kategoriach wynagrodzenia. Panie ministrze, lista zarzutów wobec państwowych sposobów walki z bezrobociem niebezpiecznie się wydłuża...

Jacek Męcina: Zgadzam się z Joanną Tyrowicz odnośnie do NEET-ów. Dodam jednak, że konkursy, o których wspominałem, obejmują także tę grupę młodych, o której pani mówiła: zniechęconych do poszukiwania pracy. Ale trudno mi zgodzić się z większością też Piotra Szumlewicza. Po pierwsze, na początku kariery priorytetem młodych nie jest wcale stabilność zatrudnienia. Potwierdzają to badania nt. częstotliwości zmian pracy. Podobnie jest z elastycznością zatrudnienia. Elastyczne zatrudnienie ma na początku kariery większe znaczenie niż stała umowa o pracę. Alternatywą dla niej jest *de facto* zatrudnienie niepracownicze albo, niestety, szara strefa lub bezrobocie. Jeśli tak patrzemy na start na rynku pracy, elastyczne formy zatrudnienia są lepsze, problem w tym, że trwają zbyt długo i szanse na stabilizację się oddalają, a to one mają znaczenie przy planowaniu rodziny.

Co do agencji zatrudnienia: projektując reformę, stanęliśmy przed dwoma możliwymi rozwiązaniami. Albo zwiększyć zatrudnienie w urzędach pracy, albo wykupić tę usługę na rynku. Opcja pierwsza oznaczałaby w przyszłości, po wdrożeniu reformy, gdy bezrobocie spadnie, konieczność redukcji etatów w urzędach pracy. Do tego, agencje są rozliczane za efekty. 20 proc. dostają za ocenę kompetencji i stworzenie konkretnego planu działań, natomiast wszystkie pozostałe płatności, a więc 80 proc., są wypłacane za doprowadzenie do zatrudnienia i utrzymanie w nim. Działając w ten sposób, korzystamy z rozwiązań sprawdzonych w Danii, Wielkiej Brytanii, w Niemczech oraz u nas na przykładach pilotażu. Reforma urzędów pracy została tak skonstruowana, aby pozyskiwały one oferty pracy. W przeciągu ostatnich dwóch lat liczba ofert wzrosła dziesięciokrotnie i codziennie w Bazie Ofert Pracy jest ich ponad 70 tys., a miesięcznie zgłasza się blisko 115 tys. nowych. Są one zróżnicowane zarówno jeśli chodzi o rodzaj umowy, jak i wysokość wynagrodzenia. Nie wszystkie oferty wynagrodzenia to płaca minimalna – choć takie wrażenie można odnieść, słuchając Piotra Szumlewicza.

Karolina Wigura: Pytanie do Katarzyny Kasi. Jestem ciekawa, jak ty oceniasz sytuację młodych, ucząc na Akademii Sztuk Pięknych i Akademii Teatralnej – czyli w dwóch bardzo wyjątkowych miejscach. Jak radzą sobie absolwenci?

Katarzyna Kasia: Pracując ze studentami tych dwóch uczelni, mam poczucie, że... uczę bezrobotnych. Uczę ludzi, którzy kończą studia po to, aby zawisnąć w próżni. Stąd też moim celem jest dostosowywanie programu zajęć do wymogów rynku pracy. Pokazywanie, że dialog między światem sztuki a rynkiem pracy jednak jest możliwy. Zastanawiam się także nad jakością pracy. Gdy student rzeźby, który wykonał wspaniałą pracę dyplomową,

znajduje zatrudnienie w zakładzie kamieniarskim i wykuwa literki na nagrobkach, to trudno nazwać go spełnionym zawodowo. Jedynie co pięćdziesiąty absolwent uczelni artystycznej pracuje dalej jako rzeźbiarz czy malarz. Zastanawiam się, czy istnieje taka możliwość zmiany prawa, żeby proporcja ta się odwróciła.

Karolina Wigura: Ale dlaczego ten absolwent nie powinien na początku kariery zawodowej wykonywać takiej prostej pracy? Jest wielu absolwentów socjologii, którzy w swojej karierze zaczynali od dawania korepetycji z języków obcych, potem zajmowali się bieganiem po mieście i robieniem ankiet, a potem, dopiero z czasem, dostawali pracę na coraz poważniejszych stanowiskach, np. badawczych. Ten trudny start uczy wiele osób cierpliwości i szacunku nawet do najprostszych czynności – a potem można iść dalej i wyżej. Przykładem choćby Jarosław Kozakiewicz – dziś znany i wybitny artysta wizualny, który zaczynał, wykuwając identyczne kopie rzeźby w pracowni pewnego artysty.

Katarzyna Kasia: Ale problem z absolwentami ASP polega na tym, że ostatecznie w zawodzie pozostaje zaledwie 2 proc. Popatrzmy na to z drugiej strony. Państwo inwestuje w publiczne, znakomite uczelnie: ASP, AT. Odbywają się tam fantastyczne zajęcia w bliskiej współpracy mistrz–uczeń. To są najdroższe zajęcia dydaktyczne. I na co to się przekłada? Na nic. A z czego to wynika? Z tego, że nie ma takiego rynku, na którym ci ludzie mieliby pracować.

Karolina Wigura: Gdyby stwarzać miejsca pracy dla wszystkich absolwentów tych dwóch uczelni co roku, to ile miejsc by to było? Czy to jest w ogóle możliwe z pieniędzy państwowych?

Piotr Szumlewicz: Duża część Polaków chciałaby pracować w sektorze publicznym, a większości zależy na stabilnej pracy. Wmawianie ludziom, że stabilność nie jest dla nich ważna i chcą często zmieniać pracę, to ideologia niemająca potwierdzenia w żadnych badaniach.

Jacek Męcina: Na pewno młodzi ludzie chcą widzieć swoje perspektywy zawodowe, możliwość samorealizacji, usamodzielnienia się. Ale nie zgodzę się, że jedynym akceptowalnym rozwiązaniem jest praca na etat w sektorze publicznym. Z postaw młodych ludzi wynika, że jeśli mają szanse na rozwój zawodowy, to podążają za tym rozwojem, są skłonni zmienić pracę, nawet zawód, akceptują elastyczny rynek pracy. Państwo nie zagwarantuje pracy w sektorze publicznym wszystkim, ale musi dawać szanse na start zawodowy. Szkoły, uczelnie muszą też brać część odpowiedzialności za swoich uczniów, studentów i absolwentów. Znam projekt, w którym studenci i absolwenci ASP współpracują z politechniką i zarządzaniem – talent artystyczny wykorzystany jest we wzornictwie przemysłowym i to daje szanse na pracę kilkunastu absolwentom. Takie myślenie na uczelniach jest potrzebne. Musimy także przyzwyczaić się do myśli, że gospodarka zmienia się tak szybko, że jeszcze kilka razy będziemy musieli podnieść lub zmienić swoje kwalifikacje. Szanse na stabilizację pozycji zawodowej są zaś funkcją pozycji na rynku pracy mierzonej kwalifikacjami, kontaktami z pracodawcami. Zgadzam się, że stabilność jest ważna, że polski rynek pracy musi oferować więcej ofert pracy lepszej jakości i mam nadzieję, że właśnie jesteśmy w fazie rozpoczynających się zmian na lepsze. Musi być więcej ofert pracy, najlepiej jak najlepszej jakości, ale i przygotowanie do startu zawodowego absolwentów będzie decydować o szansach na zatrudnienie i oferowanych warunkach pracy.

Joanna Tyrowicz: Katarzyna Kasia zwróciła uwagę na bardzo ciekawą rzecz. Powiedziała, że na rynku pracy nie ma miejsca dla artystów. Ale podobnie jest ze specjalistami od tradingu, bo polski rynek finansowy nie jest na tyle wyrafinowany. Potrzebujemy względnie prosto działających analityków, a nie osób, które umieją tworzyć algorytmy automatycznego finansowania. A jednak specjalistów od tradingu się szkoli. Dalej, ilu potrzebujemy w Polsce fizyków kwantowych? Sytuacja świetnie przygotowanych w swoim zawodzie artystów nie jest szczególnie wyjątkowa. Stąd też mój wniosek jest inny niż Katarzyny Kasi. Nie sądzę, żeby z argumentu, że w Polsce nie ma rynku na osoby z danej branży, wynikało, że państwo powinno dla nich miejsca pracy stworzyć. Musimy przestać myśleć o studiach w kategoriach automatycznych: skoro skończyłem jakieś studia, to będę pracować w danym zawodzie. Zauważmy: większość z nas narzeka na politykę rządową, ale z drugiej strony nauczyliśmy się już funkcjonować względnie samodzielnie. W centralnej tabeli ofert pracy znajduje się 70 tys. ofert. A ile znajduje się na którymkolwiek z prywatnych portali internetowych pośredniczących w szukaniu pracy? Kilka razy więcej!

I jeszcze polemika z Piotrem Szumlewiczem. Przeciętny polski pracownik zmienia pracę co 2,5 roku. Wśród osób poniżej 30 roku życia – co 17–21 miesięcy. Młodzi Polacy poszukują alternatyw nie tylko finansowych, ale także tych dotyczących lokalizacji, możliwości realizowania planów, aspiracji, chęci awansu. Podkreślę jeszcze, że Polacy zmieniają pracę znacznie częściej, niż mieszkańcy innych krajów europejskich. To nie jest związane z umowami czasowymi – bo zmieniają pracę niezależnie od tego, czy podpisali umowę terminową, czy bezterminową. Gdy popatrzymy na ludzi, którzy w Polsce nawiązują relację pracy z danym pracodawcą, okaże się, że po 12 miesiącach

60 proc. tych ludzi ma już umowę o pracę bezterminową. Wiek nie gra tu roli. Czyli umowa na czas określony nie jest problemem. Problemem jest pewna grupa ludzi, których nie potrafimy zdiagnozować i o których bardzo mało wiemy – i moim zdaniem najmniej wiedzą o nich związki zawodowe – to znaczy ci, którzy wpadają z jednej umowy czasowej w drugą. Nie było badań, jakie są bariery rozwoju z ich strony i ze strony pracodawców.

Karolina Wigura: Piotr Szumlewicz – proszę pana o krótkie *ad vocem*.

Piotr Szumlewicz: Nadmiar umów na czas określony wynika z polskiego ustawodawstwa, a nie z akceptacji śmieciowego zatrudnienia przez młodych. Tych umów jest dziś w Polsce 27 proc., przy średniej unijnej około 10 proc. Całe szczęście, że rząd (pod naciskiem UE) postanowił wreszcie tę patologię ograniczyć. Odnośnie do sytuacji młodych ludzi, proponuję ich traktować po prostu na równi z innymi pracownikami. Nie przekonuje mnie sugestia, że młodzi mogą pracować śmieciowo, mieć darmowe staże, być wyzyskiwani z racji swojego wieku. I trzecia sprawa – instytucje publiczne. Duża część badaczy przyjmuje fikcyjny model, zgodnie z którym mamy określony system edukacyjny, ludzie się kształcą i później wpadają w coś, co nazywa się wolnym rynkiem, na którym swobodnie wybierają sobie pracę. Część chce być rzeźbiarzami, ale skoro nie ma na nich popytu, to widocznie wybrali zły kierunek. To tak nie wygląda. W całej UE, łącznie z Polską, rynek pracy jest w dużej mierze sterowany przez państwo. Inwestycje publiczne to rocznie 160 mld pln, czyli 50 proc. budżetu! Krótko mówiąc, państwo w znacznej mierze decyduje, w których sektorach pojawiają się miejsca pracy.

Karolina Wigura: Proszę państwa, bardzo proszę o głosy publiczności.

Anna Grodzka: Chciałabym się odnieść do słów Joanny Tyrowicz. Z tego, co pani powiedziała, wynikało, że może Polacy lubią zmieniać pracę. Otóż część osób na pewno zmienia pracę, bo szuka dla siebie lepszej ścieżki. Część dlatego, że nie jest w stanie utrzymać swojej rodziny za pieniądze, które zarabia. Pan Męcina mówił o tym, że rynek pracy powinien być elastyczny. Być może dlatego dziś polski Kodeks pracy nie jest grubości książki, tylko komiksu. Przedsiębiorcy konkurują ze sobą nie tylko w zakresie tego, co produkują, ale także pod względem kosztów. Jeśli jeden piekarz zatrudni ludzi na niekorzystnych umowach, drugi od razu zrobi to samo – żeby obniżyć sobie koszty. I jeszcze odniesienie do słów Katarzyny Kasi. Państwo też jest graczem na rynku pracy. Zatrudnia policjantów, żołnierzy, nauczycieli. Dlaczego nie miałyby zatrudniać artystów?

Głos I: Chciałem zwrócić uwagę na słowa Piotra Szumlewicza o niesprawiedliwym systemie podatkowym. To tu leży główna przyczyna problemów ludzi młodych. Nie ma w Polsce żadnej przeciwstawnej siły, która walczyłaby ze zbyt wysokimi podatkami od pracowników i przedsiębiorców, a zbyt niskimi od korporacji. Szczególnie istotny jest tu podatek CIT, płacony przez korporacje, który wynosi dziś 19 proc., a jeszcze w 1998 r. wynosił 36 proc. A mikroprzedsiębiorca, niezależnie od tego, ile zarobi, płaci co miesiąc tysiąc złotych.

Głos II: Część dyskutantów zapomniała o tym, że poza osobami studiującymi są takie, które kończą edukację na szkole zawodowej. Pracodawcy w ogóle się w te szkoły nie angażują. Za granicą jest inaczej. Inna fatalna rzecz to minimalna zdawalność egzaminów zawodowych – egzamin zdaje mniej niż 10 proc. przystępujących do niego osób!

Głos III: Po dwóch dekadach poza krajem wróciłem do Polski i od czterech lat tu pracuję. Jestem przerażony polską wersją neoliberalizmu: mobbing, wyścig szczurów, wieczna konkurencja, bardzo mało współpracy. Chyba trzeba polskim firmom więcej socjologów i psychologów. Tylko która korporacja będzie chciała ich zatrudnić? Pracodawcy szukają trybików, a nie tych, którzy chcą myśleć.

Karolina Wigura: Zanim oddam na koniec głos panelistom, chciałabym dodać kilka rzeczy, korzystając z mojej pozycji moderatora. Po pierwsze, nikt nie zmusi prywatnych firm, by zatrudniały psychologów. Mam jednak wrażenie – a pracowałam w polskich korporacjach sześć lat – że Polsce w firmach nie brakuje tak bardzo psychologów, co dobrych szefów. Trudno zresztą temu się dziwić: ludzie, którzy zostają szefami, to w większości osoby niemające takiego doświadczenia ani we własnym życiu, ani w rodzinie. Niestety, jako społeczeństwo musimy zatem uzbroić się w cierpliwość. Po drugie, jestem przekonana, że skoro w polskich korporacjach jest tak nieprzyjemnie, to może dla pewnej części naszego pokolenia nie ma innego wyjścia, jak tylko zakładać własne firmy i organizacje, gdzie będziemy mogli stworzyć przyzwoite warunki pracy dla siebie i innych. Po trzecie, ja też jestem szefową, więc powiem kilka słów na temat polskich kompetencji współpracy. Młodzi przychodzą do nas często w ogóle kompetencji współpracy nie mając. Trzeba uczyć ich wszystkiego od nowa. Czy to jest konsekwencja „polskiego neoliberalizmu”, jak pan mówi, czy raczej głębiej zakorzeniona polska cecha? Nie wiem. Ale tu znów jestem zwolenniczką uzbrojenia się w cierpliwość. Bardzo proszę teraz panelistów o podsumowania.

Piotr Szumlewicz: Organizacje pożytku publicznego dostają rocznie 500 mln zł w ramach odpisu od podatku. Są one także adresatami programów unijnych. System więc je w pewien sposób wspiera. Również przedsiębiorcy mają masę ulg, zwolnień i dopłat. Mają też możliwość korzystania z podatku liniowego 19 proc., podatek CIT jest jednym z najniższych w Europie, a do tego funkcjonują w Polsce specjalne strefy ekonomiczne, których nie ma w żadnym innym kraju UE. Jeżeli państwo wspiera biznes, to dlaczego nie mogłoby finansować pielęgniarek i dentystek w szkołach? Dlaczego nie miałyby tworzyć nowych miejsc pracy?

Co do zakładania własnych przedsiębiorstw, warto pamiętać, że średnia płaca w mikroprzedsiębiorstwach to 2145 zł brutto, 40 proc. samozatrudnionych pracuje ponad 50 godz. tygodniowo, a 25 proc. – nawet ponad 60 godz. Nie muszą chyba dodawać, jakie konsekwencje, np. dla życia rodzinnego, mają takie warunki pracy. Ale ludzie nie są głupi i w większości wcale nie chcą zakładać firm, tylko system ich do tego zmusza. Wolą pracować w sektorze publicznym lub w dużych firmach prywatnych. Warto też pamiętać, że umowy śmieciowe w większości rozwiniętych krajów, nawet tych, które uważa się za liberalne, jak Szwajcaria, praktycznie nie istnieją.

Katarzyna Kasia: Na ASP staramy się pracować nad interakcją między pracodawcami a światem akademickim – po to, by nasi absolwenci mieli szansę na znalezienie pracy. Co do tego, czy mecenat państwowy powinien objąć artystów, nie jestem przekonana. Mam wątpliwości, ponieważ nie wiem, kto tych artystów powinien wybierać. Nie jest łatwo stwierdzić, kto talent ma, a kto nie.

Joanna Tyrowicz: Dla uporządkowania: podatek CIT w Polsce jest liniowy, podatki od pracowników PIT niestety również są liniowe. A w przypadku osób samozatrudnionych wręcz regresywne –

im więcej się zarabia, tym niższe łączne obciążenie fiskalne. Jeśli chodzi o to, jakie jest przełożenie inwestycji publicznych na tworzenie się miejsc pracy, to wszystkie badania, które na ten temat przeprowadziłam, wskazują na to, że nie ma takiej korelacji. Samo tworzenie miejsc pracy przez sektor publiczny jest niełatwe. Zwróćmy uwagę na scenariusz hiszpański: tam były miejsca pracy tworzone przez państwo, szczególnie w sektorze budowlanym, i bardzo źle się to skończyło; uwydatnił to tylko ostatni kryzys gospodarczy.

I teraz najważniejsza sprawa: dużo się mówi o myśleniu strategicznym, długofalowym. Tymczasem od 2006 r. dyskutujemy o elastyczności zatrudnienia, ale elastyczność ma niesamowicie wiele wymiarów i większość z nas rozumie ją na swój sposób. Dla przykładu wysokość wynagrodzeń. Pracodawca w Polsce właściwie nie ma prawa do obniżenia ludziom wynagrodzeń – wymaga to wypowiedzenia zmieniającego i jeśli pracownik go nie przyjmie, to wiąże się to z dużymi rekompensatami. Jaki jest skutek takich przepisów? Około 30 proc. polskich wynagrodzeń to coś, co się określa jako elastyczny składnik wynagrodzenia: mamy pewną podstawę (np. 2 tys. zł), a reszta jest wypłacana w zależności od wyniku (kilkaset albo kilka tys. zł). W ten sposób pracodawcy często obchodzą zakaz obniżania pensji. Skupiając się na premii, pracownicy akceptują takie warunki, bo nikt zapewne nie myślał o kryzysie. Następnym razem, jak coś będziemy chcieli doregulować, warto się najpierw zastanowić, jakie będą tego faktyczne – a nie tylko postulowane – skutki.

KATARZYNA KASIA

filozofka, wykładowczyni ASP, stała współpracowniczka „Kultury Liberalnej”.

JACEK MĘCINA

ekonomista, podsekretarz w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, wykładowca na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego.

PIOTR SZUMLEWICZ

dziennikarz i publicysta, doradca i ekspert OPZZ, redaktor portalu lewica24.pl i „Bez Dogmatu”.

JOANNA TYROWICZ

ekonomistka, wykładowczyni na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Starsza ekonomistka w Instytucie Ekonomicznym NBP.

I po co nam to państwo?

Polacy – podobnie jak mieszkańcy wielu innych państw Europy – nie ufają państwu, ale też nie bardzo wiedzą, jakie oczekiwania powinni wobec niego mieć. Czy w dobie wzrostu międzynarodowych instytucji państwo jest jeszcze w ogóle potrzebne? A jeśli tak – czy koniecznie musi być... demokratyczne?

Jarosław Kuisz: W Polsce świętujemy ćwierćwiecze wolności i pytamy o urodę III RP. Jednocześnie brakuje nam odpowiedzi na pytania zupełnie zasadnicze. Chciałbym tylko przypomnieć, że poprzednie pokolenia – zupełnie serio – zastanawiały się po 1989 r., po co nam państwo. Co ciekawe, podobne pytania, choć w zupełnie innym kontekście, zadają sobie państwa Europy Zachodniej oraz Stany Zjednoczone. Czy możemy znaleźć inspirujące odpowiedzi pośród tysięcy publikacji, które ukazały się po wybuchu kryzysu w 2008 r.? Otóż ośmielię się powiedzieć, że tak. I przyczynkiem do naszej rozmowy będzie kapitalna książka „Czwarta rewolucja”, którą obecny tu Adrian Wooldridge napisał wspólnie

z Johnem Micklethwaitem. Jako że polscy czytelnicy jeszcze książki nie znają, zacznijmy od prostego pytania: jaki cel sobie panowie postawili, zasiadając do pisania?

Adrian Wooldridge: W naszej książce chcieliśmy wystąpić przeciw trzem rodzajom myślenia. Pierwszy to konserwatywno-liberalny, prawicowy, według którego państwo nie ma najmniejszego znaczenia. Zwolennicy tego poglądu chcieliby zmniejszyć je do takiego rozmiaru, by – cytując pewnego amerykańskiego konserwatystę – dało się je splukać w wannie. Moim zdaniem ludzie o takich poglądach powinni spędzić trochę czasu w Kongo czy Somalii – krajach całkowicie pozbawionych struktury państwowej.

Po drugie, podejmujemy dyskusję z socjaldemokratami i socjalistami. Utrzymują oni, że państwa trzeba bronić przed demontażem, ale robią to w najgorszy możliwy sposób. Uważają bowiem, że każda jego funkcja powinna być automatycznie broniona. Ci ludzie także nie mają racji – wiele państw jest za dużych, źle zorganizowanych i niedostosowanych do świata nowych technologii.

Wreszcie po trzecie, chcemy trafić do zwykłych ludzi, którzy nie rozumieją roli państwa i jest im ono całkiem obojętne. Widzieliśmy to m.in. w wyborach do Parlamentu Europejskiego, gdy wyborcy głosowali przeciwko partiom głównego nurtu, dając wyraz niechęci wobec elit rządzących. Taki nastrój jednak nie idzie w parze z konstruktywnym projektem zmiany. Ludzie chcą pozbyć się państwa, zamiast je zreformować. W książce argumentujemy, że gruntowne zmiany, jakie dokonały się w sektorze prywatnym pod wpływem nowych technologii dotrą i do sektora publicznego. Bylibyśmy naiwni, gdybyśmy sądzili inaczej.

Jarosław Kuisz: Wychodząc poza podział na lewicę i prawicę, poddają panowie krytyce większość propozycji reform, które

mamy na rynku. Propozycje z „Czwartej rewolucji” mierzą zatem daleko poza dzisiejsze partyjne *status quo*. Skoro rozmawiamy o przyszłości, muszę zapytać: jakie wnioski na temat roli państwa powinno wyciągnąć z lektury młode pokolenie?

Adrian Wooldridge: Państwo jest ważne i potrzebuje reformy, ale dotychczas nam to nie wychodzi. Przez większą część epoki powojennej wydawało nam się, że to demokracje tworzą najlepsze rządy. Lecz od 2000 r. to przekonanie słabnie. Rosja porzuciła demokratyczny eksperyment, demokracja skończyła się katastrofą na Bliskim Wschodzie, a Unia Europejska często nie rządzi się demokratycznie i nie służy jako wzór. Demokracja amerykańska podupadła, senat regularnie nie może uchwalić budżetu państwowego. Jednocześnie autorytarny model chiński nie dość, że odnosi wiele sukcesów gospodarczych, to jeszcze wypracował mechanizm zmiany elit politycznych bez zaburzeń czy załamania instytucji państwowych. Przewaga demokracji i rządów liberalnych w XXI w. maleje, a jedną z zasadniczych przyczyn jest ich niewydolność. Musimy zmniejszyć i zmodernizować państwowość, nie tylko dlatego, że to lepszy sposób zapewnienia jego wydolności, ale też jedyny sposób, dzięki któremu demokratyczny model przetrwa konkurencję ze Wschodu.

Łukasz Pawłowski: W książce wyszczególnia pan wiele wyzwań dla państwowości, w tym szeroko omawianą w Polsce kwestię edukacji. Pytanie kieruję więc do prof. Anny Gizy. Reprezentuje pani władze Uniwersytetu Warszawskiego, jednej z dwóch najlepszych uczelni w Polsce. To uczelnia publiczna, ale najwyższej notowane uczelnie na świecie są prywatne. Czy pani zdaniem także w Polsce państwo powinno wycofać się z finansowania edukacji wyższej?

Anna Giza: Uniwersytet to państwo w miniaturze. Dlatego wszystkie problemy i kryzysy państwowości dotyczą również uczelni – ale też wyraźniej widać ich źródła. Należy zadać pytanie nie tylko o to, co chcemy zmienić, ale też: na co możemy sobie pozwolić. Polska edukacja pozostanie publiczna choćby dlatego, że gwarantuje to Konstytucja. Ale przysłuchując się dyskusjom prowadzonym na Zachodzie, dochodzę do wniosku, że edukacja faktycznie jest dobrem publicznym – powinna odpowiadać na wyzwania i problemy ważne dla nas wszystkich. Musimy jednak zacząć od tego, że nigdy w Polsce nie przedyskutowaliśmy celów edukacji wyższej. Próbuje więc zmieniać prawo, wprowadzamy wiele reform, lecz nie wiemy, co chcemy w ten sposób osiągnąć.

Jarosław Kuisz: Mam wrażenie, że w kręgach akademickich od lat wciąż zadajemy to pytanie o cel edukacji wyższej. Czy nie udzielono już przypadkiem wszystkich możliwych odpowiedzi – rozpiętych między szlachetną wizją akademii a całkowitym podporządkowaniem mechanizmom rynkowym? A może należałoby do sprawy wykształcenia podejść pragmatycznie i zamiast omawiać wielkie, piękne reformy, zaproponować kilka zmian cząstkowych – tyle że wykonalnych?

Anna Giza: Jestem świadoma, że nasze środowisko słabo radzi sobie z formułowaniem celów edukacji wyższej. Jednak w takich dokumentach państwowych jak „Strategia rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce” również tych celów nie znajduję. Czy naprawdę potrzebujemy, by niemal połowa populacji miała wyższe wykształcenie? W jakim celu? Co wyższe wykształcenie ma oznaczać i czemu służyć? Na te pytania nigdy poważnie nie odpowiedzieliśmy, nigdy ich nawet należycie nie przedyskutowaliśmy.

Zamiast tego przerzucamy się odpowiedzialnością pomiędzy uniwersytetami i rządem. Rząd zmienia prawo, by nas do czegoś przymusić – my znajdujemy obejście tego prawa, wtedy oni wprowadzają nowelizację... Taka gra prowadzi donikąd.

Łukasz Pawłowski: A jak pani odpowiedziałaby na pytanie o cel szkolnictwa wyższego?

Anna Giza: Szkoły niższego poziomu wprowadzają w obszar naszego dorobku cywilizacyjnego, pozwalają się w nim jako tako rozeznąć i poruszać. Edukacja wyższa powinna tworzyć przestrzeń rozwoju talentów i umysłów, samodzielnego eksperymentowania i tworzenia, przesuwania granic wiedzy. Uważam, że potrzebujemy edukacji wyższej, by stawiać wyzwania umysłowe, uczyć autonomicznego zadawania pytań i odpowiedzialnego poszukiwania odpowiedzi, zarażać pasją i radością odkrywania.

Łukasz Pawłowski: Czy cele szkolnictwa wyższego byłyby lepiej wypełniane, gdyby uczelnie były prywatne?

Anna Giza: Oba sposoby finansowania są ryzykowne, najlepiej więc... je połączyć. Nie możemy oczekiwać od prywatnych czy biznesowych fundatorów, by przekazali swoje pieniądze na swobodne rozwijanie umysłu studentów. Lecz i publiczne finansowanie jest ryzykowne. Instytucje publiczne ze swej natury nie są specjalnie innowacyjne. Dlatego jakaś forma rozwiązania mieszanego byłaby najlepsza.

Adrian Wooldridge: Uniwersytety prywatne są podobne do publicznych, tylko po prostu mają więcej pieniędzy. Problem w tym, że i w tych, i w tych są zastępy konserwatywnych, przeciwnych innowacjom wykładowców, którzy dbają o swoje interesy. Ten system nie może się dłużej utrzymać. Przez najbliższe 10 lat dzięki nowym technologiom uniwersytety zmieniają się tak bardzo,

jak przez ostatnie 150. Użytkownicy będą mogli sami wybierać z coraz bogatszej oferty studiów prowadzonych zdalnie.

Ewa Łętowska: Pan Wooldridge zaprezentował wizję demokracji w głębokim kryzysie. Następnie zastanawialiśmy się, co zrobić z sektorem szkół wyższych. Proponuję zejść jeszcze niżej, dlatego że kryzys państwa w Polsce ma swoiste cechy. Wydaje nam się, że prawo tworzy parlament czy minister. Nieprawda! Prawo tworzy oligarchia biurokratyczna skupiona w ministeriach i parlamencie. To prawo jest w Polsce na niezwykle niskim poziomie fachowym, a przez to zwykle pożera wolność zamiast ją wspierać. Bo – wbrew temu, co mówi część liberałów – prawo nie zawsze ogranicza wolność. Musimy jednak wiedzieć, do którego narzędzia prawnego sięgnąć. Do tego potrzeba jednak także dobrych urzędników, a ich poziom znacznie się w ostatnim czasie obniżył.

Łukasz Pawłowski: A przecież liczba biurokratów w ostatnich latach wzrosła dramatycznie. Mimo tego przyrostu jest gorzej?

Ewa Łętowska: Tak, bo potykają się o własne nogi! Nie potrafią dobrze, więc robią dużo.

Anna Giza: Prawo w Polsce jest używane do dekretowania rzeczywistości, zamiast do tworzenia mechanizmów sprzyjających osiągnięciu celów. Dekretujemy np. powszechną służbę zdrowia, ale nie projektujemy instrumentów, które by umożliwiły realizację tego dekretu.

Łukasz Pawłowski: Pytanie do Joanny Tyrowicz – prowadzi pani wiele badań oceniających efektywność działania rozmaitych instytucji państwowych, proponuje metody ich usprawnienia. Z tego jednak co wiem, często trafia pani na

barierę, przez którą nie może się przebić. Pokazuje pani dowody na rzecz zmiany polityki w jakiejś materii, ale tych dowodów nikt nie traktuje poważnie. Dlaczego?

Joanna Tyrowicz: Powinniśmy dostrzec olbrzymie różnice pomiędzy poszczególnymi krajami w kwestiach stanowienia prawa i uprawiania polityki. Te różnice istnieją również w krajach rozwiniętych. Mieszkańcy Wielkiej Brytanii z pewnością mogą się skarżyć na wiele spraw, ale tam państwo ma mnóstwo pozytywów, między innymi wie, z jakimi problemami ma do czynienia. Jest ich świadome i sprawdza, czy wprowadzane rozwiązania na te problemy odpowiadają. W Polsce analiza skutków jakiejś polityki jest raczej wyjątkiem niż regułą. I nie jest to moja opinia, ale obiektywnie stwierdzony fakt.

Jarosław Kuisz: Dlaczego urzędnicy państwowi tego nie robią?

Joanna Tyrowicz: Bo nie muszą. Nikt ich z tego nie rozlicza. To naturalnie odpowiedź z doświadczenia, a nie naukowa.

Jarosław Kuisz: A na poziomie centralnym?

Joanna Tyrowicz: W Polsce polityka to prosta gra sił – kiedy jesteś u władzy, decydujesz, kiedy nie, decyzje podejmują „oni”. Nikogo nie interesuje, co druga strona ma do powiedzenia.

Adrian Wooldridge: W rozwoju państwa dotarliśmy do pewnej granicy. Państwo wyewoluowało z tworu odpowiedzialnego za minimum świadczeń, do modelu dostarczającego wielu dóbr, które dziś uważamy za podstawowe. Harold Macmillan, premier Wielkiej Brytanii w latach 1957–1963, powiedział w czasach swoich rządów, że „ludzie nigdy nie mieli tak dobrze jak dotychczas”. I to była prawda. Jednak coś poszło nie tak w latach 70., kiedy państwo zaczęło dawać mniej i mniej przy coraz

większych inwestycjach. Zaczęła się ekonomiczna stagnacja. To spotkało się z reakcją – próbami naprawy państwa i powrotu do jego pierwotnych funkcji. Tego starali się dokonać Margaret Thatcher i Ronald Reagan. Te reformy zadziałały tylko na chwilę.

Ostatnio widzimy, że państwo znowu rośnie, wręcz się rozłazi, biorąc na siebie zbyt dużo obowiązków. I znowu ponosi porażkę. Musimy zmienić sposób jego działania nie tylko po to, by je usprawnić, ale także ze względu na podstawowe fakty ekonomiczne, które mówią jasno – nie mamy już pieniędzy, jakie mieliśmy wcześniej. Borykamy się z wiecznym deficytem. Stanom Zjednoczonym od 1960 r. udało się zbilansować budżet pięć razy, Francji od 1974 r. – ani razu.

Jarosław Kuisz: I można nawet mieć wrażenie, że ogromny deficyt stał się nieodzownym elementem demokracji państw Zachodu. Dlaczego pana zdaniem tak się dzieje?

Adrian Wooldridge: Keynesowski model ekonomii miał być w założeniu odpowiedzią na recesję, tymczasem stał się rutynowym, codziennym sposobem zarządzania gospodarką. To nie może działać dalej w ten sposób, m.in. ze względu na zmiany demograficzne – pokolenie baby boomu staje się coraz starsze. Ekonomista Herbert Stein powiedział swego czasu, że jeśli coś nie może funkcjonować, to po prostu przestanie. Zmiana zarządzania państwem jest więc konieczna.

Dobra wiadomość jest taka, że możemy to złe zarządzanie zmienić – częściowo ucząc się od sektora prywatnego, gdzie przywiązuje się znacznie większą wagę do efektywności działania; częściowo zwracając uwagę na rezultaty badań. Na przykład w Polsce wydaje się na pojedynczego ucznia znacznie mniej pieniędzy niż dajmy na to w Kalifornii, a mimo to osiągają oni lepsze wyniki w międzynarodowych testach.

Najbardziej jednak optymistycznie podchodzę do zachodzącej obecnie rewolucji technologicznej. Dla rynku usług będzie ona miała tak duże znaczenie, jak rewolucja przemysłowa w XIX w. dla fabryk. Postęp w dostępie do wszelkiego rodzaju informacji – muzyki, filmów, wykładów naukowych, książek – jest w porównaniu z rokiem 1999 niewyobrażalny. Ta rewolucja technologiczna musi dotrzeć do sektora publicznego. Uniwersytety, szkoły, szpitale – również one będą musiały wdrożyć zmiany na miarę XXI w.

Łukasz Pawłowski: Dlaczego miałyby się tak stać? W pańskiej książce jest wiele przykładów sytuacji, w których zmiany technologiczne sprawdzające się w sferze prywatnej nie przynosiły zmian w sferze publicznej. Choćby komputeryzacja urzędów. Miała prowadzić do obniżenia wydatków i podnoszenia efektywności, ale okazało się, że komputery zaczęto wykorzystywać nie jako urządzenia dające nowe możliwości, a unowocześnione modele maszyn do pisania. Nic się summa summarum nie zmieniło. Więc skąd przekonanie, że akurat teraz miałyby być inaczej?

Adrian Wooldridge: Ktoś swego czasu powiedział, że przeceniamy wpływ nowych technologii w krótkiej perspektywie, zaś nie doceniamy go w długiej. Gdy nowe technologie po raz pierwszy dały o sobie znać, mieliśmy do czynienia z olbrzymimi systemami komputerowymi stworzonymi przez władze centralne. Obecnie niemal każdy ma w kieszeni najnowocześniejszy komputer. Ten rozwój indywidualności wymusza stworzenie państwa bardziej przejrzystego, dającego dostęp do wszelkiego rodzaju informacji.

Pamiętam wykłady, kiedy wiele lat temu studiowałam na uniwersytecie. Wykładowca stał i mówił z kartki przez godzinę.

Teraz możemy na naszych iPadach słuchać najlepszych wykładów z całego świata za darmo. To są olbrzymie zmiany. W ciągu 10 lat będziemy żyć w innej rzeczywistości. To będzie dobry okres.

Joanna Tyrowicz: Nie jestem przekonana, czy powszechny dostęp do informacji jest tożsamy z wiedzą. Rzadko bywa tak, że gdy dyskutują tęgie głowy, ludzie mogą – dzięki zasłyszonym zdaniom – stworzyć swoją opinię, bazującą na merytorycznych przesłankach. Ludzie raczej zgadzają się z tym, komu z jakichś względów ufają, a dyskusja prymitywizowana jest zazwyczaj do jakiejś prostej dychotomii.

Anna Giza: Absolutnie się zgadzam, że mamy problem z wartościowymi merytorycznie opiniami. Coraz trudniej jest przeciętnej osobie formułować takie opinie, a przyczyną jest właśnie zbyt duża ilość informacji. Trudno wyłowić z nich te wartościowe. Dlatego sądzę, że uniwersytety powinny pomagać nie tylko w nauce, ale też w zdobywaniu umiejętności znajdowania rzetelnych informacji oraz konstruowania na ich podstawie przemyślanych, wyważonych w opinii. To nie jest wcale takie proste. Wypracowywanie opinii to bardzo skomplikowany proces. W naszym systemie edukacyjnym ten aspekt kształcenia zaniedbaliśmy i tak będzie nadal, jeśli skupimy się tylko na systemie opartym na testach, a nie ogólnym, szerokim myśleniu krytycznym.

Ewa Łętowska: Ten nowy wspaniały świat, który, jak przewiduje pan Wooldridge, na pewno zbudujemy dzięki postępowi technicznemu, wymaga refleksji w jednym punkcie. Każda reforma i każda zmiana – niezależnie od tego, czy wymusza ją technologia, czy wymuszają ją przepisy – zawsze nieuchronnie niesie ze sobą nie tylko pozytyw, ale i negatywy. Zawsze.

Przykład? Sprywatyzowano w Polsce urząd komornika, czyli tego, który egzekwuje długi. Sprywatyzowani komornicy

postanowili podwyższyć swoją produktywność. Jak to robią? Zamiast szukać dłużnika, wysyłają tytuły egzekucyjne do wszystkich znalezionych osób o nazwisku i imieniu odpowiadającym dłużnikowi. To jest z ich strony bardzo produktywne. Bardzo wygodne. Oznacza bowiem przerzucenie na Bogu ducha winnych ludzi trudu wyszarpania – podkreślam: wyszarpania – na nowo swojej niezależności w sytuacji, w którą zostali uwikłani. Dlaczego? Ponieważ nikomu nie przyszło do głowy, że prywatyzacja działalności komorników może do takich efektów prowadzić.

Łukasz Pawłowski: A więc nie trzeba było prywatyzować?

Ewa Łętowska: Zaufanie społeczne i zaufanie do państwa – które w Polsce i tak jest niskie – nie obniża się z powodu technologii czy urynkowienia wielu sfer, ale właśnie z powodu zaniedbań w usuwaniu negatywnych skutków tych przemian. Nas to po prostu nie obchodzi. Polityków z przyczyn oczywistych. Media są za głupie. Wobec tego nam, zwykłym ludziom, żyje się po prostu trudniej. Jeżeli państwo zaniedba rolę bufora, wieszczę Armagedon.

Joanna Tyrowicz: Nie demonizowałabym kwestii braku zaufania. Nie jest tak, że kiedyś ludzie ufali państwu bezgranicznie, a dziś to zaufanie całkiem stracili. W XIX w., gdy „wszyscy” ufali państwu, nie oceniano tak dokładnie działań rządzących. Po wprowadzeniu reformy systemu ubezpieczeń społecznych przez Bismarcka czy olbrzymiej reformy edukacji powszechnej w Wielkiej Brytanii w 1913 r. nie było tylu wyliczeń, analiz oceniających skutki tych przemian podawanych do publicznej wiadomości. Nie było dziesiątków bardziej czy mniej rzetelnych ekspertów, którzy sprzeciwialiby się rozwiązaniu proponowanemu przez rząd. Obecnie mamy znacznie więcej osób, które przyglądają się systemowi. Patrzą na ręce ustawodawcom, politykom

i mówią – nie, wy się mylicie. Trudno, by w takich warunkach wszyscy ufali państwu. Inna sprawa, że przy wystarczającym poczuciu siły, można te głosy przeciwne po prostu lekceważyć zamiast z nimi dyskutować.

Jarosław Kuisz: Na zakończenie chciałbym zapytać o zobowiązania państwa wobec nas, obywateli, na rynku pracy. W czasie naszej ostatniej debaty z cyklu Time To Talk zupełnie serio pojawiło się pytanie – uwaga, uwaga – czy „każdy powinien mieć etat?”. W zasadzie po 25 latach III RP należałoby oczekiwać, że jeśli państwo ma coś zaproponować młodym ludziom, to – i tu pojawił się następujący głos w debacie – powinien to być „etat dla każdego!”. Czy możemy mieć wobec państwa, którego charakter zmienia się na naszych oczach, aż takie oczekiwania?

Joanna Tyrowicz: Chodzi nam o pracę dla każdego, czy umowę o pracę dla każdego?

Jarosław Kuisz: Oczywiście o umowę o pracę.

Joanna Tyrowicz: No to mamy problem. Jednym z aspektów, który trzeba wziąć pod uwagę – i na to zwracają uwagę również prawnicy – jest definicja „umowy o pracę”. W Polsce cały kodeks pracy bazuje na wizji pracodawcy jako niezależnej jednostki, która ma dowolność – w ramach kodeksu – kształtowania umowy zawartej z pracownikiem. To mogłaby być prawda w latach 80., ale obecnie część pracodawców, np. tych z kapitałem zagranicznym, nie ma w naszym kraju osób decyzyjnych, bo ci rezydują w siedzibach firm za granicą. Jeśli takie osoby są poza Polską i podejmują tam wszelkie decyzje związane z firmą, to czy możemy mówić o tradycyjnie pojmowanych relacjach pracodawcy i pracownika?

Wyobraźmy sobie, że ktoś, mieszkając w Polsce, pracuje dla zagranicznej firmy produkującej meble. Jest zatrudniony w Polsce przez pośrednika, bo ta firma nie ma u nas żadnych biur. Jego praca polega na pośredniczeniu pomiędzy fabrykami a klientami w całym regionie środkowoeuropejskim – od Rumunii po Estonię. Dostarcza też meble dla wszystkich, którzy byliby tym zainteresowani i w tym wypadku chodzi już o cały świat. Przypuśćmy, że otrzymuje zlecenie od niemieckiej firmy na urządzenie ich biura w Rumunii. Nasuwa się wówczas szereg pytań – kto jest realnie pracodawcą, klientem, kto ocenia wydajność pracy takiego pracownika i decyduje o kształcie umowy z nim? Bo choć są pewne wymogi prawne, w praktyce ścieżki decyzyjne mogą biec zupełnie niezależnie od tego, co jest napisane na papierze.

Jarosław Kuisz: Czy z tego wynika, że od pewnego poziomu – którego należałoby życzyć młodym ludziom – nie obowiązują nas już żadne żelazne reguły zatrudnienia? Przynajmniej na poziomie jednego państwa?

Joanna Tyrowicz: Jeśli teraz ustalilibyśmy, że każdy ma mieć umowę o pracę, wówczas nasunęłoby się pytanie, czym jest ta umowa, czym chcielibyśmy, aby była i czym będzie za 10–25 lat. Powinniśmy patrzeć w przyszłość długoterminowo, a nie wstecz, bazując na doświadczeniach ostatnich dekad. Tymczasem duża część dyskusji o prekariacie, w szczególności tej prowadzonej przez młodych, nie dotyczy przyszłości, a tego, czego nie chcieliby z przeszłości. Kiedy słyszę propozycje poziomem zbliżające się do „umowy o pracę dla każdego”, nasuwa mi się tylko hasło „proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”.

DR HAB. ANNA GIZA

prof. UW, socjolożka, prorektor ds. rozwoju i polityki finansowej Uniwersytetu Warszawskiego

PROF. EWA ŁĘTOWSKA

prawniczka, była Rzecznik Praw Obywatelskich i sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku

DR HAB. JOANNA TYROWICZ

ekonomistka, wykładowczyni Wydziału Ekonomii UW, doradczyni ekonomiczna w Instytucie Ekonomicznym NBP.

ADRIAN WOOLDRIDGE

dziennikarz „The Economist”, redaktor rubryki „Schumpeter”, współautor książki „The Fourth Revolution: The Global Race to Reinvent the State” (2014).

O „Kulturze Liberalnej”

„Kultura Liberalna” to środowisko intelektualne i ośrodek myśli zbudowane wokół tygodnika internetowego o tej samej nazwie. Pismo powstało jako inicjatywa pro bono. Ukazuje się nieprzerwanie od 2009 r. pod adresem: www.KulturaLiberalna.pl.

Środowisko „Kultury Liberalnej” wyłoniło się z organizowanego przez kilka lat seminarium domowego.

Pismo stworzyli młodzi przedstawiciele polskiej akademii, dziennikarze, studenci, artyści i ludzie wolnych zawodów. Do marca 2015 r. opublikowaliśmy 320 numerów tygodnika.

Kolejne wydania ukazują się w każdy wtorek, także w tłumaczeniach na język angielski, niemiecki, francuski, rosyjski oraz ukraiński. Wszystkie publikowane na łamach „Kultury Liberalnej” teksty to pierwodruki.

Celem „Kultury Liberalnej” jest wzmacnianie i modernizowanie polskiej myśli liberalnej, a także uczestnictwo w międzynarodowych debatach na tematy społeczno-polityczne i kulturalne. Wykraczając poza wąskie, ekonomiczne rozumienie liberalizmu,

piszemy o aktualnych wydarzeniach politycznych, gospodarczych i społecznych. Publikujemy wywiady, artykuły, komentarze, recenzje filmowe i książkowe.

Na łamach tygodnika gościli już między innymi: Timothy Garton Ash, Anne Applebaum, Wiesław Chrzanowski, Christopher Clark, Alain Finkielkraut, Dariusz Gawin, Marcel Gauchet, John Gray, Agnieszka Holland, Necla Kelek, Iwan Krastew, Claus Leggewie, Paweł Lisicki, Zbigniew Nosowski, Adam Michnik, Martha Nussbaum, Martin Pollack, Olivier Roy, Saskia Sassen, Tomáš Sedláček, Peter Sloterdijk, Aleksander Smolar, Timothy Snyder, Radosław Sikorski, Charles Taylor, Michael Walzer, Lech Wałęsa i Martin Wolf.

Na „Poddaszu Kultury”, czyli w siedzibie tygodnika, organizujemy debaty, podczas których dyskutujemy na tematy polityczne, kulturowe i społeczne. Prowadzimy zażarte spory o polskie autorytety, wychodzimy poza utarte schematy myślenia i światopoglądowe klisze.

Dzięki statystykom odwiedzin strony internetowej Kultura-Liberalna.pl wiemy, że miesięcznie czyta nas około 60 tys. osób. Na portalu społecznościowym Facebook mamy niemal 40 tys. fanów. Liczby te stale rosną.

Z naszymi czytelnikami komunikujemy się także za pośrednictwem tradycyjnych mediów – nasi autorzy regularnie goszczą na łamach ogólnopolskiej prasy oraz w studiach stacji radiowych i telewizyjnych.

Tygodnik „Kultura Liberalna” został oficjalnie zarejestrowany przez Sąd Okręgowy w Warszawie, w rejestrze dzienników i czasopism pod pozycją Pr 16164, a jego numer w systemie informacji o wydawnictwach ciągłych to ISSN 2081-027X.

NOTA EDYTORSKA

Wszystkie teksty opierają się na materiałach publikowanych na stronie www.KulturaLiberalna.pl.

ROZMOWA Z MARTHĄ NUSSBAUM

Liberalizm potrzebuje miłości

w: „Kultura Liberalna” nr 289, z dn. 22 lipca 2014 r.

ROZMOWA Z ALAINEM FINKIELKRAUTEM

Do diabła z bezpieczeństwem!

w: „Kultura Liberalna” nr 289, z dn. 22 lipca 2014 r.

ROZMOWA Z CHARLESEM TAYLOREM

Przepis na społeczną katastrofę

w: „Kultura Liberalna” nr 291, z dn. 5 sierpnia 2014 r.

ROZMOWA Z OLIVIEREM ROY

Burka jako forma ekshibicjonizmu

w: „Kultura Liberalna” nr 291, z dn. 5 sierpnia 2014 r.

IWAN KRASIEW

Nie bójmy się politycznych emocji

w: „Kultura Liberalna” nr 291, z dn. 5 sierpnia 2014 r.

ROZMOWA Z TIMOTHYEM GARTONEM ASHEM

Szkodliwość ochrony uczuć religijnych

w: „Kultura Liberalna” nr 183, z dn. 10 lipca 2012 r.

ROZMOWA Z BASSAMEM TIBIM

Multi-kulti to kompletne nieporozumienie

w: „Kultura Liberalna” nr 180, z dn. 19 czerwca 2012 r.

DEBATA Z UDZIAŁEM TIMOTHY’EGO GARTONA ASHA, MONIKI PŁATEK I WIKTORA OSIATYŃSKIEGO

Nie ufaj obcym! Twarze inności we współczesnej Europie

w: „Kultura Liberalna” nr 309, z dn. 9 grudnia 2014 r.

ROZMOWA Z BENJAMINEM BARBEREM

Wolność słowa ma chronić słabszych

w: „Kultura Liberalna” nr 195, z dn. 2 października 2012 r.

ROZMOWA Z PIERRE’EM BUHLEREM

Cena za nasze bezpieczeństwo

w: „Kultura Liberalna” nr 315, z dn. 20 stycznia 2015 r.

TOMASZ SAWCZUK

Co to znaczy „Je suis Charlie?”

w: „Kultura Liberalna” nr 315, z dn. 20 stycznia 2015 r.

HUBERT CZYŻEWSKI

Ile wolności dla wrogów wolności?

w: „Kultura Liberalna” nr 315, z dn. 20 stycznia 2015 r.

HELENA JĘDRZEJCZAK

Być czy nie być Charlie? Oto jest pytanie

w: „Kultura Liberalna” nr 315, z dn. 20 stycznia 2015 r.

ADAM PUCHEJDA

Nie chować głowy w piasek

w: „Kultura Liberalna” nr 315, z dn. 20 stycznia 2015 r.

PAUL GRADVOHL

Bierność nie jest już rozwiązaniem

w: „Kultura Liberalna” nr 314, z dn. 13 stycznia 2015 r.

**DEBATA Z UDZIAŁEM KATARZYNY SZYMIELEWICZ,
RADOSŁAWA MARKOWSKIEGO, JANA ZIELONKI**

Nienawidzę polityki

w: „Kultura Liberalna” nr 298, z dn. 23 września 2014.

**DEBATA Z UDZIAŁEM KATARZYNY KASI, JACKA MĘCINY,
PIOTRA SZUMLEWICZA I JOANNY TYROWICZ**

Będzie Wam gorzej!

w: „Kultura Liberalna” nr 304, z dn. 11 listopada 2014.

**DEBATA Z UDZIAŁEM ANNY GIZY, EWY ŁĘTOWSKIEJ,
ADRIANA WOOLDRIDGE’A, JOANNY TYROWICZ**

I po co nam to państwo?

w: „Kultura Liberalna”, nr 317 z dn. 3 lutego 2015.